Interesy Gibały • Tusk na twardo • PISA: młodzież mniej umie • Kraj bez planów
Polska potęgą rycerską • Czym „Lalka” zaskoczy • Randki wychodzą z sieci

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

WARSZAWA
pożądana, niekochana

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 38 (3582), 16.09–22.09.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ISSN 0032-3500 9 770032 350602 38

Wydanie w sprzedaży do 22.09.2026

eprasa.pl 1ad587a11

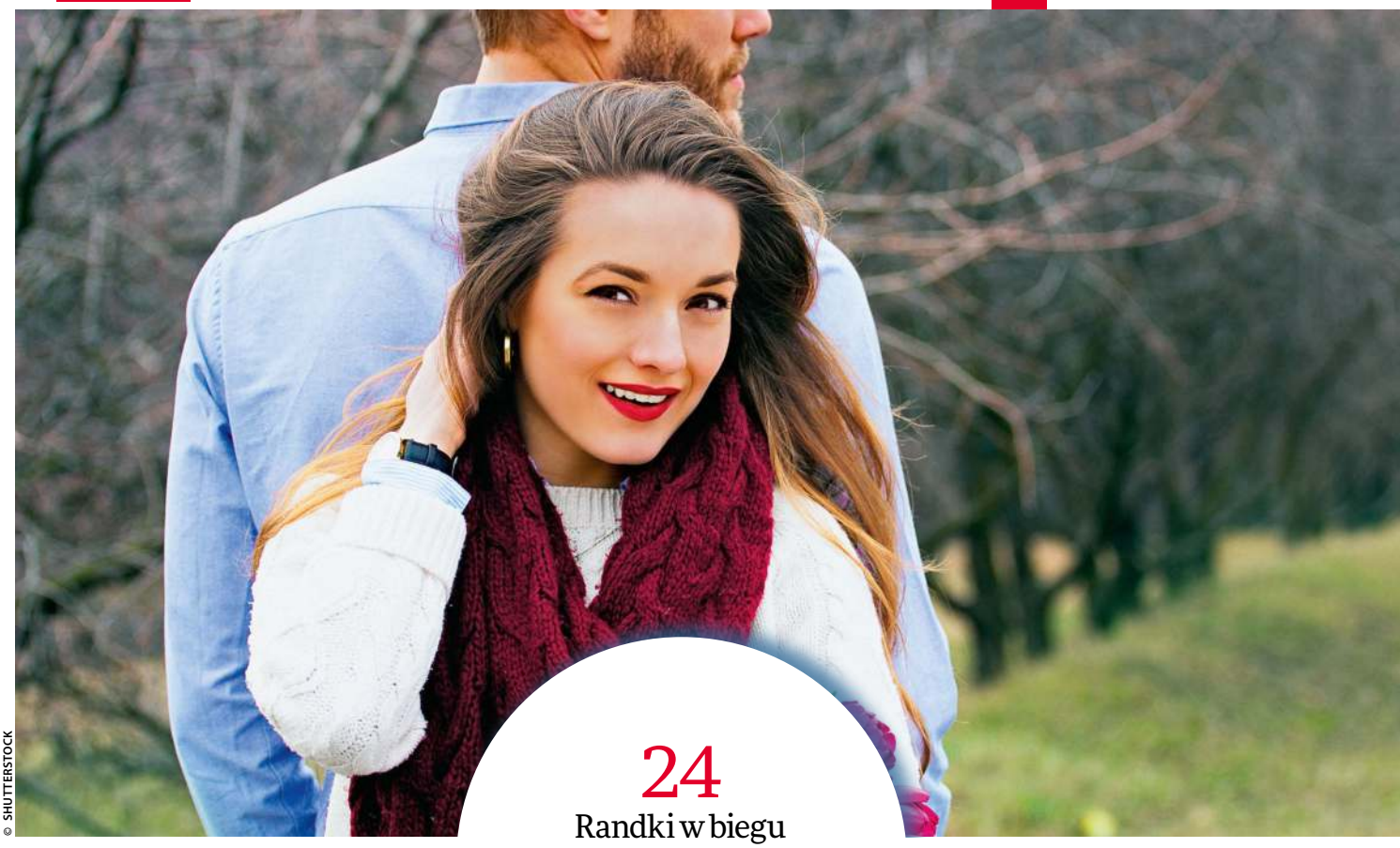
ALUPROF
LET'S BUILD A BETTER PLACE

NOWA PERGOLA TARASOWA SB 450



- **Krótki czas realizacji**
- Bogata gama kolorystyczna – niemal **40 kolorów w standardzie**
- **Gwarantowana jakość** – ponad 40 lat doświadczenia w produkcji osłon przeciwsłonecznych
- **Dodatkowe akcesoria:** screeny, panele przesuwne, przeszklenia, oświetlenie LED, czujniki pogodowe, smart home
- **Sieć wyspecjalizowanych partnerów** na terenie całej Polski

eprasa.pl 1ad5874e11



© SHUTTERSTOCK

24
Randki w biegu

Temat tygodnia

10 Joanna Solska **Warszawa pożądana, ale niekochana**

Polityka

16 Michał Danielewski **Ostry kurs Tuska**
20 Katarzyna Kaczorowska **Kraków: majątek kandydata Gibały**

Społeczeństwo

24 Natalia Sawka **Powrót do randek w realu**
28 O światowym i naszym kryzysie edukacji, ujawnionym w raporcie PISA 2025, mówi dr hab. **Tomasz Gajderowicz**
32 Zbigniew Borek **Znów mamy najlepszych rycerzy na świecie**

Rynek

36 Cezary Kowanda **Plany ogólne, miejscowe i wuzetki – co będzie decydować o wyglądzie Polski**
40 Krzysztof Kropidłowski **Banki skarbonki**

Świat

42 Łukasz Wójcik KANADA **Premier Mark Carney kusi Europę**
46 Tomasz Zalewski USA **Sekretarz wojny Pete Hegseth walczy z amerykańską armią**
49 Agnieszka Zagner IZRAEL **Szum o szabat**

Nauka/projektpulsar.pl

52 Agnieszka Krzemińska **Czy grozi nam powrót dawnych epidemii**
56 **Finaliści 25. edycji** NAGRÓD NAUKOWYCH POLITYKI

Historia

60 Łukasz Wójcik **Haftowane kadry z normandzkiego podboju Wysp Brytyjskich**
63 O imperium Tybetu opowiada dr **Sam van Schaik**, badacz z British Library

Kultura

70 **Paweł Maślona**, reżyser serialu Netflixa „Lalka", przekonuje, że ekranizacja to nie wideo do książki
74 Piotr Sarzyński **Mecenaski sztuki: Omenaa Mensah i Katarzyna Jordan**
77 Olaf Szewczyk **Twórcy „Wiedźmina 3" na swoim i ich nowa gra**

Sport

80 Marcin Piątek **PZPN w sytuacji podbramkowej**

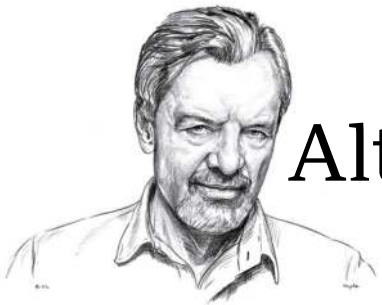
Ludzie i style

88 Wojciech Bońkowski **Pożary niszczą wina**
89 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **66** Afisz
- **83** Orliński
- **84** Chutnik i Plebanek
- **85** Hartman
- **86** Mizerski
- **18**, **86**, **90** Galeria POLITYKI
- **87** Do i od redakcji
- **90** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 1ad5874e11



Alternatywa dla Polski

Jerzy Baczyński

Wynik wyborów w małym wschodnioniemieckim landzie Saksonia-Anhalt – choć przewidywany – wstrząsnął Republiką Federalną i mocno poruszył Europę. Alternatywa dla Niemiec, partia odwołująca się jawnie do niemieckiego nacjonalizmu, odniosła miażdżące zwycięstwo (43,8 proc. głosów, wobec 17 proc. dla rządzącej „starej prawicy" z CDU). Co prawda w innych landach AfD nie ma aż takiego poparcia jak w dawnej NRD, ale sondażowo jest już najsilniejszą partią w kraju. Wobec bojkotu ze strony potencjalnych koalicjantów, próbujących zbudować wokół AfD tzw. ścianę ogniową *Brendmauer*, droga tej partii do władzy (nawet w Saksonii) nie będzie prosta. Ale na pewno rozstąpił się już najważniejszy mur – specyficznej niemieckiej poprawności politycznej, która ukształtowała całą historię powojennych Niemiec.

Ten zachodnioniemiecki konsens zawierał jednoznaczne potępienie nazizmu, przyjęcie moralnej odpowiedzialności za zbrodnie hitlerowskie, mentalną i realną demilitaryzację, szczelne wmontowanie Niemiec w struktury Unii Europejskiej i NATO. Niemcy zaakceptowały rolę „gospodarczego olbrzyma i politycznego karła". AfD mówi dziś rodakom: dosyć życia na smyczy i w kagańcu; 80 lat minęło od wojny i już wystarczy ekspiacji, polityki wstydu, płacenia – poprzez finansowanie Unii Europejskiej – wiecznych reparacji za III Rzeszę. Dość naiwnej polityki migracyjnej. Politycy AfD jawnie opowiadają się za wyjściem kraju ze strefy euro, zamiany UE w luźny Związek Narodów Europy lub za jej całkowitą likwidacją, łącznie ze strefą Schengen. Domagają się polityki suwerennej (jak w hymnie „Niemcy ponad wszystko"), bezwzględnego egzekwowania interesu narodowego, a więc: resetu z Rosją, otwarcia rurociągu Nord Stream, zatrzymania pomocy dla Ukrainy, asertywnej polityki wobec „mnożącej pretensje" Polski, powrotu do kraju rodzimego przemysłu.

Europejskie partie prawicowe – w tym także PiS i Konfederacje współpracujące z „niemieckimi towarzyszami" w Parlamencie Europejskim – mają z AfD potężny kłopot. Bo z jednej strony jest radość, że nasi ideowi sojusznicy – mówiący u siebie niemal dokładnie to samo, co my u nas – rosną i wygrywają, lecz z drugiej – ich interesy są na ogół sprzeczne z naszymi. Razem nie cierpimy „brukselskich elit", lewactwa, LGBT, klimatystów, migrantów, uchodźców, ale między nami nie może być przyjaźni ani jakichś niepodważalnych zobowiązań, są tylko narodowe interesy i gra sił. Nigdy dość przypominania, że Unia Europejska, ale i NATO (kontestowane dziś przez Trumpa i jego Alternatywę dla Ameryki, czyli ruch MAGA), powstały właśnie przeciw temu geopolitycznemu darwinizmowi, po przerażającym doświadczeniu, do czego może prowadzić licytacja narodowych egoizmów, patriotyczna megalomania, mocarstwowe urojenia, uleganie charyzmatycznym przywódcom obiecującym ludowi „powrót do wielkości".

Alternatywa dla Niemiec to tak naprawdę alternatywa także dla Europy, każdego kraju Unii i NATO. To – pomijając lokalne, konkretne sytuacje – skądinąd zrozumiała reakcja wielu wyborców na chaos, bóle, multikryzys współczesnego świata, o co bez trudu można obwiniać dominujący od dekad w świecie zachodnim system liberalnej demokracji, tzw. państwa dobrobytu, „wymuszanej" równości i tolerancji, społecznego postępu, globalizmu, sekularyzacji. Nowa alternatywa, czyli alt-prawica, proponuje swoisty antyświat, negatyw dominującego dotychczas na Zachodzie modelu społecznego i politycznego. W Polsce widać to tak samo wyraźnie jak w innych krajach Europy, gdzie skrajna prawica ma wysokie poparcie i nadzieję na przejęcie władzy. Więc spróbujmy, choćby bardzo skrótowo, wyobrazić sobie, jak mogłaby wyglądać taka „alternatywa dla Polski", czyli bardzo prawdopodobne po wyborach 2027 r. rządy szerokiej prawicowej koalicji.

Przede wszystkim to byłby koniec opisanego w Konstytucji III RP ustroju państwa. Jest raczej oczywiste, że przy dzisiejszym rozczłonkowaniu prawicy rząd mógłby powstać tylko pod patronatem prezydenta Karola Nawrockiego i zapewne z wyznaczonym przez niego własnym premierem. Mielibyśmy więc de facto system prezydencki, nawet mocniejszy niż w USA. Z jakim programem? Nawrocki jest typowym altprawicowcem, konfederatą, trumpistą, więc nietrudno te klocki poskładać: wrogość wobec Unii, weta i bojkoty w stylu Orbána, a jeśli się da, rozmontowanie (być może już we współpracy z innymi „suwerennymi rządami") samej Unii, jej instytucji, programów, autorytetu, realny polexit.

Co dalej? Surowa polityka antyemigracyjna, z braku w Polsce innych mniejszości, skierowana przeciw Ukraińcom, pokazowe deportacje. Faktyczne wstrzymanie pomocy wojskowej dla Ukrainy, próby – za pośrednictwem innych partii europejskiej prawicy – dogadywania się z Rosją. Zgoda na ograniczenie (proponował to nawet Morawiecki) systemu Schengen. Odwrót od europejskiej polityki obronnej, motywowany także wrogością wobec Niemiec, uzależnienie bezpieczeństwa Polski od administracji USA. A w kraju? Stopniowa likwidacja instytucji niezależnych od władzy wykonawczej. Blokada podwyżek podatków (postulat Konfederacji) przy utrzymaniu świadczeń socjalnych (wymóg PiS), czyli dalszy wzrost zadłużenia kraju. Wprowadzenie ustawodawstwa światopoglądowego, zgodnego z oczekiwaniami Kościoła itp., itd. Słowem: powrót do starej endeckiej koncepcji katolickiego państwa, narodu polskiego, wrogiego Zachodowi w jego dotychczasowej liberalnej formie.

Być może 30–40 proc. Polaków taka wizja państwa odpowiada, ale nietrudno udowodnić, jak bardzo jest ona w dzisiejszym świecie anachroniczna, ryzykowna, jak bardzo wystawia Polskę na konflikty wewnętrzne, zewnętrzne, geopolityczny hazard. Polscy demokraci, jeśli tak nazwać przeciwników alt-prawicy, mają jednak większe szanse powstrzymania naszej lokalnej „alternatywy" niż Niemcy, Francuzi, Hiszpanie, Brytyjczycy. Polska nie doświadcza kryzysu gospodarczego, przeciwnie – jesteśmy liderem wzrostu w Unii; ma silne samodzielne ośrodki miejskie, politycznie liberalne (jak Warszawa, którą opisujemy w okładkowym tekście), a nawet Kraków, gdzie kandydatowi Konfederacji nie udało się zebrać nawet 3 tys. podpisów w wyborach na prezydenta (piszemy o nich na s. 20). Nie mamy realnego problemu z imigracją, a jedynie pompowaną politycznie antyukraińskość; sama prawica jest mocno skłócona i podzielona, a rządzący przechodzą do ostrej, radykalnej, „sprawczej" z nią konfrontacji (tekst na s. 16). Jeszcze jest komu i z czego budować „zaporę ogniową" przed Alternatywą dla Polski.

eprasa.pl 1ad5874e11

Albatros travel

Albatros 40 lat

Norwegia

na tropie zorzy polarnej

Zobacz jedne z najpiękniejszych miejsc norweskiego wybrzeża, gdzie czeka nas przejażdżka psim zaprzęgiem oraz rejs po Lofotach w blasku zorzy polarnej.

Tromsø i okolice to jedno z najlepszych miejsc na świecie do obserwacji zorzy polarnej. Czekają nas cztery noce na podziwianie tego niezwykłego spektaklu. Za dnia odkryjemy surowe wybrzeże Norwegii, popłyniemy wśród Lofotów, odwiedzimy Sommarøy i przejedziemy się psimi zaprzęgami. Chętni mogą wybrać się także na wyjątkowy rejs w poszukiwaniu wielorybów i orłów morskich.

6 dni
Wyloty z Warszawy
12/01, 03/02 2027

od **9.998,-**





Podróż przez Wietnam – zwiedzanie i relaks

Odkryj różnorodną przyrodę i kulturę Wietnamu od tętniących życiem ulic Hanoi po spokojne wody Delty Mekongu. Zamieszkaj w malowniczych resortach z dala od utartych szlaków, przemierzaj Ninh Binh łodzią i rowerem, odpoczywaj na wybrzeżu w Quy Nhon i poczuj wielkomiejski puls Ho Chi Minh City. Ta wycieczka to unikalne połączenie klasycznych atrakcji i autentycznych doświadczeń.



17 dni | Wyloty z Warszawy 04/11 2026, 09/03 2027 | od **12.998,-**



Normandia i Bretania z Mont St. Michel

Poznaj północne wybrzeże Francji z jej słynnymi plażami oraz uroczymi zakątkami pachnącymi calvadosem, serem camembert i ostrygami.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Paryża. W drodze do Caen zwiedzanie ogrodów Moneta w Giverny w Normandii. Kolacja w normandzkiej restauracji. **Dz. 2** Caen – Bayeux i miejsca związane z desantem wojsk alianckich w Normandii w 1944 roku. **Dz. 3** Caen. Degustacja normandzkich serów, calvadosa i cydru. Zwiedzanie urokliwego Honfleur. **Dz. 4** Z Normandii w kierunku Bretanii. Ogród Christiana Diora w Granville i wyjątkowa wyspa Mont St. Michel. **Dz. 5** Mont St. Michel. Ostrygi w Cancale, zwiedzanie otoczonego murami obronnymi pirackiego miasta Saint-Malo oraz domy szachulcowe w Dinan. **Dz. 6** Z Normandii do historycznego Chartres. **Dz. 7** Przedpołudnie w Chartres i powrót do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 09/06, 23/06 2027 | od **7.298,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL36**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 1ad5874e11



Biznesmeni z samolotu

Karol Nawrocki ogłosił, że: „Już niedługo miejsca w prezydenckim samolocie będą dostępne także dla polskiego biznesu". Prezydencki Pokład Biznesu ma być „nową inicjatywą skierowaną do firm zainteresowanych rozwojem działalności na rynkach zagranicznych". Pierwszy wyjazd już w piątek 18 września – na tydzień, do USA, w związku z udziałem głowy państwa w dorocznej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Ci, którzy chcieli lecieć z Nawrockim, musieli zgłosić się przez stronę internetową (do 13 września): opisać swoje usługi i sukcesy związane z miejscem wizyty. A do tego podpisać oświadczenie, że nie będą się reklamować w sposób sugerujący preferowanie przez prezydenta – dali za to zgodę na wykorzystywanie swojego wizerunku przez Kancelarię Prezydenta.

Otoczenie Nawrockiego formalizuje to, co jego poprzednicy praktykowali – już za czasów Aleksandra Kwaśniewskiego przedstawiciele biznesu towarzyszyli mu podczas zagranicznych wizyt. Także Andrzej Duda zabierał ich na pokład – a towarzystwo jednego z nich okazało się osobistą inwestycją. Duda w ostatnią podróż zagraniczną, do Singapuru, zabrał m.in. Dawida Rożka, twórcę fintechu Zen.com. Stwierdził, że to wizyta, która „przyniesie wymierne korzyści dla Polski, dla polskiego biznesu". Dudzie z pewnością przyniosła, bo zaraz po skończonej prezydenturze znalazł pracę u Rożka.

– *To próba uporządkowania zasad zabierania na pokład prezydencki ludzi biznesu. Ważne, aby podane były jasne kryteria wyboru przedsiębiorców, informacja, kto o tym wyborze decyduje, i aby publikowana była lista tych, którzy polecieli* – zwraca uwagę Krzysztof Izdebski z Fundacji Batorego.

Z tym ostatnim Kancelaria Prezydenta ma jednak problem. W maju POLITYKA poprosiła o listę osób z delegacji przedsiębiorców towarzyszących Nawrockiemu podczas kwietniowego szczytu Inicjatywy Trójmorza w Dubrowniku. Poinformowano nas jedynie, że lista powstała na podstawie Rady Biznesu przy Prezydencie RP. To, obok rady samorządowej, najliczniejsza prezydencka rada – zasiada w niej 69 przedsiębiorców. W sierpniu Nawrocki spotkał się z nimi w rezydencji w Juracie, czym wielu chwaliło się później w mediach społecznościowych. Ponowiliśmy pytania, bo opinia publiczna ma prawo wiedzieć, którzy przedsiębiorcy lecą prezydenckim samolotem. Nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Dopóki nie poznamy jasnych kryteriów naboru i listy biznesmenów towarzyszących prezydentowi, Prezydencki Pokład Biznesu będzie tylko piarowym zagraniem. (DĄB.)

STAR: reaktywacja

Podczas Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach niemiecki koncern MAN zaprezentował wielki pojazd ciężarowy z napędem terenowym 8×8, będący adaptacją ciężarówki MAN TGS 6×6. Jednak nie sam pojazd zrobił wrażenie, ale znak na masce: **STAR**. Niemcy przywrócili słynną markę peerelowskich ciężarówek ze Starachowic, z której sami zrezygnowali dwie dekady temu.

Przypomnijmy: powstała w 1948 r. Fabryka Samochodów Ciężarowych STAR na początku lat 90. została sprywatyzowana, jak niemal wszystkie krajowe fabryki motoryzacyjne. Skupował je Sobiesław Zasada, licząc, że na ich bazie stworzy własny koncern wykorzystujący niemiecką technologię oraz polskie fabryki i marki. Projekt go przerósł i Zasada musiał sprzedać fabrykę STAR. Nabywcą został koncern MAN, który krótko produkował ciężarówki STAR, potem markę wygasił, następnie zaprzestał w Starachowicach produkcji ciężarówek, przenosząc fabrykę do Niepołomic. W Starachowicach produkowane są autobusy MAN.

Skąd nagle w Niemcach taka nostalgia za *nomen omen* starą polską marką STAR?



„Dzięki inicjatywie »Made in Poland« oraz reaktywowanej marce STAR łączymy lokalną produkcję, rozbudowaną sieć serwisową i ścisłą współpracę z polskimi partnerami" – tłumaczył Alexander Vlaskamp, dyrektor generalny MAN Truck & Bus. Pokazany w Kielcach opancerzony STAR Hyperion 8x8 to „ciężka platforma" dla bezzałogowego systemu rozpoznawczo-uderzeniowego GLADIUS, czyli wyrzutni dronów polskiej Grupy WB.

STAR jest więc pomysłem na pozyskanie pieniędzy z programu SAFE, pod polską flagą i peerelowskim znakiem. Niemcy mają świadomość, że nieużywanie marki STAR może doprowadzić do tego, że stracą do niej prawa i ktoś im ją odbierze. Tym kimś może być Sobiesław Zasada, który nie porzucił planów związanych ze Starachowicami. Działa tam jego spółka Autobox zajmująca się produkcją, remontami, modernizacją pojazdów wojskowych i cywilnych, która także jest zainteresowana programem SAFE. Zasada odzyskał już od MAN-a dawną dokumentację ciężarówek STAR, ale nie prawa do znaku.

Biznesmen rajdowiec mimo zaawansowanego wieku (96 lat) nie traci energii. Wybrał się właśnie za ocean, by wystartować za kierownicą Porsche w rajdzie Gran Premio Historico Argentino. Chce w ten sposób przypomnieć, że 59 lat temu wraz z pilotem Jerzym Dobrzańskim zwyciężyli w Gran Premio Argentino. 3 tys. km argentyńskich gór, pustyń i bezdroży pokonali, jadąc Porsche 911 w 23,5 godz. W tym roku mistrz do przejechania będzie miał 3,3 tys. km, ale rajd jest rozłożony na etapy trwające siedem dni. (AG)

© ADAM WARŻAWA/PAP, MP

eprasa.pl 1ad5874e11

Promujemy się w czasie przeszłym



Jarosław Kuźniar

Dziennikarz, twórca platformy podkastowej Voice House.

Polska jest w świetnym dla siebie momencie i nie umie się sprzedać. Świat docenia, że stoimy mocno na nogach ekonomicznie – rośniemy jak nikt inny w Europie. Widzi, że za technologią AI stoi grupa doskonale przygotowanych Polaków. Że jest tu bezpiecznie, nowocześnie; że skrajne prawo bulgocze (jak wszędzie), ale społeczeństwo ma to (jeszcze?) pod kontrolą. Białe niedźwiedzie na ulicach Warszawy można już odwołać. W Moskwie są bardziej u siebie. Globalny biznes zaś wie, że nie jesteśmy już ani tanią montownią dla Zachodu, ani początkującym księgowym. Że szukanie oszczędności w Indiach i Afryce kończy się tęsknotą za jakością kompetencji z Polski. To widać także w europejskich wynikach testów edukacji PISA. Dojrzeliśmy. Zapracowaliśmy na to, żeby przejmować najbardziej wymagające zadania. To nasi menedżerowie zostają szefami europejskich struktur globalnych firm. Bez wstydu, bez kompleksów. Bo Zachód jest tu.

Ale jako kraj nie ogarniamy własnej komunikacji. Ostatnie próby Polskiej Organizacji Turystycznej – czyli strategie pisane na „kolAlnie" i teledyski zamiast storytellingu – rozbiły się o skandale. Tradycyjnie ujawniły się tłumy specjalistów od marketingu i reklamy. Każdy jest przekonany, że zagrałby, wyreżyserował i wycenił to zdecydowanie lepiej i taniej. Znamy to – kanapowych piłkarzy, tenisistów, siatkarzy i aktorów mamy mnóstwo. Ale jakoś brakuje nam pomysłu. Czym ta Polska jest: swoją przeszłością czy swoją nadzieją? Jaki komunikat chcemy wysłać w świat, komu chcemy go sprzedać, kto ma być posłańcem naszej narracji: Wałęsa, Tokarczuk, Jimek, Lewandowski, Chopin, Skłodowska, Pawlikowski, a może Jan Paweł Adamczewski? Sarmaty w nas wciąż sporo, nie chce wyleźć i dać się zapomnieć.

Firma Apple w 1997 r. straciła mnóstwo pieniędzy, ale też zgubiła swoją tożsamość. To wtedy narodziła się jedna z najlepszych kampanii w historii: „Think Different". Albert Einstein, Mahatma Gandhi, Pablo Picasso, Bob Dylan. „Here's to the crazy ones" – zaczynał głos Richarda Dreyfussa. „Za szaleńców. Za niedopasowanych. Za buntowników. Za mącicieli. Za tych, którzy widzą rzeczy inaczej. Nie przepadają za zasadami. I nie mają szacunku dla status quo. Można ich cytować, nie zgadzać się z nimi, sławić ich albo potępiać. Jedyną rzeczą, której nie można zrobić, to zignorować. Bo to oni zmieniają świat. Popychają ludzkość naprzód". Prawda, że mocniejsze niż „More than you expected"? W tym stwierdzeniu z oficjalnej reklamy Polski brakuje mi dumy. Jest zawstydzenie.

W świecie przebodźcowanym nadmiarem treści wygramy nie kolejnym pospiesznym montażem, ale dobrze opowiedzianą historią. Ale jaka ona dziś jest? Kim jest Polska, jaka idea za nami stoi? Na to musimy sobie odpowiedzieć, zanim włączymy kamery. Islandia nie sprzedaje wulkanów i wodospadów – stawia na doświadczanie życia. Estonia to cyfrowa wygoda, Korea – kultura (nawet jeśli nie nasz beat). W Bilbao pomogło Muzeum Guggenheima, Nowemu Jorkowi nie zaszkodził Milton Glaser ze swoim „I ♥ NY". My zaś chcemy pokazać wszystko naraz, więc nie zostaje nic. Promujemy się w czasie przeszłym, a nasza realna wartość jest w czasie teraźniejszym. Brakuje nam konsekwencji. Każdy rząd i każda agencja zaczynają od zera. A na chaosie trudno osiągnąć sukces.

Gromda pod lupą

Policjanci z pionu kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Radomiu wkroczyli do mieszkań i lokali powiązanych z Gromdą Fight Club. Przeszukania prowadzono w całej Polsce. To skutek śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Okręgową w Warszawie wszczętego po pobiciu pary młodych Ukraińców we Wrocławiu. Jeden z napastników to zawodnik Gromdy. Jak pisaliśmy na naszych łamach (POLITYKA 32), prokuratorzy przyjrzeli się filmom i wpisom zamieszczanym na facebookowym profilu GFC. Już wówczas prokurator Piotr Antoni Skiba informował, że ich analiza wykazała, że mają radykalnie ksenofobiczny i rasistowski charakter, skierowane są przede wszystkim przeciwko osobom narodowości ukraińskiej, przedstawicielom innych ras, imigrantom z Afryki i Azji. „Treść oraz sposób przygotowania i publikowania tych materiałów uzasadnia również zbadanie, czy doszło do propagowania ideologii ekstremistycznej, czyli nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne" – wyjaśniał rzecznik Prokuratury Okręgowej, dodając, że w analizowanych wpisach i filmach mowa jest również o potrzebie przełamania monopolu państwa na używanie przemocy.

Za analizą poszły działania. Zareagował na nie Mariusz Grabowski, szef Gromdy, który na swoim koncie na X opublikował krótkie nagranie, w którym m.in. mówi: „Organy pracują, niech śledczy wyjaśniają każdą sprawę. My jesteśmy za tym, by dogłębnie tę sprawę wyjaśnić. Robienie medialnej szopki nie należy do nas, nie chcemy tego robić".

Parę młodych Ukraińców pobito pod koniec lipca. Kilka dni później policja zatrzymała 27-letniego Tomasza M. i 45-letniego Adama C., ps. Cycu, który jest zawodnikiem Gromdy. Pierwszemu z mężczyzn grozi do 5 lat więzienia, drugiemu, mającemu na swoim koncie już odsiadkę – do 7,5 roku. Wciąż poszukiwany jest trzeci napastnik; policja zna jego tożsamość, ale mężczyzna ukrywa się lub wyjechał za granicę. Założona w 2020 r. przez Grabowskiego – czyli również człowieka z kryminalną przeszłością – federacja promuje walki bokserskie na gołe pięści. Jej konto na Facebooku obserwuje ponad 530 tys. osób. I to na tym koncie można przeczytać wpisy takie jak ten: „Tu jest Polska. To jest nasz kawałek ziemi i nasze zasady. Jeśli komuś się nie podoba, to wynocha". (KK)

Rafałowi Kalukinowi

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Syna

składają przyjaciele z POLITYKI

eprasa.pl 1ad5874e11

Wojna bliżej nas



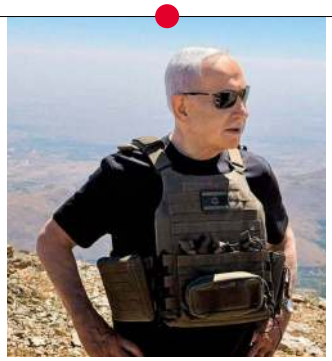
Mieszkańcy wschodniej Polski po wakacjach wrócili do domów położonych, jak się okazuje, znacznie bliżej frontu. Powtarzające się prawie codziennie alarmy o zagrożeniu powietrznym na Podkarpaciu i Lubelszczyźnie dobrze świadczą o przebudzeniu polskiego systemu ostrzegania. Zarazem to sygnał, że wojna Rosji z Ukrainą może w każdej chwili przekroczyć polską granicę. Jeden z dronów uderzył w stację paliw niecały kilometr od niej, inny trafił w lokomotywę pociągu relacji Kijów–Warszawa stojącego przed granicą (skład ostatecznie dojechał do celu); bomby zrzucono na stacje w Kowlu i Łucku, kilkadziesiąt kilometrów dalej. Podczas gdy Kijów niemal codziennie zmaga się z morderczymi, wielogodzinnymi bombardowaniami, w Polsce słychać nie tylko świst pocisków i huk wybuchów docierający z zachodniej Ukrainy. Narasta też alarm werbalny.

„Barbarzyńcy stoją u bram" – ostrzegał po atakach ukraiński minister spraw zagranicznych Andrij Sybiha. A Radosław Sikorski wsiadł do pociągu, który mógł stać się celem. W niedzielę premier Tusk, w swoim stylu, zwołał naradę szefów służb i ogłosił, że agresywnych działań Rosji będzie więcej. Tak utrzymuje też szef CIA, który niedawno wrócił z Moskwy z niewesołymi wieściami. Nowy minister obrony Estonii, były szef sztabu generalnego Martin Herem, przestrzega zaś, że przygotowanie ataku na NATO po zakończeniu obecnej wojny zamiast kilku lat zajmie Rosji raptem kilka miesięcy. Nie brakuje jednak opinii (m.in. byłego szefa komitetu wojskowego NATO, adm. Roba Bauera), że rosyjska gospodarka i polityka wojenna są tak rozpędzone, że nie potrzebują żadnej przerwy i mogą otworzyć drugi front, zanim zamkną pierwszy.

Dowódca operacyjny wojska gen. Ireneusz Nowak powiedział „Rzeczpospolitej", że właściwie nie ma już wątpliwości, że nowoczesny rosyjski pocisk celowo eksplodował na polu pod Lublinem 30 lipca – i dlatego zmierzał do celu nisko nad ziemią, myląc nasze radary. Jak czasem zawodna bywa technologia, świadczy omyłkowy alarm, gdy z dronami pomylone zostało stado ptaków. Rosja „ptaki" ma coraz szybsze, a stada liczą ich setki. Powolne śmigłowe Szahedy zastąpiła szybkimi odrzutowymi Gieraniami-5, przypominającymi pociski manewrujące – i tak samo kosztownymi. W obliczu eskalacji, notorycznego braku Patriotów i strachu przed zimą Ukraina wysyła sygnały o gotowości do rozmów z Rosją. Donald Trump uznał je za kolejną zapowiedź swojego pokojowego sukcesu. Do spotkania Zełenskiego z Putinem miałoby dojść w czasie grudniowego szczytu G20 na Florydzie. Jednak za trzy miesiące klimat negocjacji może być tylko gorszy.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Pan Katastrofa



Beniamin Netanjahu przez lata budował polityczny kapitał na haśle, że to on najlepiej potrafi zapewnić Izraelowi bezpieczeństwo. Dziś ten mit zaczyna się rozpadać. Najpoważniej ciąży na nim sprawa ostrzeżenia, które – według śledztwa „Haareca" – około dziesięciu dni przed 7 października 2023 r. prezydent Zjednoczonych Emiratów Arabskich Mohammed bin Zayed miał przekazać Netanjahu. W 45-minutowej rozmowie miał powiedzieć, że przywódca Hamasu Jahja Sinwar przygotowuje „poważną operację" przeciwko Izraelowi, ostrzegając też przed destabilizacją regionu i zagrożeniem dla porozumień abrahamowych. Według „Haareca" Netanjahu zapewnił, że Izrael jest przygotowany, a Hamas może planować atak na Zachodnim Brzegu. Informacja nie trafiła jednak potem ani do szefów Szin Betu, Mosadu, ani do dowództwa armii. Netanjahu wszystkiemu zaprzecza. Jego biuro twierdzi, że rozmowy z bin Zayedem w tym czasie nie było i zapowiada pozew przeciwko „Haarecowi". Problem w tym, że nie jest to pierwsza informacja o zlekceważonym ostrzeżeniu – o planowanym ataku mieli alarmować też Egipcjanie. Kwestia odpowiedzialności za katastrofę z 7 października 2023 r. pozostaje więc jednym z najważniejszych tematów izraelskiej kampanii wyborczej i może zaważyć na wyniku wyborów 27 października.

Netanjahu ma też kolejny kłopot: Wielka Brytania i 11 innych państw, w tym Polska, ogłosiły działania mające ograniczyć handel z izraelskimi osiedlami na okupowanym Zachodnim Brzegu. Londyn zapowiedział zakaz importu towarów z osiedli, pozostałe państwa deklarują własne restrykcje. To szczególnie bolesny sygnał z Londynu. Brytyjski rząd nie tylko uznaje izraelskie osiedla za nielegalne, ale też mówi o bezprawności samej okupacji i o „czystkach etnicznych" na Zachodnim Brzegu.

Izrael odpowiedział ostro: zamknie brytyjski konsulat we Wschodniej Jerozolimie, zakaże wjazdu 12 Brytyjczykom uznanym za „antysemitów", a Wielka Brytania straci udział w kierowanej przez USA misji koordynacyjnej dotyczącej Gazy. Ekonomicznie sankcje nie muszą Izraela szczególnie zaboleć, bo towary z osiedli stanowią niewielką część eksportu do Europy. Politycznie znaczenie jest jednak większe: grupa państw mówi wprost, że ekspansja i przemoc osadników podważają możliwość powstania państwa palestyńskiego. Co ważne, USA nie potępiły Wielkiej Brytanii ani nie wprowadziły wobec niej kontrsankcji. Dla Netanjahu to zły sygnał: tym razem nie stanął za nim nawet najważniejszy sojusznik. Polityk, który przez lata przekonywał, że jest „Panem Bezpieczeństwo", powoli staje się „Panem Katastrofą".

AGNIESZKA ZAGNER

eprasa.pl 1ad5874e11

5 tys. to za mało



W zeszłym tygodniu w Dallas w stanie Teksas Republikanie mieli swoją konwencję przed połówkowymi wyborami do Kongresu, które już w listopadzie. Konwencja była wyjątkowa z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, nie robi się takich imprez w stanach, gdzie zwycięstwo ma się w garści – **Donald Trump** w ostatnich wyborach miał tam 14-punktową przewagę. Amerykańskie partie zazwyczaj skupiają się na stanach, gdzie walka będzie się toczyć „na żyletki". Tu są dwa wytłumaczenia: albo Republikanie odpuścili już te wahające się stany, bo prognozy pokazują, że niemal na pewno stracą kontrolę w Izbie Reprezentantów i prawdopodobnie w Senacie, albo sam Teksas jest już zagrożony.

I drugi powód: niewiele tam było o samej Partii Republikańskiej, a niemal wszystko o Trumpie. Prezydent brylował na spotkaniach, a jego główne przemówienie przejdzie do historii – w jego trakcie m.in. kazał przysięgać zebranym lojalność wobec „najwspanialszego prezydenta USA w historii" (zgadnijcie kogo) i przestrzegał, że jeśli jego wyborcy nie zagłosują w listopadzie, to „pójdą do piekła". Najwięcej rozgłosu przyniosła Trumpowi obietnica dywidendy. Prezydent tłumaczył, że „to były dwa najlepsze lata w historii USA, pod względem zarówno finansowym, jak i każdym innym" (przeczą temu wszystkie dane, od inflacji poczynając, przez PKB, na zadłużeniu państwa kończąc). I dlatego – zapowiedział Trump – jeśli Republikanie wygrają na jesieni, każdy dorosły obywatel USA dostanie 5 tys. dol. Może to nie jest wałęsowskie 100 mln, ale zrobiło wrażenie, tym bardziej że taki ruch w świetle amerykańskiego prawa byłby po prostu nielegalny.

Inna sprawa, że te 5 tys. dol. może nie wystarczyć na pokrycie m.in. rosnących cen ropy naftowej – w zeszłym tygodniu baryłka kosztowała już ponad 100 dol., czyli wróciła do poziomu z początku amerykańsko-izraelskiej agresji na Iran. A to z powodu gwałtownej ofensywy jemeńskich Huti. Ta wspierana przez Iran organizacja zbrojna, która od 2014 r. kontrolowała ok. 30 proc. terytorium Jemenu, w tym stolicę Sanę, 9–11 września zajęła najpierw ważny port Mokka (tak, ten od kawy), a potem dotarła nad brzeg cieśniny Bab al-Mandab, która łączy Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim. Huti mają więc teraz kontrolę nad najważniejszą z punktu widzenia transportu ropy cieśniną – obok Ormuzu, który kontrolują ich irańscy sprzymierzeńcy. Trump od razu powinien pomyśleć o indeksowaniu wysokości swojej dywidendy względem obecnych i kolejnych wojen, które zamierza wywołać. ŁW

Remis ze wskazaniem

Pierwszymi zwycięzcami wyborów w Szwecji zostali matematycy. Kraj zagłosował 13 września. Sondaże exit poll wskazywały na niewielką przewagę opozycyjnego bloku lewicowego. Po zsumowaniu 94 proc. głosów różnica utrzymywała się na poziomie trzech mandatów i stało się jasne, że trzeba poczekać do środy (już po zamknięciu tego numeru) na przeliczenie części kartek wrzuconych do urn w placówkach dyplomatycznych i przesłanych pocztą. Oczekiwanie umilali spece od statystyki wyborczej, którzy przypominali, że w Szwecji takie remisy to rzecz zwyczajna, i objaśniali prawdopodobieństwo, z jakim środowa pula może wpłynąć na całe rozstrzygnięcie.

Stawka jest historyczna. Patrzy Europa, nastrojona najnowszymi postępami skrajnie prawicowej AfD w Niemczech. W przypadku powodzenia czteropartyjnego bloku prawicowego pierwszy raz do rządu wchodzą Szwedzcy Demokraci – partia z neonazistowskimi korzeniami i z typowym dla antyimigranckich radykałów repertuarem ksenofobicznych pomysłów. Działają od lat 80.; w ostatnich dekadach zyskiwali na popularności i stawiali na umiarkowaną fasadę. Z przekonaniem, że prędzej niż później sięgną po władzę. Długo i skutecznie otaczano ich kordonem sanitarnym, co właśnie dobiega końca. W 2022 r. zdobyli 20,5 proc. i stali się największym prawicowym stronnictwem w Riksdagu. Przy braku zdolności koalicyjnych nie weszli do rządu obecnego premiera Ulfa Kristerssona, ale dawali mu poparcie. Teraz, w przypadku wygranej prawicowego bloku, mają zagwarantowany udział w rządzie, choć tym razem – pewnie w związku ze skrętem całej sceny w stronę rygorystycznego regulowania spraw migracyjnych – zanotowali pierwszy spadek poparcia od 2010 r.



Drugiej stronie, też poskładanej z czterech ugrupowań, przewodzi była premierka **Magdalena Andersson**, przywódczyni Partii Socjaldemokratycznej. Jej pełen nadziei sztab dzień głosowania rozpoczął od odśpiewania piosenki „Mamma Mia" z lekko zmienionym tekstem: „Magdaleno, znowu się zaczyna". Akompaniował Benny Andersson, autor hitu i pianista zespołu ABBA. Tyle że socjaldemokraci, którzy długo dominowali w szwedzkiej polityce, też wypadli słabo – wynik ok. 28 proc. jest najgorszy od 1908 r. Rośli za to partnerzy: silnie proeuropejscy Zieloni, liberalne Centrum oraz euro- i natosceptyczna Lewica, występująca dawniej pod komunistycznym szyldem. Skonstruowanie rządu nie będzie łatwe, choćby dlatego, że Centrum nie chce widzieć w gabinecie byłych komunistów. Czyli nic nowego, bo długie i skomplikowane targi po wyborach to też część szwedzkiej specyfiki. JW

© AFP/EAST NEWS, ANADOLU/GETTY IMAGES, ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES, STEFAN JERREVANG/AFP/EAST NEWS





Warszawa

Dwie ekranizacje „Lalki”, najbardziej warszawskiej z wielkich powieści, zapowiadają się na prawdziwe hity tej jesieni. U wielu widzów obudzą także ciekawość do samego miasta i chęć przyjrzenia się jego mieszkańcom. Także obecnym, których reszta Polaków coraz bardziej nie lubi.

JOANNA SOLSKA

W czasach „Lalki”, czyli w latach 1878–79, Warszawa, stolica prowincjonalnej guberni carskiego imperium, dzięki przedsiębiorczości Polaków dorabiała się na handlu Europy Zachodniej z Rosją. Romantyczne, nieskuteczne zrywy powstańcze zostały zastąpione przez pozytywistyczne zarabianie pieniędzy, dla siebie, nie dla ojczyzny. Bohaterowie powieści podróżują Koleją Warszawsko-Wiedeńską, biznes także Koleją Terespolską lub Petersburską. Dzięki rozwiniętej sieci kolei żelaznej Warszawa uniezależniła transport od złego stanu dróg, u schyłku wieku stała się trzecim, po Petersburgu i Moskwie, miastem imperium.

Jeszcze na początku XIX w. liczba Warszawiaków wynosiła nieco ponad 60 tys., ale w 1864, czyli roku upadku powstania styczniowego, mieszkańców było już ponad 220 tys.

eprasa.pl 1ad5874e11



kusi i odstrasza

W czasach, gdy toczy się akcja powieści, według „Warszawskiej Gazety Policyjnej" miasto liczyło 336 tys. osób i już zaczynało się dusić. Ścisk, brud i nędza nie dotyczą bohaterów „Lalki", dostrzegamy je tylko wtedy, gdy Wokulski udaje się na Powiśle. Problem był w tym, że dla Rosjan ważniejsze było znaczenie strategiczne miasta, które stanowiło też twierdzę, co oznaczało, że nie wolno było powiększać jego granic, bo to utrudniałoby obronę. Na 33 km kw. ludzie mieścili się z coraz większym trudem, warunki sanitarne były tragiczne. (Dla porównania – obecnie Warszawa rozlewa się na powierzchni 517 km kw.). Warszawiacy na powiększenie obszaru miasta czekali aż do 1916 r., gdy Rosjan już w mieście nie było i – na krótko – zastąpili ich Niemcy, którzy zgodzili się rozszerzyć miasto do 100 km kw. Ale (tak jak dzisiaj) infrastruktura nie nadążała za szybkim i chaotycznym rozwojem.

Od 1875 r. miastem zarządzał Sokrates Starynkiewicz, Rosjanin, który okazał się świetnym gospodarzem, do dziś ma w stolicy swój plac, a obecni Warszawiacy często nie mają pojęcia, że nie był Polakiem. Starynkiewicz w 1877 r. zawarł umowę z brytyjskim inżynierem Williamem Lindleyem na zaprojektowanie i zbudowanie systemu wodociągów i kanalizacji, co trwało kilka lat. Nowoczesny system, stworzony już pod kierunkiem syna Lindleya, ruszył w 1886 r., choć w mieście Prusa nie brakowało jego przeciwników. Od tej pory cholera zdarzała się nadal w Petersburgu, ale już nie w Warszawie, której poziom sanitarny znacznie się podniósł.

W 1881 r., a więc dwa lata po zakończeniu akcji „Lalki", ruszyła pierwsza miejska linia tramwaju konnego, zorganizowana na zlecenie Starynkiewicza przez spółkę belgijską. Po dwóch latach sieć tramwajowa miała już 22 km i 11 linii, po których kursowało 80 pojazdów.

Niestety, na tramwaje elektryczne Warszawiacy czekali dłużej, ruszyły dopiero w 1908 r. Wtedy już jeździły nie tylko po niemieckim wówczas Wrocławiu, Gdańsku czy Szczecinie, ale także po Łodzi, która stawała się centrum, „ziemią obiecaną" przemysłu włókienniczego. Pierwsze latarnie elektryczne pojawiły się w Warszawie pięć lat po „Lalce". Korzystanie z elektryczności ▶

© LESZEK ZYCH (2)

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ stało się w mieście powszechne po 1904 r., gdy ruszyła Elektrownia Warszawska na Powiślu (dziś modna galeria handlowa).

Korpobuce

Ale Warszawa nie stała się „Paryżem Wschodu", jak ją nazywano jeszcze w czasach II Rzeczpospolitej. Historia miasta nie ma ciągłości, została przerwana wojenną masakrą dokonaną tu przez hitlerowskich okupantów na mieście i jego mieszkańcach. W sierpniu 1939 r. miasto liczyło już 1 mln 357 tys. obywateli, ale jedną trzecią stanowili Żydzi, z których większość nie przeżyła wojny. W maju 1945 r. doliczono się zaledwie 370 tys. Warszawiaków. Część tych, którzy przetrwali, wyniosła się na Śląsk albo bliżej – do Łodzi, gdzie łatwiej można było znaleźć jakieś lokum. O historycznej dziedzicznej warszawskości trudno więc mówić. A jednak Warszawiacy się wyróżniają, zwłaszcza w oczach innych Polaków.

Stali się symbolem Polski uprzywilejowanej, ludźmi, którym żyje się lepiej tylko z tego powodu, że mieszkają w dobrym miejscu, bez ich własnych zasług. W stolicy bowiem są najlepiej płatne miejsca pracy, instytucje centralne, korporacje, media, kapitał, tam zapadają najważniejsze decyzje polityczne. Gdyby jedynym źródłem opinii o Warszawiakach były media społecznościowe, można by uważać, że 90 proc. Polaków ich nie lubi, ma o nich złe zdanie. Z badań przeprowadzonych przez stołeczne Biuro Strategii i Analiz wynika, że aż tak źle nie jest, niemniej negatywne opinie dominują. Różnice biorą się stąd, że algorytmy chętniej upowszechniają poglądy skrajne, uproszczone, złośliwe.

Mieszkanie w lepszej, bogatszej Polsce A zdaniem internautów czyni z Warszawiaków ludzi, którzy uważają się za lepszych i z pewnością gardzą prowincją. Z dokładniejszych badań Biura Strategii i Analiz płynie jednak wniosek, że najbardziej negatywne opinie wyrażają osoby, które miasta ani jego mieszkańców nie znają, nie byli w stolicy nigdy albo rzadko i na krótko, własnego zdania sobie nie wyrobiły, powtarzają stereotypy.

Najbardziej negatywne cechy, które przypisuje się Warszawiakom to: arogancja, snobizm „ąę", nastawienie na karierę i pieniądze. Stereotyp „nie masz cwaniaka nad Warszawiaka" wypadł z obiegu, pochodził z okresu, gdy przyjezdni obawiali się, że ktoś im sprzeda Kolumnę Zygmunta, a w najlepszym razie oskubie z pieniędzy w trzy karty. Nowy stereotyp Warszawiaka, skupiający najbardziej negatywne emocje, to: *korpobuce*, symbol tego, czym reszta Polski gardzi, bo przekonana jest, że *korpobuce* gardzą nimi. Stali się symbolem stylu życia nazywanego Warszafką. Stylu, z którym większość mieszkańców stolicy bynajmniej się nie utożsamia. Ten stereotyp urodził się już po transformacji.

Korpoludki są pewne siebie, lubią demonstrować swój status, czyli mieszkanie na kredyt, auto w leasingu oraz weekendy w Barcelonie, Berlinie lub co najmniej w Tatrach. Polaków spoza stolicy złoszczą anglicyzmy, które w korporacjach powszechnie zastępują język polski, a pracownicy używają ich także po pracy. W myśl tego stereotypu korpobuc nawet w małej miejscowości będzie szukał „dżelaterii, pasticzerii i vege schabowego". Tyle że to niekoniecznie Warszawiak, raczej stereotyp przedstawiciela klasy średniej aspirującego do wyższej, pracującego w korporacji, która równie dobrze może mieć siedzibę w Krakowie czy Poznaniu. Ten typ wykpiwany jest nie tylko przez mieszkających poza stolicą, ale też przez samych Warszawiaków, którzy naśmiewają się z pracy w służewieckim Mordorze czy pozerstwa w Miasteczku Wilanów.



eprasa.pl 1ad5874e11



Trakt Królewski w części ulicy Krakowskie Przedmieście. To na niej miał swój sklep powieściowy Stanisław Wokulski.

© SHUTTERSTOCK

Z zalewu negatywnych emocji można wyłowić też pozytywne nutki podziwu i zazdrości wobec Warszawiaków. Dostrzegana jest wielkomiejska tolerancyjność, otwartość na rozmaite style życia. Badani przez Biuro Analiz i Strategii za symbol panującej tu tolerancji i wolności uważają Paradę Równości. Oto fragment wypowiedzi mieszkańca Katowic: „Jeżdżą sobie na tych starych rowerach, mają jakieś swoje muzyczki. Wszystko jest takie, że nikt nikogo nie ocenia, że jest już tak dużo tych różnych ludzi".

Wypowiadający swoje opinie o Warszawiakach zauważają też, że są oni „zabiegani". To o tyle prawda, że statystyczny Warszawiak traci na dojazdy do pracy około półtorej godziny dziennie, zwłaszcza dojeżdżający z nowych, źle skomunikowanych osiedli, takich jak Białołęka, Tarchomin. Krakusy zazdroszczą stolicy metra, choć to jedynie dwie linie, mają za złe Warszawiakom, że uważają swoje miasto za pępek świata, choć tak naprawdę jest nim Kraków.

Wszyscy jesteśmy słoikami

W stolicy zawsze, a po transformacji zwłaszcza, było dużo „słoików", czyli ludności napływowej, pracujących w mieście, ale w weekendy wracających do swojego miasteczka lub na wieś, żeby wrócić stamtąd ze słoikami z żywnością. Warszawiacy, którzy w większości – lub ich rodzice – też byli kiedyś słoikami, szybko o tym zapominają, o współczesnych „słoikach" mówią z niechęcią. „Zabierają nam pracę i mieszkania", które przez nich tak szybko drożeją. „Słoików" nie lubią też Polacy z innych miejscowości. „Od rdzennych Warszawiaków są gorsze w zachowaniach »słoiki«, które wracają z wizytą do rodzinnego miasta. »Słoik« się zachłysnął Warszawą i palma odbiła, wiesz – szybka ścieżka kariery, pieniądze" – zauważa w ankiecie osoba z okolic Gdańska.

Zarzut, że stolica wysysa najlepszych, najzdolniejszych ludzi z pozostałych części kraju, pojawia się często, powoduje złość. W ciągu ostatnich 10 lat Polsce ubyło 1,1 mln obywateli, ale w stolicy, w której przyrost naturalny także jest ujemny, mieszkańców jednak przybywa. Do miasta migrują bowiem osoby z innych regionów, dzięki nim starzeje się ono wolniej, połowa Warszawiaków ma mniej niż 42 lata. W kraju na każde 100 osób w wieku produkcyjnym przypada już 72 nieprodukcyjnych, ale w stolicy nieco mniej: 68. Mieszkańców nieodległej Łodzi ubywa najszybciej, bo przenoszą się do stolicy; Łódź rzeczywiście ma prawo mieć pretensje o wysysanie.

Warszawa ma tylu mieszkańców co Kraków, Wrocław i połowa Poznania razem wzięte, ale tak dokładnie nie wiadomo ilu. Zameldowanych w Warszawie jest według GUS 1 mln 870 tys., a naprawdę w niej mieszkających o ponad 200 tys. więcej, bo „słoiki" (a także migranci) często nie mają się gdzie zameldować. Jednak zarzut, że stolica demograficznie wysysa Polskę, jest niezupełnie prawdziwy – Kraków, Trójmiasto czy Wrocław też wysysają swoje regiony.

Zdaniem Szymona Pifczyka, autora bloga Kartografia Ekstremalna, Polacy z małych miejscowości najczęściej wyjeżdżają do siedziby województwa lub innego ośrodka ponadregionalnego, niekoniecznie do Warszawy. Dopiero z miast wojewódzkich najczęściej wyjeżdża się do Warszawy, ale i tu są wyjątki: z Opola i Zielonej Góry chętniej do Wrocławia, z Bydgoszczy do Trójmiasta, z Gorzowa Wielkopolskiego do Poznania. Z samej stolicy ludzie też się wyprowadzają, zwłaszcza do Trójmiasta, które ma opinię miejsca najlepszego do życia. Stolica zasysa ludzi przede wszystkim z Mazowsza, Podlasia czy Lubelszczyzny. Wielkopolska, Pomorze Zachodnie czy Dolny Śląsk się do niej ▶

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ nie przeprowadzają. Mieszkańcy największych miast o Warszawie myślą wtedy, gdy sądzą, że w obecnym miejscu ich kariera, również finansowa, ma małe szanse na skok w górę.

Również na tle innych miast europejskich Warszawa nie prezentuje się jako stolica wampir. Aglomerację warszawską według Eurostatu zamieszkuje zaledwie 9 proc. ludności kraju, tymczasem w aglomeracji budapeszteńskiej mieszka jedna trzecia Węgrów, a w okolicach Pragi co czwarty Czech. W Wiedniu, Brukseli czy Atenach od 25 do 35 proc. ludności tych państw. Natomiast w Berlinie czy Rzymie mniej niż u nas, bo tylko 7 proc.

Politycznie wroga Polska A

Faktem jest, że gospodarcza siła stolicy jest dużo większa, niż wskazywałaby liczba mieszkańców. Udział aglomeracji w produkcie krajowym brutto zbliża się do 20 proc. Jednak aglomeracja paryska wytwarza aż 31 proc. francuskiego dochodu, podobnie Sztokholm i Bratysława. Londyn – 23 proc., natomiast gospodarka niemiecka czy włoska jest bardziej zdecentralizowana, w stolicach powstaje zaledwie 5 proc. PKB.

Bogatą Polskę A stanowi nie tylko Warszawa. Napięcie między nią a „krzywdzoną przez los i transformację" Polską B narasta nie tylko z tego powodu, że A jest coraz bogatsza, ale – że większość wytwarzanego w kraju bogactwa powstaje jedynie w pięciu, licząc z Warszawą, regionach kraju: na Śląsku (11,5 proc. PKB), w Wielkopolsce (9,8), na Dolnym Śląsku (8,3) oraz w Małopolsce (8,1). W sumie 56,2 proc. PKB skupione jest w kilku województwach. Polska A nie żyje więc kosztem reszty, z niewielką przesadą można powiedzieć, że raczej pracuje na transfery dla „reszty kraju". Tu Polska wyróżnia się pozytywnie, nasz rozwój nie opiera się na jednym ośrodku, jest policentryczny.

Niechęć do Polski A, szczególnie Warszawy, przez lata podgrzewało Prawo i Sprawiedliwość. Przez osiem lat swoich rządów zrobiło wiele, aby zaszkodzić „politycznie wrogiej" Warszawie i generalnie samorządom. PiS zaczął majstrować przy systemie podatków od dochodów osobistych (PIT), których część wpływała do kasy lokalnych samorządów. Po wprowadzeniu 30 tys. kwoty wolnej od podatku wpływy z PIT do kas samorządów, zwłaszcza Warszawy, gwałtownie się zmniejszyły. Rezygnacja z pobierania od miasta „janosikowego" strat miasta nie zrekompensowała. Mieszkańcy odczuli to m.in. w wyższej opłacie za parkowanie samochodów czy większych podatkach lokalnych.

Za bogata, żeby jej pomagać

Na głowę mieszkańca stołecznego regionu przypada z polskiego PKB ponad 195 tys. zł i jest to dwukrotność średniej krajowej. W najbiedniejszym Lubelskiem PKB na głowę wynosi zaledwie 68,8 tys. zł – jak podaje GUS w publikacji „Regiony Polski 2026". Nawet w „obwarzanku" mazowieckim, czyli na obrzeżach województwa stołecznego, jest dużo biedniej, tam PKB na głowę wynosi zaledwie 60 proc. unijnej średniej. Więc kto może, próbuje się z obwarzanka do Warszawy przeprowadzić, a w każdym razie szukać tu pracy. Skutek tego taki, że bogatej Warszawie unijna pomoc już się nie należy.

Według Eurostatu siła nabywcza przeciętnego Polaka, czyli to, co może kupić w kraju za średnią pensję, wynosi już 78 proc. średniej unijnej. Warszawiacy mogą do koszyka włożyć więcej, bo ich siła nabywcza równa się aż 157 proc. średniej unijnej. Swoją zamożność stolica zawdzięcza atrakcyjności dla inwestorów. Ma dobrą infrastrukturę drogową i kolejową, a zagraniczny biznes docenia nawet to, czego my sami usiłujemy się pozbyć – że lotnisko międzynarodowe położone jest blisko centrum. Z raportu „Potencjał inwestycyjny Warszawy", sporządzonego przez firmę rekrutacyjną Antal i CBR, aż 28 proc. przedsiębiorców, którzy planują rozwój geograficzny swoich firm, na nową lokalizację wskazuje Warszawę, drugi jest Wrocław.

Najważniejszym argumentem, który ich do tego skłania, jest dostępność pracowników, o których dzisiaj coraz trudniej. Ważny jest potencjał edukacyjny miasta, studiuje tu przecież na różnych uczelniach aż 250 tys. osób. Wiele z nich gotowych jest zakorzenić się w Warszawie, jeśli dostanie pracę. Warszawa stała się największym w kraju ośrodkiem IT, centrum finansowym; stolica konsumuje ponad 30 proc. krajowych środków przeznaczonych na badania i rozwój. To ma także złą stronę, bo dystans dzielący ją od reszty kraju rośnie, a wraz z nim napięcia między Polską A i B.

Od kasjera do milionera

Pracy w stolicy jest dużo, a bezrobocie najniższe, wynosi zaledwie 1,5 proc. Według Urzędu Statystycznego w Warszawie średnie zarobki w mieście w czerwcu 2026 r. wynosiły 11 165 zł brutto, czyli 8020 zł na rękę. Połowa Warszawiaków zarabiała więcej niż 10 810 zł (to tzw. mediana). Do tej połowy należą specjaliści i menedżerowie. Według najnowszego raportu płacowego firmy rekrutacyjnej Antal średnie zarobki specjalistów wynoszą obecnie 16,4 tys. zł i w stolicy są najwyższe. Nie oznacza to jednak, że w Warszawie najłatwiej jest o pracę. Mimo niskiego bezrobocia gotowość zmiany zajęcia na lepiej płatne jest tu duża, więc także konkurencja na stołecznym rynku pracy panuje ogromna. O dobrą ofertę walczy wielu.

Budżet miasta stołecznego Warszawy wyda w tym roku 32 mld 196 mln zł. Na każdego mieszkańca stolicy przypada 17 tys. 310 zł – najwięcej w kraju i więcej, niż wydaje np. czeska Praga, chociaż mniej niż Paryż. Największą część stołecznego budżetu pochłaniają dotacje do edukacji, czyli szkół, przedszkoli i żłobków – aż 10,8 mld zł. Druga jest komunikacja miejska, do której dopłaci 7,8 mld, a na trzeciej pozycji jest ochrona zdrowia. Władzom miasta zarzucić można, że... za mało inwestują, Warszawa jest więc umiarkowanie zadłużona. Patrząc na rozkopane ulice, trudno uwierzyć w to, że Kraków, którego budżet jest równy jednej trzeciej budżetu Warszawy, jest podobnie jak stolica zadłużony na 9 mld zł.

Wyższych o ok. 20 proc. zarobków reszta kraju Warszawiakom zazdrości, na wyższe koszty życia, a przede wszystkim mieszkania już by się zamienić nie chciała. Według agencji Bożyk Nieruchomości połowa wynajmujących mieszkanie w Warszawie płaci za nie 3,5 tys. zł. To suma dla właściciela, powiększają ją dodatkowo opłaty za media, czynsz, śmieci i prąd. Brak mieszkań to największy problem Warszawiaków i powód, dla którego miasto rozrasta się chaotycznie w różnych kierunkach coraz dalej od centrum.

Polacy, którzy Warszawiaków na ogół nie lubią, o wiele cieplejszy stosunek mają do samej Warszawy. Powszechna jest opinia, że to miasto wielkich możliwości, czyste, zielone, z atrakcyjną nową architekturą, świetnymi restauracjami. I eleganckim sznytem „królewskiej osi" od Starego Miasta do Łazienek, która tak ładnie zagrała w obu „Lalkach".

JOANNA SOLSKA
WSPÓŁPRACA CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 1ad5874e11

POZNAJ BOHATERÓW POWIEŚCI



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 1ad5874e11



Pogrom piękno

eprasa.pl 1ad5874e11



© JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

duchów

Donald Tusk wchodzi właśnie w długą kampanię wyborczą, dekretując wojnę totalną ze złem. A na wojnie jak to na wojnie – nie ma wiele miejsca na wątpliwości i pytania.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Nie będzie miękkiej gry i odstawiania nogi. Rok przed wyborami parlamentarnymi prawda etapu, zadeklarowana przez Donalda Tuska, brzmi następująco: nie czeka nas zwykła kampania wyborcza, przed nami ponownie walka ostateczna, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, bo przeciwnik jest pobudzony, rozjuszony i ma swojego prezydenta. Mimo więc frustracji i znużenia jeszcze raz mamy zejść do okopów politycznej polaryzacji i nie pękać.

„Jak widzę bandyckie metody z tamtej strony, to ja nie będę udawał, że jestem ciotuleńką, która nie jest w stanie oddać. Tak nie może być, zło nie może triumfować. A to, co działo się i dzieje się do dzisiaj w instytucjach opanowanych przez PiS, to jest czyste zło" – mówił Donald Tusk, gdy ogłaszał kandydaturę jednego ze swoich najbliższych doradców do Trybunału Konstytucyjnego. A podczas Campusu Polska dodawał, że nie będzie bezradnym pięknoduchem, który stoi z „rozdziawioną gębą".

W tym kontekście wskazanie Macieja Berka na sędziego TK było jednocześnie testem i deklaracją. Szef rządu przetestował krnąbrność swojego politycznego zaplecza, z zadowoleniem przyjmując, że jest ono raczej potulne. Nawet Nowa Lewica i Polska 2050, które dużo i często mówią o „fundamentalnych wartościach demokracji liberalnej", posłusznie i bez większych protestów zagłosowały za Berkiem. Wprowadzenie politycznego wojownika do sądu konstytucyjnego to także twarda deklaracja wobec PiS i Karola Nawrockiego, że abstrakcyjne byty w postaci deklarowanych zasad i poglądów, które prawica i tak zawsze miała w pogardzie, nie będą odtąd krępować ruchów obozowi władzy.

Dla Prawa i Sprawiedliwości to jednocześnie groźba, ale i koło ratunkowe: partia Kaczyńskiego, osłabiona odejściem grupy Morawieckiego i aferą Zondacrypto oraz podgryzana przez obie konfederacje, z wdzięcznością przyjęła od Tuska potwierdzenie, że wciąż jest jego głównym, niekwestionowanym wrogiem. Byliśmy zresztą tego świadkami w ostatnich dniach, gdy politycy PiS radośnie odstawiali cyrk przed Akademią Wymiaru Sprawiedliwości, szarpiąc się z policją w obronie rektora odwołanego przez Waldemara Żurka. Również plotki o wejściu służb do Trybunału Konstytucyjnego wywołały tyleż gwałtowne, co przewidywalne reakcje obozu Kaczyńskiego, który obwieścił przy okazji, że sprzeciw ▶

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ wobec „łamania demokracji" będzie papierkiem lakmusowym wskazującym, kto jest prawdziwą opozycją, a kto tylko udaje, a tak naprawdę gra w orkiestrze Tuska.

Kamień w bucie

W kampanii 2023 r. upominające się o imponderabilia organizacje pozarządowe oraz ideowi, młodzi politycy w rodzaju Franciszka Sterczewskiego nadawali pewien moralny ciężar postulatom partii walczących o odsunięcie PiS od władzy. Dziś są uwierającym kamieniem w bucie.

Sterczewski, który na temat migrantów na wschodniej granicy, praw człowieka i praworządności konsekwentnie mówi to samo, co mówił przed 2023 r. (i płaci kary finansowe za łamanie dyscypliny klubowej), zbiera od najtwardszego elektoratu cięgi od dawna. Ale gdy nie zagłosował za kandydaturą Macieja Berka, zasłużył sobie także na protekcjonalne, publiczne połajanki. „Sorry Franek. Ja Ciebie nawet polubiłem za te twoje różne akcje. Ale (...) chcę być pewny, że chłopaki z tyłu mnie osłaniają, kiedy jadę na ostro. To jest wojna. I to nie czas na dylematy" – napisał do niego wpływowy europoseł Bartosz Arłukowicz.

O ile Sterczewski do roli bezceremonialnie strofowanego pierwszego naiwnego jest przyzwyczajony, o tyle szacowne organizacje pozarządowe (m.in. Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Fundacja im. Stefana Batorego, Instytut Spraw Publicznych czy Fundacja Panoptykon) mogły być nieco zaskoczone, że ich stanowisko, krytyczne wobec kandydatury Berka, nie tylko zostało spektakularnie zignorowane przez polityków, lecz również stało się pretekstem do ostrego ataku najbardziej zagorzałych zwolenników rządu Donalda Tuska.

Negatywne reakcje organizacji społecznych wzbudziło też odejście z rządu dobrze ocenianego wiceministra klimatu i środowiska Mikołaja Dorożały, co Urszula Pasławska z PSL uczciła triumfalną grafiką, na której w myśliwskim stroju i z dymiącą strzelbą świętuje „koniec dręczenia myśliwych i leśników". Najwyraźniej największą winą Dorożały było zbyt poważne trzymanie się ekologicznych zapisów umowy koalicyjnej, od dawna już dokumentu wstydliwego, o którym rządowi partnerzy najchętniej by zapomnieli. Podobnie jak o masowych protestach dotyczących praw kobiet – w trybie nagłym odwołano zaplanowane na poniedziałek posiedzenie sejmowej komisji nadzwyczajnej zajmującej się projektami liberalizacji prawa o przerywaniu ciąży. Mówi się, że Sejm ma być w tej sprawie wyręczony przez Trybunał Konstytucyjny po wejściu do niego Macieja Berka, ale są to zapowiedzi tak mało konkretne, że można je potraktować jako sklecony naprędce spin.

Wszystko to razem sprawia wrażenie, że tzw. społeczeństwo obywatelskie nie nadąża za obecną narracją polityczną Koalicji Obywatelskiej i jej mniejszych partnerów. Choć jest również i tak, że w polityce estetyka rzadko idzie w parze ze skutecznością. Obóz władzy może liczyć, że idealiści i tak ostatecznie zagłosują jak trzeba, przestraszeni alternatywą powrotu PiS do władzy w sojuszu ze skrajną prawicą. Tak się może stać, ale nie ma na to gwarancji.

Klątwa ciamciaramci

Dominujący motyw ostrej rozprawy ze „złogami" ancien régime'u jest dziś bez wątpienia głównym pomysłem KO na rozkręcającą się kampanię wyborczą. Ale też trzeba

GALERIA POLITYKI



IRENEUSZ SZUNIEWICZ

powiedzieć, że nie wiadomo, jak długo ten przekaz przetrwa jako główna oś narracyjna. Przez ostatnie trzy lata mieliśmy już przecież kilka rzucanych z największą powagą haseł (by wspomnieć chociażby zadekretowaną przez Tuska „doktrynę piastowską" z okazji rocznicy chrztu Polski), o których bardzo szybko zapominano, przeskakując na inną polityczną grządkę.

Inna sprawa, że otoczenie polityczne w ostatnich miesiącach w ogóle zmienia się jak w kalejdoskopie – raz wiatr historii wieje w żagle opozycji, by za chwilę zmienić kierunek. W lipcu mieliśmy aferę w Szpitalu Południowym i ogólne przekonanie, że system ochrony zdrowia jest na skraju upadku, zresztą wciąż mało słychać o ministerialnych projektach naprawczych, tak jakby afera trwała zbyt krótko, aby zmobilizować do konkretnych reform. Później nadeszło kompromitujące zamieszanie wokół promocji marki Polska. Ale nim wyborcy zdążyli mrugnąć, wybuchła afera Zondacrypto, w której główną rolę odgrywają prominentne postaci środowiska Prawa i Sprawiedliwości. Nie sposób więc odpowiedzialnie przewidzieć, jaki nastrój opinii publicznej będzie obowiązujący za miesiąc i co z tych wszystkich skandali zapamiętamy w perspektywie roku.

Wydaje się jednak, że kurs na czołowe zderzenie z PiS i Nawrockim będzie utrzymany na dłużej. Choćby z tego powodu, że Tusk i jego najbliższe otoczenie w takiej roli czują się najbardziej swobodnie. A ktoś odrobinę złośliwy mógłby dodać, że gonienie Kaczyńskiego i jego ludzi jest też mniej skomplikowane, za to bardziej widowiskowe i angażujące emocje publiczności niż żmudna proza rządzenia. No i – trzeba to oddać – ma cień racjonalnej strategii. Władza silna i sprawcza budzi respekt nawet tej części wyborców, którzy za nią nieszczególnie przepadają. Obserwowaliśmy to przecież podczas rządów PiS. Nawet jeśli Kaczyński przepychał rozwiązania głupie i szkodliwe, budził zachwyty publiczności i publicystów rozpływających się nad jego skutecznością oraz zdecydowaniem

eprasa.pl 1ad5874e11

prawdziwego politycznego lidera, który się nie certoli. Również dzisiejsza popularność Karola Nawrockiego bierze się w dużej mierze z wizerunku bezkompromisowego twardziela, który przestrzega tylko tych zasad, jakie wcześniej sam ustalił.

Nie od rzeczy jest więc hipoteza, że strategia wiecznej deliberacji i dzielenia włosa na czworo mogłaby być dla koalicji 15 października zabójcza. Zazwyczaj w polityce opłaca się mieć jakikolwiek plan, nawet dalece niedoskonały, niż bez końca pracować nad rozwiązaniem idealnym. Nad środowiskiem Koalicji Obywatelskiej wisi przecież ciągle „klątwa ciamciaramci". Jak pamiętamy, tak w 2007 r. określił PO Roman Giertych, dodając, że to „lurowata opozycja" wobec PiS. Giertych wówczas się mylił, bo Platforma z PiS wygrała spektakularnie, ale jego opis dobrze pasuje do sytuacji z 2015 r., gdy kampanie najpierw Bronisława Komorowskiego, a później Ewy Kopacz były właśnie takie – lurowate, chwiejne, miękkie. Były definicją ciamciaramciowatości i przykładem, jak oddać władzę praktycznie bez walki. Tym razem ta historia się nie powtórzy: gaz jest dociśnięty do dechy, choć pytanie, czy to kurs na ścianę, czy ku świetlanej przyszłości, pozostanie otwarte aż do dnia wyborów.

Anuszka rozlała olej

Wśród partnerów Koalicji Obywatelskiej chyba jeszcze nie do końca przebija się to do świadomości, ale za eskalacją konfliktu politycznego musi podążać również konsolidacja obozu władzy. Wybór, by iść na polaryzacyjną wojnę i jednocześnie tkwić w partyjnym rozdrobnieniu, byłby rozwiązaniem nielogicznym i potencjalnie katastrofalnym. W tym sensie głosowanie za kandydaturą Macieja Berka do TK było również wstępną deklaracją dotyczącą kształtu list wyborczych. Zadekretowana przez Tuska bezkompromisowa „wojna ze złem" wzmacnia go jako lidera całego obozu władzy, równocześnie osłabiając podmiotowość mniejszych partii. Zwłaszcza Nowej Lewicy oraz i tak ledwo zipiącej Polski 2050, które w takim scenariuszu stają się zaledwie wykonawcami poleceń naczelnego dowódcy.

A to tylko wzmocni sondażowy trend, niezmienny od miesięcy: na czele stawki KO, z poparciem ponad 30 proc. badanych, na końcu pozostałe partie koalicji z notowaniami w okolicach albo poniżej wyborczego progu. Co zresztą niespecjalnie zdaje się martwić premiera Tuska. „Takiej przewagi nad PiS jeszcze nie było. Mała rzecz, a cieszy" – napisał ostatnio szef rządu, chwaląc się badaniem Opinii24, gdzie KO ma ponad 15 pkt proc. przewagi nad PiS, ale jednocześnie traci władzę, bo potencjalna prawicowa koalicja uzyskuje w nim ponad 240 mandatów. Symboliczne – ale i zgodne z obraną taktyką – jest również konsekwentne traktowanie Prawa i Sprawiedliwości jako głównego punktu odniesienia, podczas gdy dziś to dobre wyniki obu konfederacji katapultują obóz prawicowy do władzy.

Przykładem pozbawionego racjonalnych podstaw chciejstwa byłoby sądzić, że przez rok, który pozostał do wyborów parlamentarnych, nastąpi jakaś znacząca rekonfiguracja sondażowych słupków, nic na to na razie nie wskazuje. Zwłaszcza gdy przestrzeń medialna wypełni się hukiem salw pełnoskalowej politycznej wojny między rządem a PiS i obozem prezydenckim. W sytuacji rozkręcającej się coraz intensywniej kampanii wyborczej miejsce dla mniejszych partii skurczy się jeszcze bardziej niż dziś, a jakiekolwiek niuansowanie będzie postrzegane jako objaw słabości. Logika procesu prowadzi nas więc nieuchronnie do sytuacji, w której obóz władzy będzie bronił swojej pozycji na dwóch listach: większej, skupionej wokół KO, i mniejszej, zorganizowanej wokół PSL. To nie znaczy, że już dziś istnieje jakieś tajne porozumienie Tusk–Czarzasty, zakładające wspólny start Koalicji Obywatelskiej i Nowej Lewicy, natomiast jesteśmy zapewne świadkami „momentu bułhakowskiego" w polskiej polityce: Anuszka już rozlała olej, a kolejne wydarzenia będą tego nieuchronną konsekwencją.

Koniec romantyzmu

Odgrzanie polaryzacji na finiszu kadencji i pójście z pełną mocą na całość to hazardowe zagranie Donalda Tuska. Oceniane będzie według efektów: jeśli się uda, dzisiejsze zastrzeżenia pójdą w kąt, a premier będzie opiewany jako wizjoner z polityczną odwagą i determinacją. Jeśli skończy się porażką, będziemy mówić o klęsce starego przywódcy, który przestał rozumieć współczesną politykę i potrzeby wyborców. Ale niezależnie od tego, jaki będzie finał tej partii pokera, jedno jest pewne: ideowy romantyzm, który natchnął w 2023 r. miliony wyborców wiarą, że możliwe jest przywrócenie zasad demokracji liberalnej, praworządności, praw kobiet, to fenomen, który nie powtórzy się przez długie lata. Został złamany przez wybór Karola Nawrockiego na prezydenta. Dziś pozostał z tego czysty pragmatyzm, przekonanie, że „nasi" są trochę lepsi od „tamtych", że jednak są prounijni, dbają o obronność, mimo wszystko wspierają Ukrainę, nie popadają w ideologiczne szaleństwa.

Dlatego ryzyko, które teraz podejmuje Donald Tusk, ma potencjalnie o wiele donioślejsze konsekwencje niż sam rezultat wyborów jesienią 2027 r. Trzymanie się zasad i wartości w krótkim okresie bywa politycznie dysfunkcjonalne, ale w dłuższej perspektywie daje obywatelom do ręki bardzo skuteczną broń. Tak wyświechtana już dziś kategoria „obrony demokracji" była w latach 2015–23 oparta przecież wyłącznie na zasadach i wartościach, trwała jako punkt odniesienia, mimo że polityczni reprezentanci tłumów protestujących przeciwko autorytarnym zapędom PiS długo nie dawali im żadnej nadziei na sukces. I właśnie dzięki tej obywatelskiej wierności wartościom, a nie z powodu nagłej erupcji politycznego geniuszu, Donald Tusk został premierem w 2023 r.

Jest pewne, że jeśli wahadło wyborcze za rok przechyli się mocno w prawo, nowa władza ruszy po instytucje państwa z taką siłą i rozmachem, że osiem lat poprzednich rządów PiS będziemy wspominać jako nieporadną igraszkę. A opór, który napotkają, będzie zapewne dużo mniejszy niż dekadę temu. Zmęczenie ustrojowym patem może spowodować, że spora część społeczeństwa z ulgą przyjmie przecięcie tego węzła gordyjskiego za pomocą siekiery, nawet jeśli będą tę operację firmować prawicowi radykałowie pod patronatem Karola Nawrockiego i z udziałem Brauna. Tym bardziej że Donald Tusk jako lider obozu władzy ma trudność z jasnym wytłumaczeniem, co jest na końcu obranej przez niego drogi, jak te przedłużone rządy miałyby wyglądać. „Walka z czystym złem" ma uzasadniać się automatycznie jako cel sam w sobie. Ale jakieś szczegóły są jednak wyborcom potrzebne.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 1ad5874e11

Wybory w cieniu sporu

Łukasz Gibała po raz czwarty startuje na prezydenta Krakowa. Swego czasu cudowne dziecko PO. Dzisiaj mówi o sobie, że jest kandydatem niezależnym. Jego niezależność wywołuje jednak wiele pytań. Zwłaszcza o majątek.

KATARZYNA KACZOROWSKA



Wybory prezydenckie w Krakowie odbędą się za niecałe dwa tygodnie – to konsekwencja referendum, w którym odwołano Aleksandra Miszalskiego, zwycięzcę wyścigu sprzed dwóch lat. Ostatecznie o najważniejsze krzesło w ratuszu walczyć będzie ośmioro kandydatów: Michał Drewnicki z Prawa i Sprawiedliwości, Łukasz Gibała, radny, Daria Gosek-Popiołek z Lewicy, Jan Hoffman – jeden z inicjatorów referendum, Michał Klimek z Konfederacji Korony Polskiej, Aleksandra Owca z Razem, Monika Piątkowska startująca z obywatelskiego komitetu, wspierana przez Koalicję Obywatelską, Polskie Stronnictwo Ludowe i premiera Donalda Tuska, oraz Sławomir Pietrzyk z Socjaldemokracji Polskiej.

Tuż przed ich rejestracją kandydaci zafundowali sobie i miastu mały thriller. Okazało się bowiem, że prawidłowo podpisów nie zebrali były prezes Najwyższej Izby Kontroli Marian Banaś, kandydat Konfederacji Bartosz Bocheńczak, do ostatka liczono też głosy Darii Gosek-Popiołek. Wpadkę zaliczył również Gibała, jedna z najważniejszych osób zarówno w organizacji (a przede wszystkim w sfinansowaniu) samego referendum, jak i przyspieszonych wyborach prezydenckich w Krakowie. Za pierwszym podejściem Miejska Komisja Wyborcza odrzuciła mu 3836 z 5449 zebranych podpisów. Okazało się, że na listach przy adresach brakowało słowa „Kraków". W ciągu trzech dni ludzie Gibały zebrali ponad 9 tys. nowych, najwyraźniej na wszelki wypadek, gdyby znów komisja miała wątpliwości.

eprasa.pl 1ad5874e11



© BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Róża Thun, była europosłanka z Krakowa, o samym referendum, które doprowadziło do wyborów, mówi wprost: – Hucpa. Jak można oceniać kogoś po dwóch latach pracy? Miszalskiemu nie dano czasu, a teraz czekają nas kolejne trzy lata chaosu.

Aleksander Miszalski, odwołany w referendum prezydent Krakowa, rozmawiać o Łukaszu Gibale i swojej przegranej nie chce, żeby nie wyjść na kogoś, kto się publicznie wyżala. Poczeka na wynik wyborów, które odbędą się 27 września. Wtedy zacznie mówić. Na razie może tylko stwierdzić, że to była nierówna walka, bo referendum nie organizowano oddolnie, siłami wolontariuszy, ale zainwestowano w nie prawie 2 mln zł. Oficjalnie.

A Róża Thun dopowiada, że frekwencyjny sukces referendum wynika w znacznej mierze z tego, że zignorowali je ci, którzy uznali je za zadymę polityczną i nie poszli głosować. Oraz z pieniędzy wydanych na samą kampanię. Ze sprawozdania złożonego do komisarza wyborczego, do którego dotarła POLITYKA, wiadomo, że Grupa Obywateli ReferendumKRK.PL wydała na nie dokładnie 1 976 011,31 zł. Plakaty to koszt blisko 750 tys. zł, ulotki, plakietki, znaczki – trochę ponad 403 tys., wynagrodzenie dla osób zbierających podpisy pod wnioskiem referendalnym to prawie 465 tys. zł. Nadwyżkę pozyskanych środków nad wydatkami w kwocie 264,75 zł przekazano na krakowskie schronisko dla bezdomnych zwierząt.

Gibała o fotel prezydenta Krakowa walczył już w 2014 r. – zajął wtedy trzecie miejsce, zdobywając 27 tys. głosów. Kolejną próbę podjął w 2018 r. I znów było to trzecie miejsce. W 2024 r., kiedy przegrał z Miszalskim, podjął trzecią próbę – zdobył wtedy 26,79 proc. głosów. Dzisiaj wstępne sondaże dają mu prowadzenie i ponad 25 proc. poparcia. Jak mówią jego dawni znajomi, również z PO, w tym starsi koledzy jak senator Jerzy Fedorowicz, motorem, który pcha Gibałę do ratusza, są jego ogromne ambicje. I przypomina, że kiedy razem startowali do parlamentu z jednej listy, Gibała praktycznie zakleił swoimi plakatami cały Kraków, choć limit na kandydata wynosił 1 tys. zł.

– *Aż wnuk mnie raz zapytał, czy jesteśmy na ulicy Gibały, bo tyle tam było plakatów* – mówi Fedorowicz i przyznaje, że trudno mu mówić o poglądach politycznych dawnego kolegi, który z PO potrafił przejść do Twojego Ruchu Palikota. Piotr Zając, były asystent Gibały, przekonuje jednak, że kandydata napędza przede wszystkim potrzeba sprawczości. Lider tego wyścigu miał się rozczarować polityką parlamentarną, gdzie pojedynczy poseł nie może nic poza naciśnięciem guzika i to wtedy, kiedy pozwoli mu na to Kierownik, czyli Donald Tusk.

– *Samorząd daje inne możliwości* – przekonuje Zając, nie kryjąc, że jest pod wrażeniem tego, jak Gibała mimo porażek w wyborach prezydenckich w Krakowie jest w stanie utrzymać wokół siebie ludzi, którzy chcą dla niego pracować.

Sam Gibała twierdzi, że Krakowianie powinni móc wybrać pomiędzy kandydatem partyjnym a niezależnym. – Kraków od ćwierćwiecza rządzony jest przez to samo środowisko, które wyżej stawia swoje interesy niż interes mieszkańców miasta. Idę do wyborów z hasłem „Kraków dla mieszkańców". Zbyt długo kosztem mieszkańców zarabiali deweloperzy, bonzowie branży turystycznej czy specyficzny typ właścicieli nieruchomości – tłumaczy Łukasz Gibała, podkreślając, że trzeba też zacząć porządkować finanse miasta. Jak twierdzi, należy przyjrzeć się kosztom promocji czy doradztwa marketingowego.

– *Na przykład kilka tygodni temu dowiedzieliśmy się, że warszawska firma, o której właścicielu Onet pisał, że „harata z Tuskiem w gałę", wystawiła krakowskim spółkom miejskim faktury na siedmiocyfrową kwotę za bliżej nieokreślone usługi doradztwa marketingowego* – ujawnia Gibała, dodając, że jego zdaniem trzeba rozwiązać problem kolesiostwa. Bo urzędnicy miejscy mówią mu, że poprzedni prezydent zatrudnił w magistracie i spółkach ponad sto osób, których jedyną kompetencją była tak naprawdę przynależność partyjna.

– *Kraków od 25 lat zarządzany jest źle. Gdyby był zarządzany dobrze, nie byłby najbardziej zadłużonym miastem w Polsce, no i mieszkańcy nie odwołaliby prezydenta. Chcę to zmienić i dlatego startuję* – deklaruje Gibała, ale jedna z osób z bliskiego kręgu odwołanego Aleksandra Miszalskiego kontruje, że postulaty Gibały to czysty populizm. Bo oskarża miasto o interesy z deweloperami, choć jednocześnie robi je z nimi jego brat.

Jacek Majchrowski, który rządził miastem przez 20 lat, pytany o Łukasza Gibałę, najpierw wzdycha, a potem mówi, że sondaże jak na razie dają mu szanse na wygraną. Tylko po co mu ta wygrana?

– *On chyba chce kupić to miasto, bo przecież do tej pory Krakowianie pokazywali mu czerwoną kartkę w wyborach na prezydenta* – mówi Majchrowski, który dwa lata temu, kiedy Gibała startował w wyborach samorządowych, postawił publicznie pytania o jego majątek, w tym przede wszystkim o długi.

Dzisiaj o tamtych wątpliwościach mówi, że każdy ma prawo posiadać majątek, i to znaczny, byleby zbudował go w sposób uczciwy. I nie oceniając uczciwości ▶

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ samego Gibały, jednocześnie nie kryje, że jego zdaniem i w referendum, i zbliżających się wyborach Gibale chodzi nie tyle o lepsze miasto, ile o interesy własne i jego rodziny. Na Facebooku wciąż można przeczytać wpis Majchrowskiego zamieszczony w marcu 2024 r. Odnosił się w nim do wywiadu, którego Gibała udzielił „Gazecie Krakowskiej", przyznając w nim, że wziął pożyczkę od spółek swojego ojca, który „zgromadził spory majątek. Cieszę się z tego, że nie muszę iść do banku, tylko ojciec mi zaufał i mogłem od niego wziąć pożyczkę".

„Leszek Gibała jest osobą prywatną i nie zamierza komentować informacji, które pojawiają się w przestrzeni publicznej, a dotyczą alokacji środków finansowych posiadanych przez niego spółek" – to oświadczenie Leszka Gibały, które zamieścił swojego czasu portal lovekrakow.pl.

„Bardzo mnie dziwi, że media z takim »szacunkiem« podeszły do oświadczenia Leszka Gibały i nawet nie próbują stawiać żadnych pytań, szczególnie takich, czy spółka taty Łukasza Gibała, zajmująca się hurtowym obrotem alkoholem, miała do dyspozycji takie środki, by przekazać je synowi" – napisał Jacek Majchrowski i powtórzył pytania, jakie padły publicznie, ale zostały bez odpowiedzi:

„W roku 2020 Alti Plus osiągnęła przychód 56.532.265,80 PLN, notując stratę na sprzedaży -3.790.477,37, stan gotówki w kasie i na rachunkach wykazany w sprawozdaniu to 6.088.343,58. Pytanie, jakim cudem firma udzieliła pożyczek na kwotę 88.396.878,50? Do spółki Ductor (której właścicielem jest Łukasz Gibała) trafiły pożyczki na 51.208.442,47 PLN. Warto zaznaczyć, że Ductor wykazał ZERO przychodów w tym roku.

W roku 2021 Alti Plus osiągnęła przychód: 47.203.993,39 PLN, znów notując ujemny wynik na sprzedaży -2.902.821,57, a gotówki miał jeszcze mniej: 1.117.149,29 PLN. Mimo to pożyczono 58.082.142,73 PLN. Ductor wykazał, że pożyczył w roku 2021 aż 82.088.307,20 PLN, znów przy zerowych przychodach. Być może część pożyczek z końca roku 2020 została zaksięgowana w roku 2021?

W roku 2022 Alti Plus osiągnęła przychód 48.847.724,92 PLN. Wygląda na to, że pożyczanie pieniędzy to kiepski biznes, skoro po dwóch latach pożyczania, spółka odnotowała olbrzymią stratę netto -18.989.972,31, a na sprzedaży (alkoholu) straciła -433.910,25. Spółka syna otrzymała w roku 2022 pożyczki o wartości 30.895.255,82 PLN, znów przy zerowych dochodach. Ductor, który sam pożyczał pieniądze od Alti Plus, udzielił pożyczki Łukaszowi Gibale (jak on sam przyznał, na remont mieszkania) o wartości 2.139.593,70 zł.

Pyt. 1: skąd brały się pieniądze na pożyczki w Alti Plus do Ductor, bo wygląda, że nie miała takich pieniędzy we wskazanych latach?

Pyt. 2: jaki był cel biznesowy Alti Plus, by pożyczać tak duże kwoty do spółki o zerowych przychodach? I co na to pozostali akcjonariusze? I urząd skarbowy?

Pyt. 3: jak zabezpieczano te pożyczki, jakie są terminy zwrotu, odsetki? Ductor pożyczył Gibale pieniądze w ujęciu rocznym WIBOR 3M +3 proc.

Pyt. 4: z czego pan Łukasz Gibała zamierza spłacić 234 mln pożyczek do Alti Plus, zwłaszcza jeśli zostałby prezydentem i przestanie zajmować się Ductor?".

Majchrowski zastrzegł też dwa lata temu, że nie chodzi mu o prywatne pieniądze przekazywane przez ojca synowi. „Chodzi o olbrzymią pożyczkę pomiędzy dwoma podmiotami prawa handlowego, które działają w obrocie publicznym, a właściciel jednego z tych podmiotów ubiega się o fotel prezydenta miasta".

Dzisiaj Łukasz Gibała w odpowiedzi na te same pytania, postawione dwa lata temu, wyjaśnia, że najlepiej byłoby zadać je Centralnemu Biuru Antykorupcyjnemu i Krajowej Administracji Skarbowej, bo prowadzone przez nich kontrole nie wykazały nieprawidłowości. – *Na pytania o interesy firm prowadzonych przez członków mojej rodziny odpowiadam na okrągło, odkąd walczę o lepsze jutro dla Krakowa. Moi oponenci nie mają czego się chwycić, więc upatrzyli sobie jako cel moją rodzinę i firmy, które po prostu świetnie radzą sobie na rynku* – mówi Łukasz Gibała. – *Tłumaczenie opinii publicznej kwestii związanych z prowadzeniem inwestycji przez konkretne firmy to walka z wiatrakami. Nikt tego nie będzie słuchał ani próbował zrozumieć. Choćby tego, że ja, Łukasz Gibała, nie miałem nigdy długu ani w kwocie 50 mln, ani tym bardziej ponad 200, i że pieniądze pożyczały sobie spółki, które miały w tym interes, bo jedna – ta od której była pożyczka – zarabiała na oprocentowaniu pożyczki, druga zaś – ta, która pożyczkę brała – zarabiała, właściwie to nadal zarabia, na inwestowaniu tego kapitału w papiery wartościowe. Tak działa cały system finansowy* – ripostuje Łukasz Gibała i podkreśla, że aby przeciąć dyskusje i nie odpowiadać ciągle na te same pytania, przekazał udziały w spółce ojcu.

Z niezależnych analiz, do jakich dotarła POLITYKA, można się dowiedzieć, że spółka Ductor przez wiele lat generowała ujemne wyniki, jednak dane za ostatnie okresy sprawozdawcze (szczególnie 2025 r.) wskazują na gwałtowną zmianę struktury przychodów. W 2021 r. spółka odnotowała 2,1 mln straty, rok później strata wynosiła 14,6 mln zł, w 2023 już 22,2 mln. W 2025 r. przychody operacyjne spółki wyniosły zaledwie 2,28 mln zł, natomiast aż 22,83 mln zł stanowiły „pozostałe przychody". Średnia pensja Łukasza Gibały w tym czasie wynosiła ok. 50 tys. zł miesięcznie netto. Z analizy opartej na ogólnodostępnych danych wynika, że sugeruje to zdarzenie jednorazowe, a nie stałe i powtarzalne źródło zysku z działalności handlowo-usługowej.

Najbardziej kontrowersyjnym elementem bilansu spółki Ductor jest jej gigantyczne zadłużenie, które na koniec 2022 r. wynosiło aż 234 mln zł. Dług rzeczywiście nie miał charakteru rynkowego – nie były to kredyty ani obligacje korporacyjne. Finansowanie w postaci pożyczek zostało udzielone przez spółki powiązane z Leszkiem Gibałą, przedsiębiorcą z branży alkoholowej. W klasycznej analizie finansowej wskaźnik ogólnego zadłużenia na tym poziomie oznaczałby techniczną niewypłacalność. Ponieważ jednak wierzycielem jest podmiot powiązany rodzinnie i kapitałowo, ryzyko nagłego żądania zwrotu środków i postawienia spółki w stan upadłości jest minimalne. I warto tu dodać, że kapitał zakładowy spółki Ductor to zaledwie 5 tys. zł. A jej kondycja zależała i zależy w 100 proc. od elastyczności i płynności finansowej spółek matek należących do rodziny Gibałów. W ocenie analityków to wehikuł inwestycyjno-holdingowy, którego istnienie jest sztucznie podtrzymywane i zabezpieczane przez prywatny kapitał właścicielski.

W lipcu 2025 r. Leszek Gibała, ojciec Łukasza, wniósł do spółki Alti Plus SA,

eprasa.pl 1ad5874e11



Czy Monika Piątkowska wspierana przez KO zdoła utrzymać miasto dla Koalicji?

której jest prokurentem od 2013 r. (umocowanie wygasło w maju 2022 r. w związku z zatartym już wyrokiem skazującym), wszystkie udziały Ductora – spółki zadłużonej w Alti na 260,4 mln zł. To te udziały, które w maju rok wcześniej przejął od syna. I to rodzi kolejny problem, bo wychodzi na to, że jeden podmiot jest jednocześnie wierzycielem i właścicielem swojego dłużnika.

Niezależnej kontroli poddano też sprawozdania finansowe fundacji Zróbmy Sobie Kraków powiązanej z rodziną Gibałów, poprzez Bartosza, brata Łukasza, zasiadającego w zarządzie. Można się z niej dowiedzieć, że fundacja nie opiera swojej działalności na darowiznach i grantach, ale generuje wysokie koszty działalności statutowej i gospodarczej, finansując je niemal wyłącznie z długu krótkoterminowego. W 2024 r. przychód z działalności statutowej wyniósł 0 zł. Rok później też. Jednocześnie koszty w 2024 r. wyniosły ponad 211 tys. zł, a rok później już ponad 3 mln zł. Te koszty to m.in. wydatki na kampanie informacyjne, działania promocyjne, druk materiałów, organizację wydarzeń, usługi PR związane z działalnością publiczną fundacji.

Osoby zaangażowane w badanie majątku Gibały i powiązanych z jego rodziną podmiotów mówią, że wydanie 3 mln zł na działalność statutową w jednym roku, bez zebrania choćby złotówki od darczyńców, dowodzi, że fundacja jest sztucznie zasilana z powiązanych podmiotów finansowych i służy jako kanał wydatkowania środków na cele pozabilansowe, czyli np. kampanie miejskie czy inicjatywy polityczne.

– *W 2025 r. fundacja, tak wynika ze sprawozdań finansowych, miała ponad 3,5 mln zł straty. Czyli jest niewypłacalna, a jednak działa, zaciąga kolejne zobowiązanie i nie ogłasza upadłości* – mówi jedna z osób zaangażowanych w analizę finansów fundacji Zróbmy Sobie Kraków i przypomina, że w takiej sytuacji, zgodnie z przepisami Kodeksu karnego i prawa upadłościowego, jeżeli zarząd fundacji nie podejmie ustawowo wymaganych działań w przypadku trwałej niewypłacalności organizacji, może ponieść odpowiedzialność karną w związku z zaniechaniem.

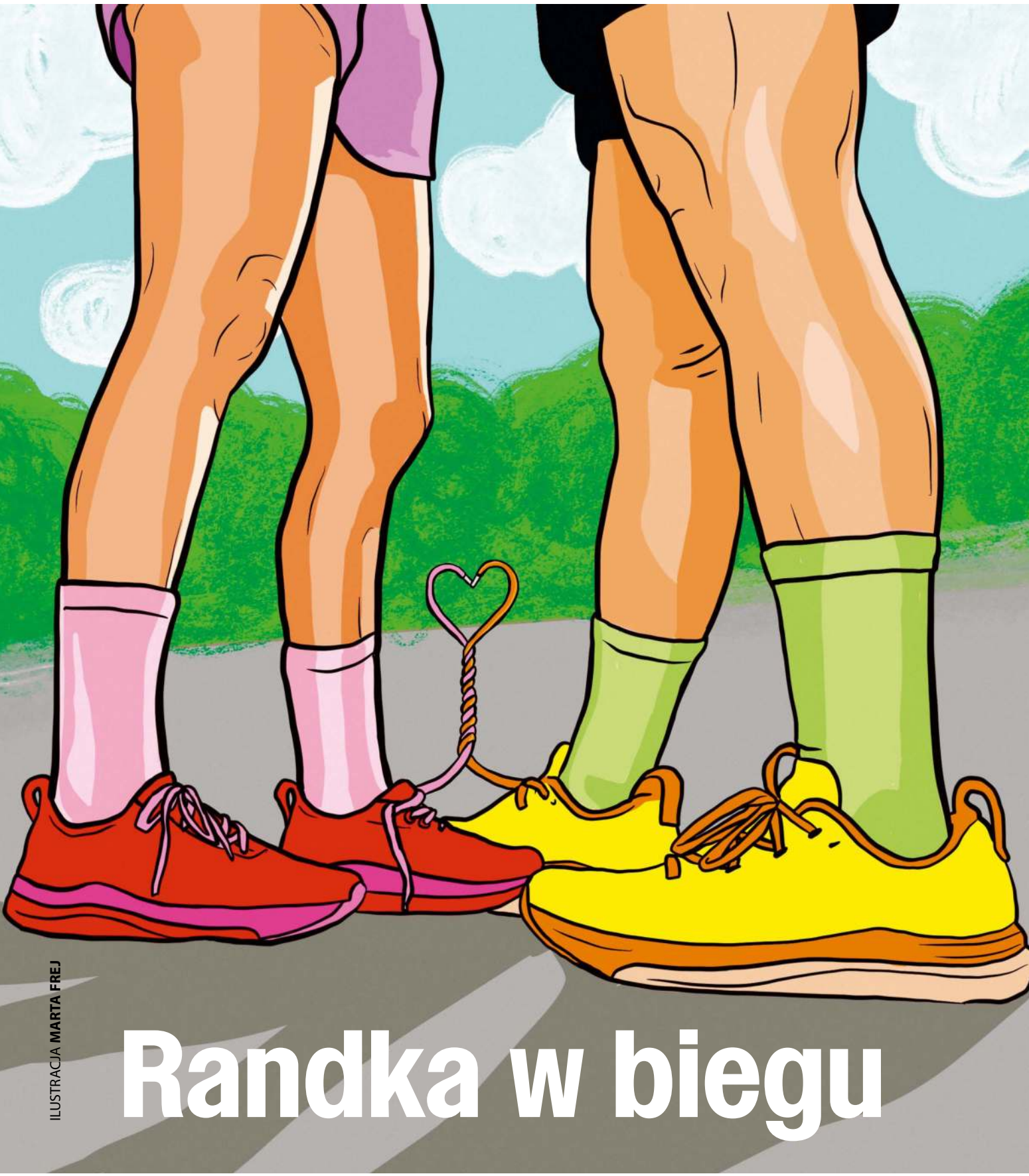
Łukasz Gibała: – *Zanim przekazałem udziały w firmie, zabezpieczyłem finansowanie Krakowa dla Mieszkańców. Środki pochodzące właśnie z Ductora starczyły też na dofinansowanie referendum. Większość organizacji pozarządowych działa dzięki publicznym dotacjom, a to może wpływać na ich działania. Mnie zależało, żeby KdM pracował dla mieszkańców Krakowa, a nie zajmował się ciągłym zabieganiem o granty, które ograniczają niezależność organizacji.*

Osoba zaangażowana w kampanię Moniki Piątkowskiej: – *Pytań o majątek rodziny Gibałów, ich interesy, jest naprawdę dużo więcej niż tylko o spółkę Ductor czy fundację Kraków dla Mieszkańców. Sądzę, że przyjdzie jeszcze czas na postawienie ich wszystkich publicznie.* Jeden ze znajomych Łukasza Gibały: – *Właśnie obchodził 49. urodziny. Jeśli teraz nie wygra, to jego czas minie. Stąd pewnie i to parcie, i te ogromne pieniądze zainwestowane w referendum.* 27 września będzie wiadomo, czy prezydenta Krakowa udało się kupić.

KATARZYNA KACZOROWSKA

© JAKUB WŁODEK/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 1ad5874e11



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

Randka w biegu

eprasa.pl 1ad5874e11

Single znużeni cyfrowym randkowaniem szukają miłości w realu – biegają, chodzą na warsztaty, ćwiczą jogę. A nuż trafi się druga połówka.

NATALIA SAWKA

Na warszawskiej Woli w okolicach Muzeum Powstania Warszawskiego kilkudziesięcioro 30-latków, którzy z dużym prawdopodobieństwem szukaliby miłości w internecie, próbuje czegoś w starym stylu – szukają znajomości w prawdziwym życiu. Wszyscy wstali wcześnie, by wspólnie pobiegać. Choć niektórzy po intensywnej nocy przespali zaledwie kilka godzin, nie powstrzymało ich to przed niedzielnym biegiem na dystansie 5 km przez warszawskie ulice w towarzystwie nieznajomych.Dwóch napakowanych facetów uśmiecha się spod ciemnych okularów, wzrokiem skanując szczupłe uczestniczki w pastelowych legginsach. To oni zorganizowali rozgrzewkę eventu Run & Date (Biegaj i Randkuj) i to oni mają największe powodzenie wśród kobiet. Już rozgrzewka jest okazją do lepszego poznania. Oprócz krążenia ramion i podskoków zaplanowano ćwiczenia w parach – najpierw trzeba wybrać partnera, a potem wspólnie porozciągać barki, kręgosłup i partie nóg. Uczestnicy wymieniają spojrzenia i nerwowo się śmieją.

Padają pytania o to, jak długo mieszkają w Warszawie, gdzie pracują i co robią w wolnym czasie. O ile jakiś wolny czas mają. A może mają za wiele i chcieliby go wspólnie spędzić.

Powrót do psa

Na takie eventy przychodzą zarówno prawnicy, lekarki, jak i przedstawiciele branż IT, Polacy i obcokrajowcy. – *Można mieć Tindera i miesiącami nie pójść na żadną randkę. Nawet jeśli w czasie biegu nikogo nie poznam, to i tak nie mam poczucia, że zmarnowałam swój czas* – opowiada Alina, która przedstawia się jako dumna rozwódka i szczęśliwa singielka. Chyba z tym szczęściem nie do końca jest jej dobrze, skoro przyszła nie tylko pobiegać. Razem z nią jest jej koleżanka. Obie mają kolorowe szorty, saszetki sportowe i świetliste okulary, zegarki Garmina i najnowsze modele adidasów. – *Ludzie są zniechęceni aplikacjami, wolą spotkać się na żywo i pogadać z prawdziwym człowiekiem, niż siedzieć w domu przyklejeni ciągle do telefonu* – dodaje kobieta.

Podkreśla, że takie eventy dają naturalny pretekst do rozmowy. – *Można innych zapytać, od kiedy biegają, o ulubione trasy, buty, treningi i czy biegli już w maratonie* – opowiada. Sama rozmowa nie musi zaraz zdradzać, że jesteśmy kimś romantycznie zainteresowani. I dodaje, że aplikacjom brakuje właśnie autentycznej, ludzkiej energii. Po szybkiej przebieżce ulicami Warszawy biegacze spotykają się pod kawiarnią. Piją wodę i wymieniają się kontaktami.

Marta postanowiła pójść na speed dating. Nie byle jaki, bo artystyczny. Klimatyczne światło, spokojna muzyka, kilka pokoi, stoły. Miała tylko 10 minut na poznanie drugiej osoby. Potem zmiana i kolejna osoba. W tym czasie wspólnie tworzyli kolaż – wycinali z gazet obrazki, które przyklejali na kartkę. – *No miło było, tylko na osiem kobiet przyszło dwóch facetów. Powinni wcześniej powiedzieć, że to coś w rodzaju lesbian friendly meeting* – mówi i dodaje, że teraz wszyscy chodzą na bachatę, czyli zmysłowy taniec jak z filmu „Dirty Dancing".

Uczestnicy spotykają się na żywo, a potem tańczą tak, że ruchy przeplatają się z erotyzmem. Dużą rolę odgrywają emocje i kontakt wzrokowy. Ale oprócz speed datingów popularne są też kluby książek, festiwale i oprowadzanie po muzeach czy galeriach sztuki. Prym wiedzie też joga, gdzie oprócz wewnętrznej równowagi można poszukać też kogoś na macie. Jeden z mężczyzn chodził na jogę wyjątkowo regularnie, bo wpadła mu w oko instruktorka. Asany celowo wykonywał niepoprawnie, licząc, że piękna trenerka podejdzie i osobiście skoryguje jego pozycję. Strategia okazała się nieskuteczna, bo z romansu nic nie wyszło.

Zresztą joga jako miejsce do podrywu ma swoje ograniczenia. Na zajęciach dominują kobiety, więc kiedy pewnego razu pojawiło się kilku nowych mężczyzn, w grupie zapanowało poruszenie. Szybko okazało się, że panowie to geje, więc randkowe nadzieje trzeba było odłożyć na bok i wrócić do psa z głową w dół.

Męska Perć

Ania, 40-letnia rozwódka, zaczęła szukać znajomych w sieci po zerwaniu z chłopakiem, z którym była przez kilka lat. Bardzo ostrożnie podchodziła do wyboru męskich profili. Opisy i zdjęcia na portalach randkowych to osobna kategoria. Mężczyźni lubią się chwalić, a to że są bogaci, więc mają zdjęcia z drogimi samochodami i zegarkami, a to że są wysportowani i zdobyli Orlą Perć w Tatrach oraz uprawiają kitesurfing w Maroku. Na żywo raczej tracili, niż zyskiwali.

To, co najbardziej ją irytowało, to lenistwo w komunikacji u drugiej strony, wiele rozmów było nieciekawych albo urwanych, niedokończonych. – *Mało tego, jeśli już się z kimś sparujesz, to rzadko kiedy pojawia się flow w rozmowie. Zwykle próbowałam coś od siebie dać, pociągnąć rozmowę, ale w odpowiedzi dostawałam jedno zdanie. Zero pytań w moją stronę* – mówi rozczarowana. Częstym zjawiskiem są także słabe żarty, przesyłanie niechcianych zdjęć o charakterze intymnym czy desperackie komplementy za grosz niepachnące autentycznością.

W końcu umówiła się z gościem, który nie pochodził z Polski i był bogatym inżynierem z branży kosmicznej. Do tego starszy i inteligentny. Spotkanie wyznaczyli sobie w Łazienkach na koncercie chopinowskim. – *Na miejscu był chyba milion ludzi, a on nie odpisywał. Myślę sobie, że pewnie mnie wystawił, może wydałam mu się brzydka. Ale nie! W końcu* ▶

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ *odpisał, czy mogłabym jeszcze trochę poczekać, bo on tu przyszedł posłuchać muzyki. Normalnie mnie zatkało. Odwróciłam się na pięcie i wyszłam* – opowiada.

Egzamin na żonę

30-letnia Weronika korzystała już ze wszystkich aplikacji dostępnych na polskim rynku, nawet z takich nieoczywistych jak Facebook Dating, ale miłość znalazła dopiero, gdy wyjechała w góry. Na Tinderze spotykała się z niezrozumiałymi komunikatami, które dopiero z czasem nauczyła się rozszyfrowywać jako propozycje relacji typu ONS (od ang. *one night stand*, czyli jednorazowy numerek) czy FWB (ang. *friend with benefits*, randki bez zobowiązań). Miała dużo dopasowań ze studentami, których życie koncentrowało się wokół egzaminów i całonocnych imprez, a ona sama nie czuła już takiej potrzeby.

Potem zaczęła wykupywać wersje premium, miała kilkaset lajków od płci przeciwnej, ale tylko z niektórymi rozmawiała. Zdarzało się, że pisała jednego dnia z 15 mężczyznami naraz, ale nikt nie zaprosił jej na randkę. W końcu po długiej i żmudnej selekcji poznała przystojnego pilota myśliwca. – *Byłam strasznie podjarana, zasypywałam go pytaniami o wszelkie niuanse lotnictwa. Nie mogłam się doczekać spotkania, ale najpierw był test. Gdy do mnie zadzwonił, to czułam się jak na egzaminie na żonę, i chyba tego testu nie zdałam, bo potem już się nigdy nie odezwał* – mówi i przyznaje, że korzystając z apek, czuła się jak produkt na wystawie, który albo się sprzeda szybko, albo dopiero kiedy obniży swoje wymagania.

– *Zamiast szczerego dzielenia się emocjami i potrzebami aplikacje randkowe uczą komunikacji transakcyjnej, nie emocjonalnej* – mówi psycholożka i seksuolożka kliniczna Aleksandra Plata i dodaje, że reakcje na ten mechanizm bywają różne: jedni się zniechęcają i boją się nawiązywać kolejne kontakty, inni intensyfikują swoje działania w sieci.

> Wśród badanych w wieku 18–44 lat, będących w związkach, zaledwie 9 proc. poznało drugą połówkę przez aplikacje lub portale randkowe.

Kciuk w dół

Kiedy w 2012 r. na ekranach smartfonów zadebiutował Tinder, nikt nie spodziewał się, że zaczyna się cyfrowa rewolucja obyczajowa. To, co wcześniej bywało tajemnicą, nagle stało się społeczną normą – randkowanie online przestało być tabu, a stało się stylem życia 50 mln ludzi w niemal każdym zakątku globu. Teoretycznie ogromna liczba potencjalnych partnerów, których oferuje platforma randkowa, powinna ułatwiać znalezienie odpowiedniej osoby. W praktyce ten nadmiar staje się pułapką.

Psycholodzy zjawisko to nazywają paradoksem wyboru. – *Im szerszy wachlarz możliwości, tym trudniej podjąć finalną decyzję. Możliwą konsekwencją jest pojawienie się paraliżu decyzyjnego: lęku, że wybierając jedną opcję, nieuchronnie tracimy wszystkie pozostałe, być może lepsze* – wskazuje Plata. W efekcie zamiast bliskości użytkownicy doświadczają chronicznego rozczarowania, żalu i nieustannego kwestionowania własnych wyborów.

Robertowi aplikacje zabierały sporo czasu. – *Kiedy wracałem do domu, to zanim zabrałem się do zrobienia kolacji, siadałem na kanapie i zaczynałem przesuwać profile na Tinderze. Mogłem tak siedzieć godzinami* – mówi. Na prawdziwe randkowanie brakowało mu już czasu i energii.

To, co dla Roberta było wieczornym odruchem, psychologowie opisują jako mechanizm, który może skutecznie podtrzymywać nasze zaangażowanie. – *Kiedy pojawia się match, czyli dopasowanie, uruchamia się układ nagrody, w którym istotną rolę odgrywa dopamina. Użytkownik nie wie, kiedy pojawi się kolejne dopasowanie, więc przesuwa dalej* – podkreśla Plata. Właśnie ta nieprzewidywalność sprawia, że tak łatwo wykonać jeszcze jeden *swipe* (ruch kciuka), a potem następny. Same aplikacje randkowe przejęły wiele mechanizmów znanych z gier – element nieprzewidywalności, informację zwrotną i nagrody, które zachęcają, żeby zostać w nich jeszcze chwilę. Plata: – *W architekturze aplikacji kluczową rolę odgrywa mechanizm pętli: bodziec, reakcja i nagroda.*

W efekcie sam model działania aplikacji zakłada, że użytkownik pozostaje w ciągłym procesie poszukiwania. I właśnie to może przekładać się na subiektywne poczucie wypalenia. – *Korzystanie z aplikacji wymaga stałego wysiłku emocjonalnego. Trzeba się prezentować, oglądać kolejne profile, wybierać, prowadzić rozmowy i mierzyć się z odrzuceniem. W tym procesie nie ma momentu odpoczynku* – mówi Cveta Dimitrova, psychoterapeutka, która prowadzi ośrodek Znaczenia.Psychoterapia w Warszawie.

To rodzi podejrzenia dotyczące sposobu działania algorytmów, tym bardziej że ich szczegóły pozostają niejawne. Od lat część użytkowników zarzuca aplikacjom, że mechanizmy dopasowywania i płatne funkcje są projektowane przede wszystkim po to, by podtrzymywać zaangażowanie i skłaniać do dalszego przesuwania profili. Firmy stojące za aplikacjami zdecydowanie odrzucają takie zarzuty.

> Wraz ze zmęczeniem aplikacjami randkowymi wraca pomysł, żeby poszukiwanie partnera oddać w ręce drugiego człowieka.

Spór trafił również na drogę sądową. W 2024 r. przeciwko Match Group, właścicielowi m.in. Tindera i Hinge, wytoczono pozew zbiorowy. Autorzy oskarżenia zarzucili gigantowi świadome projektowanie interfejsów w sposób, który promuje kompulsywne zachowania i maksymalizuje zyski kosztem realnych szans użytkowników na budowanie trwałych relacji. Match Group uznała te zarzuty za „absurdalne". W 2024 r. sąd nie dopuścił jednak do dalszego prowadzenia sprawy jako pozwu zbiorowego. Uznał, że zgodnie z warunkami zaakceptowanymi przez

eprasa.pl 1ad5874e11

użytkowników każdy z powodów musi dochodzić swoich roszczeń osobno w prywatnym arbitrażu.

Romans biurowy

Dla młodych aplikacje to naturalna i najłatwiejsza forma poszukiwania partnera. Według badania CBOS z 2025 r. 70 proc. Polaków przed trzydziestką ma za sobą doświadczenie randkowania online. Jednak uczucia dalej rodzą się najczęściej w kontakcie osobistym. Wśród badanych w wieku 18–44 lat będących w związkach zaledwie 9 proc. poznało swoją drugą połówkę przez aplikacje lub portale randkowe. Kolejne 8 proc. poznało się w internecie, ale w inny sposób. Znacznie częściej młodzi znajdują miłość w bardziej tradycyjny sposób. Jak wynika z danych, 24 proc. badanych poznało swojego partnera na imprezie lub przez wspólnych znajomych, 17 proc. w trakcie nauki w szkole lub na studiach, a 15 proc. w miejscu pracy.

Nieufność do aplikacji randkowych rośnie. Część krytyków podkreśla, że ich model biznesowy opiera się na fundamentalnej sprzeczności. Choć ich deklarowanym celem jest łączenie ludzi w pary, finansowy sukces platform zależy od czasu, jaki użytkownicy spędzają na przesuwaniu profili. Sukces aplikacji formalnie polega na kojarzeniu ludzi, ale ich przychody zależą również od tego, jak długo użytkownicy pozostają na platformie i płacą za dodatkowe funkcje. Oprócz nieufności jest jeszcze zmęczenie. W rosnącą niszę wciskają się ci, którzy też chcą zarobić na ludzkiej niemocy, ale inną metodą. Biuro matrymonialne brzmi dziś niemal jak relikt PRL – panowie w niedopasowanych garniturach i kandydaci dobierani na podstawie topornych ankiet. Tymczasem wraz ze zmęczeniem aplikacjami wraca pomysł, żeby poszukiwanie partnera oddać w ręce drugiego człowieka.

Z usług swatki skorzystała tiktokerka Diana Fandul. Spodobało jej się, że kandydaci są weryfikowani, a biuro organizuje spotkania nie tylko przy kawie czy kolacji. – *Miałam poczucie, że biuro rzeczywiście weryfikuje osoby, które tam trafiają. Wymagane są zatrudnienie i odpowiedni kapitał, co dawało mi poczucie bezpieczeństwa. Na Tinderze bałam się oszustów. Schody zaczęły się, gdy usłyszałam, że mężczyźni szukają tam kobiet deklarujących chęć posiadania dzieci. Miałam wtedy 25 lat i zupełnie nie myślałam o macierzyństwie. Drugą barierą okazała się cena. Usługi były zbyt drogie* – przyznaje.

W jednym z biur matrymonialnych konsultacja wstępna to koszt 250 zł, wpis do bazy singli na 12 miesięcy kosztuje 1,5 tys. zł. Ceny pakietów, które oferują dopasowanie stylów życia, zainteresowania i światopoglądu sięgają nawet 3,9 tys. zł. Widocznie prowadzący doszli do wniosku, że za prawdziwą miłość trzeba płacić prawdziwe pieniądze.

Jak pisze amerykańska feministka Bell Hooks w książce „Wszystko o miłości", miłość to nie tylko uczucie. Składają się na nią troska, czułość, dostrzeganie drugiej osoby, szacunek, zaangażowanie i zaufanie, a także szczera i otwarta komunikacja. Miłość jest zatem bardziej świadomą praktyką niż samą emocją. Może właśnie dlatego część singli zamiast kolejnego *swipe'a* wybiera wspólny bieg czy warsztaty. Nawet jeśli się nie zakochają, to przynajmniej odpoczną od samotności.

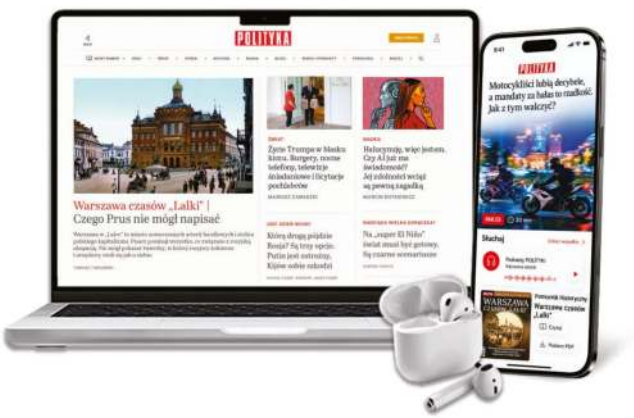
NATALIA SAWKA

REKLAMA

Oferta powitalna

POLITYKA

5 zł | za tydzień
przez cały rok



Oferta dla nowych subskrybentów

Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Podkasty i artykuły

Codziennie nowe treści

KUP DOSTĘP

polityka.pl/powitalna

eprasa.pl 1ad5874e11

Abecadło z pieca spadło

Rozmowa z dr. hab. Tomaszem Gajderowiczem z Instytutu Badań Edukacyjnych – Państwowego Instytutu Badawczego o światowym kryzysie edukacji, ujawnionym w raporcie PISA 2025.



ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

eprasa.pl 1ad5874e11

JOANNA CIEŚLA: **– Szkoła się skończyła?**

DR HAB. TOMASZ GAJDEROWICZ: – Przeciwnie. W obecnych warunkach ma tym większe znaczenie. Owszem, wyniki badania PISA 2025 ujawniają globalny, szokujący kryzys edukacyjny. W krajach najbardziej rozwiniętych, które na edukację wydają ogromne kwoty, pokolenie 15-latków okazuje się znacząco słabsze poznawczo niż pokolenie ich rodziców czy 15-latkowie jeszcze 10 lat temu.

Słabsze poznawczo, czyli gorzej idzie im liczenie, rozumienie zjawisk przyrody, a nawet czytanie ze zrozumieniem. W poprzedniej edycji w 2022 r. okazało się, że wszystko to przychodzi nastolatkom z większym trudem niż wcześniej, w 2018 r. Wydawało się oczywiste, że przyczyną jest pandemia. Ale teraz średnie wyniki uczniów z Unii Europejskiej i z krajów OECD są jeszcze słabsze, w wielu przypadkach najgorsze od rozpoczęcia pomiarów w 2000 r.

Przechodzą mnie ciarki na myśl o przyszłości moich dzieci, rozwoju społecznego, demokracji, ale też w kontekście szeroko rozumianego rozwoju gospodarczego. Bo zależności między wynikami badań edukacyjnych a wzrostem gospodarczym są precyzyjnie opisane. Dla mnie to nie jest dyskusja o szkole, lecz także o przyszłości Polski, Europy i świata, niezależnie od tego, jak patetycznie to brzmi. W tym sensie przed szkołą wielkie wyzwanie. Jest potrzebna jako miejsce, w którym kształtujemy postawy, wiedzę i umiejętności niezbędne do tego, żeby radzić sobie ze światem cyfrowym i z iluzją, że AI będzie rozwiązywać wszystkie nasze problemy.

Ale daje do myślenia, że w czołówce europejskich wyników znaleźli się polscy uczniowie, którzy na tle rówieśników z innych krajów bardzo często opuszczają lekcje.

Wyniki polskie utrzymały się praktycznie na niezmienionym poziomie w stosunku do poprzedniej edycji z 2022 r. – w dobie powszechnych spadków nauczycielom należy się za to ogromne uznanie. Natomiast faktycznie w wielu innych krajach jest dużo gorzej. Nie widzę w tych wynikach wielkich powodów do radości, bo nasze aspiracje są znacznie wyżej. W PISA widzimy też problemy, na przykład wspomniane notoryczne nieobecności i spóźnianie się na lekcje.

Może polskie dzieci dobrze wychodzą na tym, że omijają szkoły?

Śmiała hipoteza. Jaka byłaby alternatywa wobec tradycyjnej szkoły? Podejście, że jeśli dzieci puścimy, żeby odkrywały swoje zainteresowania czy podążały za nimi, to same się nauczą tego, co trzeba? A jak się czegoś nie nauczą, to znaczy, że im niepotrzebne? Bo to hasło dobrze brzmi, ale wszystkie dowody empiryczne pokazują jasno, że nie da się myśleć krytycznie, być kreatywnym ani radzić sobie w życiu bez głębokiej wiedzy. I w tym sensie świat musi robić zwrot w stronę szkoły tradycyjnej, nie w znaczeniu pruskiej, tylko takiej, która nie leci za nowinkami, a świadomie kształtuje kompetencje fundamentalne: właśnie rozumienie czytanego tekstu, rozumowanie matematyczne, szkoły, która wyposaża w informacje i wiedzę o świecie. Widzimy kryzys właśnie tam, gdzie edukacja przestała być wymagająca.

Nie myślałam o „puszczaniu dzieci wolno", a o tym, że relatywnie mało złe wyniki polskich uczniów mogą być efektem pracy nie tyle w szkołach, ile z korepetytorami: jeden na jeden, we własnym tempie, z możliwością nieskrępowanego zadawania pytań.

We wszystkich krajach za wyniki odpowiada kombinacja różnych czynników, które wpływają na uczniów do 15. roku życia – zaangażowania rodziców, edukacji wczesnoszkolnej itd. Czy chcielibyśmy edukacji zorganizowanej tak, żeby korepetytorzy nie byli potrzebni? Oczywiście. Natomiast nie oszukujmy się, korepetycje są wszędzie. Teoretycznie to zjawisko może mieć większy wpływ nie tyle na średnie wyniki na przykład Polski, ile na rozwarstwienie, dysproporcje między najlepszymi a najsłabszymi uczestnikami badań. Natomiast ten obszar wymaga jeszcze analizy, ponieważ, co ciekawe, od czasu poprzedniej edycji PISA w wielu krajach wyraźnie obniżyły się wyniki 15-latków z grupy o najwyższym statusie społeczno-ekonomiczno-kulturowym.

Co to może znaczyć?

Wydaje się, jakby uczniowie mimo znaczących zasobów stracili motywację do nauki. Hipotezy, które wymagają sprawdzenia, idą w stronę wpływu świata cyfrowego – np. uzależniającego przewijania rolek w telefonach. Niższe wyniki w PISA są silnie skorelowane z uzależnieniem od cyfrowego świata. Do tego społeczeństwo i część rodziców utwierdzają dzieci w przekonaniu, że wszystko sobie można „wyguglować", nauczyciele są niedobrzy, a jak na dziecko krzykną, to rodzic pójdzie do szkoły i „zrobi porządek". To rozwala edukację.

Pana zdaniem problemem jest nie to, jak działa szkoła, tylko stosunek ludzi do edukacji?

Na pewno to jest ważna część problemu. W ostatnich latach niemało rodziców – często w dobrej wierze – wpaja dzieciom mit, że nauka o budowie komórki, cząsteczki czy mięśnia jest nieprzydatna, że uczą się bezsensownych rzeczy, bo i tak wszystko jest w internecie, a ChatGPT prawdę im powie.

Chyba jednak aż tak daleko rodzice nie idą.

Zdziwiłaby się pani. I nie mówię tego z wyższością – sam jestem rodzicem i wiem, jak łatwo o taki komentarz na różnych spotkaniach.

Ale zgodzi się pan, że podstawy programowe od lat są przeładowane. Właśnie wchodzi przecież w życie zaprojektowana przez Instytut Badań Edukacyjnych reforma Kompas jutra, która m.in. ogranicza te podstawy.

Zgadzam się częściowo, bo my nie chcemy ograniczać urobku edukacji szkolnej. Przeciwnie, chcielibyśmy, żeby zamienić liczbę pobieżnie poznanych pojęć na głębokość ich zrozumienia – zamiast ślizgać się po wielu tematach, chcemy głębokiego uczenia. Ale nie można w kółko mówić, że szkoła uczy bez sensu, że nie uczy do życia, bo nie da się rozwinąć intelektualnie bez wiedzy i umiejętności takich jak czytanie. Zgadzam się natomiast, że nauczyciele powinni jeszcze lepiej przekładać teorię na praktykę. Nowe podstawy programowe wprowadzają na przykład obowiązkowe doświadczenia edukacyjne. Jeśli klasa uczy się o komórce roślinnej i o liściach, to trzeba z dziećmi wyjść, zebrać te liście i przyjrzeć się im. Trzeba ćwiczyć w praktyce to, czego uczniowie się uczą, także jeśli tego nie sprawdza się na egzaminie. Na przykład warto organizować debaty oksfordzkie, panele, przeżyć symulację rozprawy sądowej i doświadczyć przyrody w naturze, a nie na zdjęciu. W wielu szkołach to się dzieje, ale nie wszędzie.

Gdybyśmy mieli lepsze wyniki we wskaźnikach związanych z dobrostanem, poczuciem przynależności, wytrwałością, to w kognitywnych bylibyśmy na poziomie Singapuru, Chin?

Mamy szansę mieć znacznie lepsze wyniki. Zresztą już tam byliśmy w 2012 i 2018 r. Wyniki polskich nastolatków w badaniu ▶

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ PISA były wtedy w czołówce świata, a także punktowo znacznie wyższe. Powiem więcej, w zespole badawczym filtrujemy wyniki niektórych populacji. Na nowych danych jeszcze tego nie robiliśmy, ale do 2018 r., gdy filtrowaliśmy miasta powyżej miliona mieszkańców – w przypadku Polski wchodziła w ten zbiór tylko Warszawa – to warszawskie 15-latki były numerem jeden na świecie w rozumieniu czytanego tekstu.

Porozmawiajmy o aktualnej europejskiej czołówce. Zaskoczeniem dla wielu osób są jedne z najwyższych wyniki Wielkiej Brytanii. Obraz szkoły na Wyspach, który ostatnio mamy w Polsce, został ukształtowany przez wstrząsający serial „Dojrzewanie": dzieci przyklejone do urządzeń, wypełnione agresją, odizolowane od siebie nawzajem i od dorosłych. Nie wyglądało to obiecująco.

Myślę, że to, co pokazano w „Dojrzewaniu", można by pokazać, osadzając akcję serialu w wielu innych miejscach na świecie, łącznie z Polską. Brytyjskie społeczeństwo przeżywa liczne problemy. Ale w ostatnich latach ten system edukacji pozytywnie się zmienia dzięki kolejnym reformom w modelu dydaktyki opartej na badaniach. Przoduje w tym Anglia, gdzie blisko 80 proc. szkół bierze udział w randomizowanych eksperymentach nad różnymi metodami nauczania. Wszystko odbywa się w reżimie badań naukowych – z zaangażowaniem nauczycieli, podziałem na grupy badane i kontrolne – jak testowanie leków w medycynie. I twarda, aktualna wiedza z tych badań trafia wprost do szkół. Brytyjczycy wydali też „Przewodnik po strategiach edukacyjnych" (ang. Teaching and learning toolkit, EEF), największą na świecie bazę badań nad tym, co działa w edukacji. My przetłumaczyliśmy go na polski i zaadaptowaliśmy do naszych warunków. Nauczyciele mogą z niego bezpłatnie korzystać poprzez stronę internetową IBE PIB.

Na czym polega fenomen kolejnego prymusa PISA – Estonii?

To szczególny kraj, bo cały jego system edukacyjny jest wielkości jednego polskiego miasta. Ale na pewno ma znaczenie, że Estonia też zwróciła się w stronę edukacji międzyprzedmiotowej, opartej na dowodach i że dba o prestiż nauczyciela. Można też powiedzieć, że ten kraj miał trochę szczęścia, bo zdążył tuż przed pandemią COVID-19 świetnie dopracować



Dr hab. **Tomasz Gajderowicz** – ekonomista, analityk systemów edukacji i dydaktyk. Wicedyrektor Instytutu Badań Edukacyjnych – Państwowego Instytutu Badawczego. Członek Rady Zarządzającej badania PISA w OECD.

system edukacji zdalnej. Dzięki temu Estończycy z dnia na dzień mogli przejść na tę formę prowadzenia zajęć i doznali mniej strat niż inne systemy w pierwszym okresie pandemii.

A co się wydarzyło w Finlandii, która przez lata była pokazywana jako wzór tego, jak należy pracować z dziećmi?

Finlandii wiele zawdzięczamy jako punktowi odniesienia, ale moim zdaniem przez ostatnie 25 lat wylano tam dziecko z kąpielą. Jeszcze w 2000 r. działał tam bardzo tradycyjny system edukacyjny, w którym ważną rolę grały skupienie, silna pozycja nauczyciela, systematyczne budowanie postępów ucznia i kontrola, jak to działa. W kolejnych latach fińscy decydenci zaczęli przestawiać akcenty w edukacji, tak by koncentrowała się na podążaniu za zainteresowaniami, na zabawie. A umysł trzeba ćwiczyć, a żeby się czegoś nauczyć, trzeba wykonać wysiłek, mierzyć się z wyzwaniami. Uczniowie z Finlandii nadal osiągają dobre wyniki, nie spadli dramatycznie, ale już w niektórych dziedzinach są znacznie gorsi od Polaków.

Zerknijmy jeszcze na drugą stronę wykresów, do krajów rozwiniętych, które zaliczyły spektakularne pogorszenie jakości edukacji.

To Francja, Hiszpania, Niemcy i kraje skandynawskie. Wszędzie rolę grają te same elementy: uzależnienie od świata cyfrowego, które wiąże się ze słabszymi wynikami uczniów we wszystkich krajach. No i reformowanie edukacji w oparciu o intuicje i dobre intencje, a nie o twarde dane z badań. Żeby być dobrze zrozumianym: uważam, że można i należy uczyć się w dobrej atmosferze, ale nie sposób uczyć się, kiedy nie ma wymagań i kiedy nie bywa trudno. Mam na myśli różne trudności. Słyszę czasem dyskusje o tym, że w jakiejś lekturze jest za wiele drastycznych wątków i dlatego nie powinna być w szkole omawiana. Nie zgadzam się. Dziecko musi uczyć się też rzeczy trudnych i uczyć się radzić sobie z emocjami – stosownie do wieku i z mądrym przewodnikiem obok – żeby mogły ujawnić się jego wytrwałość, ciekawość i zaangażowanie.

W dyskusji wokół PISA 2025 trafiłam na nieoczywisty, ale interesujący głos: może jednym z podstawowych błędów współczesnej edukacji jest ignorowanie kształcenia artystycznego i kulturalnego? Jak zwracał uwagę uczestnik jednego z nauczycielskich forów, systematyczna nauka gry na instrumencie poprawia koncentrację, pamięć roboczą, koordynację, dyscyplinę, jest wielomiesięczną pracą nad odroczonym rezultatem. A kontakt z wymagającą kulturą uczy obcowania ze złożonością i rozumienia kontekstów.

W dużej mierze podzielam ten głos, choć jako badacz muszę być uczciwy: najlepsze dostępne metaanalizy nie potwierdzają jednoznacznie, by nauka gry na instrumencie sama z siebie przekładała się na wyniki w matematyce czy czytaniu. Ale wielomiesięczna praca nad odroczonym rezultatem, obcowanie ze złożonością i skupienie rozwijają dokładnie te dyspozycje, których polskim 15-latkom najbardziej brakuje: wytrwałość, ciekawość, uważność. Kultura nie jest dodatkiem do edukacji – jest jej częścią, nawet jeśli nie mierzy jej żaden test.

Po latach spadków wyników poznawczych doszliśmy do tego, że jedna trzecia młodych Europejczyków nie jest w stanie zrozumieć sensu czytanego tekstu.

Tak, tyle jest osób, które osiągnęły w badaniu rezultaty poniżej poziomu drugiego – jest to, mówiąc wprost – funkcjonalny analfabetyzm. Ci ludzie są w stanie przeczytać słowa, złożyć zdanie, ale nie są w stanie zrozumieć komunikatów. W Polsce takich osób jest jedna czwarta. Raz jeszcze podkreślę, są to przyszli wyborcy, budowniczy społeczeństw. Dlatego globalny kryzys edukacji wykracza poza szkołę – ma wymiar cywilizacyjny.

W Polsce spośród uczniów szkół branżowych 7 na 10 nie osiąga w matematyce poziomu, który OECD uznaje za minimum potrzebne do samodzielnego funkcjonowania w dorosłym życiu. Podobnie jest z czytaniem i naukami przyrodniczymi. Absolwentów szkół branżowych

© INSTYTUT BADAŃ EDUKACYJNYCH PAŃSTWOWY INSTYTUT BADAWCZY

eprasa.pl 1ad5874e11

chcemy widzieć jako fachowców, którzy potrafią naprawić samochód, wykonać mebel, zainstalować prysznic. A okazuje się, że nie będą w stanie przeczytać zwykłej instrukcji. Badane w PISA 2025 osoby w większości wciąż uczą się w szkołach ponadpodstawowych, pozostają w zasięgu systemu edukacji. Czy on jednak nie powinien zareagować w trybie alarmowym?

Nie chcę powiedzieć, że dla tych konkretnych osób jest już za późno – nigdy nie jest. Ale system ma na nie coraz mniej czasu. Szkoła branżowa musi świadomie uczyć czytania i matematyki, choćby także na materiale zawodowym: na instrukcji, kosztorysie, schemacie. Jako IBE PIB rekomendowaliśmy MEN, żeby pierwszy rok nauki w szkole ponadpodstawowej stał się rokiem bazowym, w którym także w szkołach branżowych nie będzie jeszcze koncentracji wyłącznie na umiejętnościach zawodowych. Segmentacja do szkół o różnym profilu po ośmiu latach szkoły podstawowej jest zbyt szybka. Wszystkie badania wskazują, że dłuższa wspólna edukacja pozwala lepiej wyćwiczyć kompetencje fundamentalne. Wspomniane spektakularne wyniki PISA z 2012 czy 2018 r. zawdzięczaliśmy powszechnemu dziewięcioletniemu kształceniu ogólnemu, w systemie z gimnazjami, które zostały zlikwidowane.

A w skali świata można jakkolwiek cofnąć to cywilizacyjne cofnięcie?

Jednym ruchem nie, ale wskazałbym trzy główne obszary. Po pierwsze, trzeba uporządkować relację uczniów z cyfrowym światem i zmniejszyć ich uzależnienie od niego. Dzieci spędzają dziennie 4–6 godzin z komórkami, głównie poza szkołą. Szkoła sama nic nie zrobi. Druga rzecz, już związana ze szkołą: edukacja musi być oparta na badaniach, na mądrym, świadomym budowaniu rusztowań wiedzy, na ciągłym przywoływaniu treści z pamięci i utrwalaniu ich w odstępach, bo to są techniki dydaktyczne, których skuteczność potwierdzają badania. A trzecia rzecz to pokazywanie dzieciakom, jak wiedzę i umiejętności można wykorzystywać w konkretnych życiowych sytuacjach, że potęgi trzeba umieć nie dla idei, tylko żeby rozumieć procent składany przy braniu kredytu itd.

Główny ciężar odpowiedzialności za globalne uwstecznienie społeczeństw ponoszą big techy?

Nie, takie stwierdzenie nie ma twardego poparcia w danych. Ale z danych wynika bardzo silna korelacja, gigantyczny rozstrzał wyników między osobami uzależnionymi od cyfrowego świata a tymi nieuzależnionymi. Z drugiej strony nie jest tak, że osoby, które w ogóle rezygnują z technologii w swoim życiu – bo takie osoby są, choć nieliczne – osiągają najwyższe wyniki edukacyjne. Tu widać „odwróconą-U-kształtną" zależność, maksymalne wyniki mają ci, którzy używają technologii trochę, nie za dużo. I pamiętajmy, że wiele narzędzi cyfrowych faktycznie podnosi jakość nauczania.

Ale w interesie big techów jest właśnie uzależnianie od świata cyfrowego – i młodych, i starszych.

Widzę z komentarzy, że najnowszy raport PISA zadziałał na wiele środowisk jak kubeł zimnej wody. Wierzę, że także przez władze zostanie potraktowany jako istotny argument, żeby bardziej kategorycznie rozmawiać z dostawcami nowych technologii.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

O co pyta PISA?

Badanie PISA (z ang. *Programme for International Student Assessment*) to największe międzynarodowe badanie umiejętności uczniów na świecie. Jest prowadzone co trzy lata od 2000 r. w państwach OECD, a także w kilkudziesięciu innych krajach. W Polsce projekt realizuje Instytut Badań Edukacyjnych – Państwowy Instytut Badawczy.

Główne obszary sprawdzane w badaniach PISA to rozumienie czytanego tekstu, umiejętności matematyczne i rozumowanie w naukach przyrodniczych. Ponadto w każdej edycji badana jest inna tzw. dziedzina innowacyjna. W tym roku było to uczenie się w cyfrowym świecie. Sprawdzano, na ile skutecznie uczniowie potrafią samodzielnie rozwiązywać problemy oraz uczyć się, wykorzystując narzędzia informatyczne.

Zadania w testach PISA to nie typowe pytania z klasówek, o definicje czy wzory. Z założenia ustala się raczej, czy uczniowie potrafią wyciągać potrzebne wnioski z czytanego tekstu, analizować dane i rozwiązywać problemy. Trzeba na przykład obliczyć opłacalność kupna samochodu o podanym zużyciu paliwa, z uwzględnieniem możliwości odsprzedaży po kilku latach. Albo ocenić, które z kilku stwierdzeń jest uzasadnione w świetle danych przedstawionych na wykresie.

W osobnych kwestionariuszach nastolatki określają także swój ogólny dobrostan, stosunek do szkoły, ciekawość świata i wytrwałość.

W najnowszej edycji, która toczyła się wiosną 2025 r., uczestniczyło ponad 760 tys. 15-latków z 91 krajów. Polek i Polaków było siedem tysięcy z 217 szkół.

Rzec można, że na tle Europy nasza reprezentacja wypadła „niebeznadziejnie". Bo w zakresie rozumowania w naukach przyrodniczych, które było tym razem główną dziedziną badania, średni wynik w Polsce wyniósł 495 punktów (średnia dla UE – 476, średnia dla państw OECD – 482). Wśród krajów UE istotnie lepszy wynik osiągnęli tylko uczniowie z Estonii i Finlandii. W przypadku umiejętności matematycznych średni wynik w Polsce to 484 punkty (UE – 460, OECD – 463), a w rozumieniu czytanego tekstu 482 punkty (UE – 451, OECD – 461). W UE w matematyce istotnie lepszy wynik uzyskali jedynie uczniowie z Estonii, a w zakresie rozumienia tekstu z Estonii i Irlandii. Najwyższe wyniki na świecie nadal uzyskują 15-latkowie z krajów i regionów Azji.

Gorzej to wygląda, jeśli chodzi o dobrostan. W porównaniu z 2022 r. zadowolenie z życia polskich 15-latków nieco wzrosło, ale wciąż jest poniżej średniej UE i OECD. Poniżej średniej pozostaje też w naszym kraju poczucie przynależności uczniów do szkoły. Co szczególnie zastanawiające, najniższe wyniki na tle wszystkich badanych krajów uzyskaliśmy w zakresie wytrwałości 15-latków. Mierzą ją m.in. pytania takie jak: „Czy zawsze kończę rzeczy, które zaczynam?". Osobną zagadką pozostaje, jak można uzyskiwać lepsze od innych wyniki, będąc od nich znacznie mniej wytrwałym? Ale że Polak potrafi, słyszymy przecież od wielu dekad.

eprasa.pl 1ad5874e11



Turniej rycerski Saint Ives Medieval Faire w Sydney

Szranki i szramy

Sześć wieków po bitwie pod Grunwaldem bronią teraz informatycy, prawnicy,

ZBIGNIEW BOREK

Na mistrzostwach świata, które latem odbyły się w Jutlandii, polscy rycerze zdobyli 16 medali, w tym dziesięć złotych. Powiedzieć, że wygrali klasyfikację medalową, to nic nie powiedzieć: rozgromili przeciwników. Brytyjczycy i Duńczycy, którzy zajęli miejsca drugie i trzecie, zdobyli łącznie tyle medali, ile Polacy sami, a złotych nawet mniej.

To nie przypadek. Polacy liczą się od pierwszych mistrzostw świata Międzynarodowej Federacji Walk Średniowiecznych (IMCF – International Medieval Combat Federation), które rozegrano w 2010 r. w Chocimiu w Ukrainie. Tegoroczny turniej był rekordowy, ale worki medali przywozimy regularnie. Gdy przychodzi do losowań, to – inaczej niż w piłce nożnej – nasi tworzą grupę śmierci. – *Jak w turniejowych drabinkach przeciwnicy trafiają na Polaków, miny im rzedną i miecze opadają. Nieraz dosłownie* – mówi Bolesław Sitek, kapitan Rycerskiej Kadry Polski, w cywilu korporacyjny analityk e-commerce.

Broń tępa, ciosy prawdziwe

Mistrzostwa IMCF odbyły się na terenie zamku w Spøttrup w Danii. To jedna z najlepiej zachowanych średniowiecznych warowni Skandynawii. Do Spøttrup zjechało prawie 600 zawodników z 30 krajów, w tym 45 reprezentantów Polski. Do rywalizacji o powołanie do kadry stanęło ponad 100 rycerzy. Przeszli cykl sześciu zgrupowań i rywalizowali w miniturniejach, z których wyłoniono najlepszych z najlepszych. Nie lubią, jak się ich myli z rekonstruktorami, choć sami też zajmują się rekonstrukcją historyczną – dla zarobku na dożynkach, festynach czy świętach miast, dla popularyzacji rycerstwa albo, jak mówią, żeby zluzować zbroję. – *Nie da się tego porównać z prawdziwą walką. Tam udajemy, a w sporcie rycerskim walczymy na serio* – podkreśla Sitek.

Broń jest stępiona, ale ciosy prawdziwe. Zadawane z pełną siłą w zależności od konkurencji: mieczem, buzdyganem, maczugą, tasakiem, toporem, halabardą czy glewią (to szeroki nóż na drzewcu). Walczy się indywidualnie (jeden na jeden) i grupowo (tzw. buhurt). Jak w średniowieczu, zawodnicy osłaniają się tarczami, ale stosują również współczesne techniki zapaśnicze. Zabronione są pchnięcia, uderzenia w oczy i pachwiny. Nie można również atakować stóp i przestrzeni podkolanowych, a także potylicy – ale tylko wtedy, gdy zawodnik jest zgięty wpół (wyprostowanego już to nie dotyczy). Poza tym – hulaj dusza, piekła nie ma: rywala można uderzyć nawet poniżej pasa. – *A nawet trzeba* – mawiają rycerze, bo nogi to też cel.

eprasa.pl 1ad5874e11



Zamek w Melsztynie co roku gromadzi fanów historii i rycerskich klimatów. Podczas organizowanych tu Biesiad Rycerskich poczuć można ducha średniowiecza.

Polska znów ma najlepszych rycerzy na świecie. Tyle że chorągwi nauczyciele i krawcy. A walczą, jakby jutra miało nie być.

Walki jeden na jednego w pełnym oporancerzeniu przypominają MMA, ale w rycerskiej stylistyce. Rywalizacja w pojedynkach indywidualnych na imprezach rangi mistrzostw świata trwa dwie rundy po 60 sekund z 30-sekundową przerwą (plus ewentualna dogrywka). O tym, kto wygrywa, decyduje punktacja sędziów.

Najbardziej widowiskowe są pojedynki grupowe pod nazwą buhurt. Co do zasady toczą się tak długo, aż wszyscy przeciwnicy zostaną powaleni na ziemię. Liczą się siła, technika i kondycja, ale też taktyka i strategia, dlatego każdy zawodnik ma z góry przydzieloną rolę do odegrania. Najwyżsi i najcięższi rycerze to środkowi albo inaczej wieże: mają stać w środku pola, przyjmować ciosy i nie dać się ruszyć z miejsca. Mniejsi, bardziej zwinni kontrolują całe pole i wyrównują przewagę przeciwnika tam, gdzie to potrzebne. Szrankowi operują bliżej belki: wiedzą, jak się ich trzymać w obronie i jak wykorzystać w ataku. Są oznaczani numerami: pierwszy od szranki, drugi od szranki. Kapitan rozdziela role, pilnuje realizacji zadań w trakcie walki i w razie potrzeby wprowadza korekty.

Pojedynki grupowe toczą się tak długo, aż wszyscy przeciwnicy zostaną powaleni na ziemię. Runda trwa maksymalnie 5 minut, a całe starcie 15 minut. Jeśli żadna z drużyn nie osiągnie celu, wygrywa ta, której najwięcej rycerzy jeszcze stoi o własnych siłach.

Zakuty dziennikarz

Wyposażenie zawodnika musi odwzorowywać historyczne pierwowzory. Sama zbroja waży 30–35 kg, a męczy już samo jej zakładanie. Zaczynasz od dołu, idziesz ku górze. Wsuwasz sabatony, czyli bojowe buty ze stalową osłoną. Na nich opierają się nagolenniki. Następnie nakładasz pikowane nogawice i bigwanty, czyli blaszane uda łączone z kolanem folgami ułożonymi na zakładkę, jak dachówki lub łuski. Dzięki temu staw kolanowy może się zginać. Z folg składają się też naramienniki, rękawice czy nakarczki w hełmach. Po bigwantach kolej na przeszywanicę – pikowaną kurtkę ochronną, która amortyzuje uderzenia. Potem naręczak – ochrona przedramienia połączona z nałokcicami, i brygandyna, czyli napiersnik (korpus z folg, blacha nitowana do kamizelki). Do brygandyny mocuje się naramienniki i nakarczek. Wszystko na paskach, solidnie dociągniętych, żeby nie było zbędnych luzów. Na koniec zostają rękawice i nosal (z osłoną nosa), jeden z kultowych hełmów epoki średniowiecza. I reporter już jest ubrany.

Pot leje mu się po plecach, a każą jeszcze pouginać nogi, sprawdzić, czy może się w ogóle ruszać. Szału nie ma: ograniczona ruchomość i widoczność, waga zbroi też robi swoje. Mieczem i halabardą walą go po głowie. Uderzenia są markowane, ale dają wyobrażenie tego, co czuje rycerz, obrywając z całej siły. Najgorzej, gdy ciosu się nie spodziewa. – *Walczysz w buhurcie z jednym rywalem, a drugi znienacka trzaśnie cię w grzbiet albo w głowę* – mówi ▶

© PICMEDIA/SHUTTERSTOCK, DARIUSZ ZARÓD/EAST NEWS

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ Mateusz Szwarc. – *Mnie taki cios odcina stres: już oberwałem, nic się nie stało, żyję, mogę walczyć dalej* – dodaje Radosław Rowiński.

To oni dwaj na chwilę zamienili reportera w rycerza. Dali też do ręki miecz, tarczę, halabardę, kazali okładać worek treningowy (oberwał strasznie i nie oddał). Dawnemu rycerzowi pomagał giermek, współcześni nie mają takiego komfortu: support dla całej Rycerskiej Kadry Polski na ostatnich mistrzostwach stanowiły trzy osoby. W trakcie pojedynków podawały wodę i broń, gdy przeciwnik ją wytrącił z ręki, w razie uszkodzenia zbroi naprawiały ją w pit stopie (nazwę zapożyczono z Formuły 1). Supportem w Jutlandii był Mateusz Szwarc: 192 cm wzrostu, 130 kilo wagi, rycerz, ale nie walczył, bo ma zerwane więzadło krzyżowe.

To „zasługa" Piotra Przybylskiego. W walkach grupowych nie ma podziału na kategorie wagowe, a Piotr jest od Mateusza o 25 kg lżejszy (dlatego to jego zbroję przymierzał reporter). Takiego kolosa obali tylko zmyłką: – *Niby miał być rzut przez biodro do przodu. Mateusz utrzymał się na nogach i wrócił do postawy. Wtedy zmieniłem wektor i rzuciłem go do tyłu* – opowiada Piotr. Mateusz: – *Ból paraliżujący nogę czułem, zanim wylądowałem na plecach.*

Urazy w sportowej walce rycerskiej to codzienność: kruszą się i łamią zęby, zrywają ścięgna i więzadła, nie wytrzymują stawy i kości. Do legendy przeszedł amerykański rycerz, któremu kolega niechcący zafundował halabardą pęknięcie moszny. Wskutek walk Mateusz, oprócz kłopotów z więzadłem ma bliznę na nosie, Radek – uszkodzone kolano, Piotrkowi potężny Duńczyk naderwał przywodziciela uda: w półszpagacie rozciągnął go na szrankach.

Wszyscy trzej trenują w Centrum Walk Rycerskich Buhurt we Wrocławiu założonym przez utytułowanego rycerza Krzysztofa „Ligera" Ligęzę. Wrocławianie jako jedni z nielicznych mają pod dachem całoroczną salę treningową z zamontowanymi na stałe szrankami. – *I nie wahamy się jej użyć* – mówią.

I ty możesz zostać rycerzem

– *Rycerstwo to spełnienie dziecięcego marzenia* – mówi 25-letni Maciej „Grander" Zakrzeczkowski, kolejny zawodnik z Wrocławia, mistrz świata IMCF z 2021 r., w Jutlandii srebrny medalista w buhurcie 16v16. Od małego czytał książki o rycerzach, kolekcjonował figurki wojów, szkolne wycieczki cenił tylko wtedy, gdy zahaczały o zamki i inne warownie. W wieku 11 lat zgłosił się do bractwa rycerskiego w rodzinnych Ziembicach, od 13. roku życia trenuje w zbroi. Już jako 15-latek walczył w turniejach dla pełnoletnich. – *Z hełmem na głowie nikt się nie zorientował* – wspomina. Z zawodu jest specjalistą bezpieczeństwa publicznego. Prowadzi firmę krawiecką: szyje ubrania pod zbroję dla rycerzy.



Od lewej: **Mateusz Szwarc, Radosław „Racuch" Rowiński, którzy zamienili naszego reportera w rycerza**

„Grander" wciągnął do rycerstwa Mateusza Szwarca – też jako dzieciaka, bo byli kumplami z podstawówki. „Szwarcu" to prawnik świeżo po studiach, rozgląda się za aplikacją prokuratorską i jednocześnie pracuje w rodzinnym gospodarstwie rolnym. – *Rolnik z rycerzem mają wiele wspólnego. Jeden i drugi musi być silny jak tur i ciężko pracować, żeby na koniec dnia legnąć w sianie* – zauważa. Rodzice nie cierpią jego pasji, bo odciąga go od roboty, dziewczyna Ola kibicuje mu na turniejach.

38-letni Radosław „Racuch" Rowiński, anglista pracujący jako analityk w korporacyjnej obsłudze projektów, zakochał się w rycerstwie już jako dorosły: – *Poszedłem z żoną zobaczyć buhurt. Ona mówiła, że jest super, ale cieszy się, że to nie moja pasja, a ja już zanotowałem mail do rekrutacji z plakatu „I ty zostań rycerzem"*.

Piotr Przybylski (ksywa „Krawiec", bo też szyje) ma 37 lat. W Danii zdobył srebro w drużynie z „Granderem". Z wykształcenia politolog, pedagog i historyk. Był piekarzem i – jak to nazywa – przedszkolankiem, a zarabia na życie jako informatyk. Specjalność: wsparcie technologiczne w korporacji. Za rok zamierza ożenić się z Alicją, która po siedmiu latach związku jego pasję akceptuje, ale jej nie podziela: – *Może dlatego, że jest skrzypaczką.*

Monika zajmuje się komunikacją wewnętrzną i rebrandingiem, a po pracy bywa damą dworu. – *Pochłonęła ją moja pasja, wręcz to uwielbia. Razem byliśmy też na mistrzostwach świata, bez niej zapomniałbym pewnie jeść i pić* – mówi Sitek, kapitan kadry i mąż Moniki. Związki są także wśród rycerzy. 33-letni Janusz „Kortez" Giercuszkiewicz i 27-letnia Kateryna Umiarowa razem trenują, razem jeżdżą na turnieje, razem żyją. Poznali się w boju. Dosłownie. – *Jest pan trenerem zwykłego polskiego klubu w Krakowie i nagle na pański trening przychodzi wielokrotna medalistka największych międzynarodowych imprez z Aina Bera w Kijowie, jednego najbardziej prestiżowych klubów walk średniowiecznych na świecie* – opowiada o początkach znajomości „Kortez". Tak bardzo chciał jej okazać respekt, że w próbnej walce trafił ją po-

© ZBIGNIEW BOREK (2)

eprasa.pl 1ad5874e11

Czym są szranki

Najprościej mówiąc, to drewniane belki, które okalają pole walki. Muszą być gładkie od wewnątrz (brak wystających śrub, gwoździ lub drzazg), aby zminimalizować ryzyko kontuzji, kiedy rycerz zostanie zepchnięty lub rzucony na barierę. Wysokość: 0,9–1,3 m. Powierzchnia pola w pojedynkach indywidualnych jest celowo ograniczona, aby zmusić zawodników do ciągłej wymiany ciosów: wynosi 6x6 m do 8x8 m. W rywalizacji grupowej (tzw. buhurt) szranki muszą być na tyle duże, aby pomieścić wszystkich zawodników i zapewnić bezpieczeństwo przy starciach z pełnym impetem.



Zakuty w ponadtrzydziestokilogramową zbroję Zbigniew Borek podczas treningu we wrocławskim Centrum Walk Rycerskich Buhurt

tężnym lewym prostym. – *Aż zaiskrzyło* – przyznaje Katia.

To był rok 2022 r. Katia, której babcia była Polką, uciekała przed pełnoskalową inwazją Rosji na Ukrainę. Dziś z „Kortezem" mieszkają w Wieliczce. Ona, elektronik po studiach, zawodowo testuje oprogramowanie komputerowe, on, socjolog, jest obecnie specjalistą IT w bankowości. Założyli swój klub walk rycerskich, w którym trenują Polacy, Ukraińcy, Hiszpanie. Oboje życie podporządkowali rycerstwu.

„Kortez" jest skromny, ale to filar topowych polskich składów buhurtowych, były kapitan kadry narodowej, a dziś kapitan elitarnej drużyny „Sierotki". Organizuje rycerskie turnieje i gale, jest uznanym płatnerzem. Z Danii przywiózł złoto (10v10) i srebro (16v16), jego partnerka zdobyła dla Polski również złoto i srebro, ale indywidualnie (miecz długi oraz miecz i tarcza).

– *O Katię biją się najlepsze kluby na świecie. Nie jestem obiektywny, ale to maszyna nie do zdarcia. Jest niebywale utalentowana, trenuje jednak równie ciężko jak międzynarodowa czołówka bardziej popularnych dyscyplin* – mówi „Kortez". I wylicza: – *Trzy razy w tygodniu trening rycerski, dwa–trzy dni pracy nad kondycją, koordynacją i siłą. W weekendy sparing w miękkim sprzęcie, co dwa tygodnie sparing lub turniej w zbroi*. Katia: – *Dzień w tygodniu mam na regenerację. Dbam o dobry sen i profesjonalne odżywianie.*

Jakby jutra miało nie być

Rycerze i rycerki nie ukrywają, że do interesu muszą dokładać. – *W tym sensie to sport na wskroś amatorski* – podkreśla Sitek. Udział w mistrzostwach świata też każdy musiał sfinansować sobie sam: dojazd, noclegi (większość sypia w obozowisku z epoki), wyżywienie, elektrolity i izotoniki (bez tego ani rusz, zwłaszcza w upale), wyposażenie torby pitstopowej (druty, nity itp.). Trzeba także doliczyć koszt udziału w turniejach i zgrupowaniach eliminacyjnych. Razem to kilkanaście i więcej tysięcy złotych. No i koszt zbroi: od 10–12 tys. zł w górę za komplet. Gdy zbroja się zużywa, zawodnik zmienia parametry (tyje, przybywa mu mięśni) czy rozwija się sportowo, potrzebuje nowej – np. „Kortez" używa już piątej zbroi.

– *Cena zawsze zależy od modelu oraz indywidualnych potrzeb i preferencji* – zauważa Kamila Studencka. Wraz z mężem Andrzejem od ponad dziesięciu lat prowadzi w Szczecinie warsztat płatnerski. Nie przypomina pracowni dawnych płatnerzy, raczej współczesny warsztat blacharza samochodowego – ze szlifiernią, magazynem, wyciętymi laserowo arkuszami stali, wiertarkami, szlifierkami, nożycami do blach. Jedynie kowadła i młotki wyglądają na rekonstrukcję. Ona z zawodu jest księgową, on – specjalistą ochrony środowiska, ale żyją z pasji. Pod szyldem Historicum stworzyli jedną z topowych globalnych marek. – *Realizujemy zamówienia rycerskiej elity na całym świecie, ale nie jesteśmy jedyni. Polskie płatnerstwo absolutnie nie jest anonimowe* – mówi Kamila Studencka. Z mężem startuje też w rycerskich turniejach. – *Jako mała dziewczynka nigdy bym się o to nie podejrzewała* – dodaje.

Rycerstwo nie tylko dla nich stało się stylem życia. – *Treningi i rywalizacja wpłynęły na to, jak postrzegam rzeczywistość, jak się w niej czuję i jak się zachowuję* – mówi Kateryna Umiarowa. Stara się walczyć godnie, czysto i ładnie, żeby nie wstydzić się, jak później tę walkę obejrzy na nagraniu: – *W życiu też nie chodzę na skróty, nauczyłam się cierpliwości i odporności, wiem, że czasem trzeba się cofnąć, żeby osiągnąć cel.*

– *Gdybym nie był rycerzem, nie wiem, jak bym normalnie funkcjonował* – twierdzi z kolei „Krawiec". Walki w pełnym pancerzu nie da się według niego porównać z niczym innym: – *Idzie na ciebie gość z mieczem, tasakiem czy halabardą, żeby cię powalić. I wtedy odzywa się atawistyczny instynkt: ty albo on, jakby to była walka na śmierć i życie. Liczy się tylko to, czuję się absolutnie wolny i jestem najbardziej spokojnym człowiekiem na świecie. Jeszcze miesiąc czy dwa po turnieju nic nie wyprowadza mnie z równowagi.*

„Szwarcu": – *Rycerstwo mnie ukształtowało. W szrankach i życiu potrafię pokonać własne słabości i postawić na swoim, ale staram się grać fair. Wiem, jak uspokoić oddech, gdy tkwię w zbroi albo ktoś na mieście mnie do bólu zirytuje. Poza tym to świetne środowisko: nie walimy się tylko po głowach, ale też wspólnie idziemy na piwo i gramy w planszówki.*

– *Ja powiem tylko tyle, że zbroja na stojaku stoi w naszym salonie na honorowym miejscu* – mówi „Racuch". Jego synowie, sześcioletni Julek i trzyletni Olek, mają plastikowe hełmy, drewniane tarcze i wokół tej zbroi toczą pojedynki.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 1ad5874e11

Szczegółowo o



W Polsce ma być wreszcie mniej przestrzennego chaosu i bardziej zwarta zabudowa, ale nie wszyscy będą mogli postawić na swojej działce to, co by chcieli. Gdy radni próbują znaleźć kompromis, do akcji wkraczają lobbyści i politycy.

CEZARY KOWANDA

W Nowej Wsi położonej w powiecie mińskim, godzinę drogi samochodem na wschód od Warszawy, końcówka lata okazała się bardzo gorąca. Gmina Dobre, w której granicach znajduje się wieś, starała się – jak wiele innych samorządów – zdążyć do końca sierpnia z przyjęciem planu ogólnego. Jednak mieszkańcy w połowie sierpnia odkryli z przerażeniem, że w typowo rolniczej wsi projekt planu zakłada wyznaczenie dużej „strefy infrastrukturalnej". Szybko

eprasa.pl 1ad5874e11

ogólnych



© STUDIO POLITYKI/IL/SHUTTERSTOCK

okazało się, że ma na niej powstać ogromne centrum danych, a właściciel niemal stuhektarowej działki porozumiał się już z inwestorem. Ten zdołał zjednać sobie przychylność części radnych i burmistrza, obiecując wpływy podatkowe i miejsca pracy. *– To centrum danych znalazłoby się zaledwie kilometr od mojego domu. Taka instalacja oznaczałaby gigantyczne zużycie energii, wody, hałas i zniszczenie charakteru całej okolicy. Początkowo wydawało się, że sprawa jest przegrana. Jednak dzięki szybkiej mobilizacji mieszkańców na czele z sołtysem Nowej Wsi, prawnikiem, a także dzięki wsparciu ze strony mieszkańców wsi sąsiadujących z planowaną strefą inwestycyjną oraz dalszych sołectw, udało się zainteresować sprawą media i przekonać burmistrza i radnych do zmiany zdania. W ostatniej chwili w projekcie planu ogólnego została w tym miejscu przywrócona strefa rolnicza i taki plan przyjęli radni pod koniec sierpnia* – opowiada Iwona Luba z pobliskiego Marcelina. Mieszkańcy nie mają jednak złudzeń i nie składają broni. Podejrzewają, że potencjalni inwestorzy spróbują w przyszłości doprowadzić do zmian w planie ogólnym, co pozwoliłoby im postawić ogromne centrum danych.

Podobnych emocji nie brakowało ostatnio w wielu gminach, bo 31 sierpnia w całej Polsce mijał termin uchwalenia planów ogólnych. Ostatecznie udało się tego dokonać tylko w nieco ponad jednej trzeciej gmin. Kto takiego dokumentu nie przyjął, ten co prawda nie zostanie ukarany, ale i tak będzie miał spore problemy. Bo jeśli brakuje planu ogólnego, to o tym, co można zbudować, a czego nie, decyduje plan miejscowy – dokument szczegółowy dotyczący zazwyczaj dość niewielkiego obszaru gminy. Tyle że takich planów miejscowych w wielu gminach wciąż brakuje. Objęte jest nimi zaledwie około jednej trzeciej Polski. Sporządzenie planów miejscowych idzie wolno, bo w niektórych przypadkach oznacza dla gmin duże koszty. Jeśli ogranicza się właścicielowi działki możliwość jej wykorzystania, przeznaczając ją np. na park czy szkołę, trzeba zapłacić odszkodowanie.

Dotąd na obszarach bez planu miejscowego królowały tzw. wuzetki, czyli decyzje o warunkach zabudowy. Gminy musiały co prawda sprawdzić, czy nowa inwestycja jest mniej więcej zgodna z dotychczasowym zagospodarowaniem okolicy, ale zazwyczaj były dość wyrozumiałe dla właścicieli działek. Korzystali na tym zresztą nie tylko prywatni inwestorzy, stawiający zazwyczaj domy jednorodzinne, lecz również deweloperzy. Wiele osiedli w Polsce (głównie tzw. łanowe) powstało na podstawie wuzetek, dlatego często zupełnie nie pasują do okolicy albo są na tyle oddalone od innych części miasta, że samorządy muszą przeznaczać ogromne środki na doprowadzenie do nich infrastruktury i zszycie ich z resztą gminy. Wuzetki jednocześnie ułatwiły życie deweloperom i utrudniły samorządom planowanie przestrzenne. Jednak teraz ma być podobno inaczej. Kto posiada działkę w okolicy, gdzie nie sporządzono dotąd planu miejscowego, a jego gmina nie przyjęła planu ogólnego, ten decyzji o warunkach zabudowy już nie dostanie. Wuzetki co prawda nie znikają, ale muszą być wydawane w zgodzie z planami ogólnymi.

Dla deweloperów na razie nie powinien być to duży problem. Mają sporo działek w rezerwie, objętych planem miejscowym albo z już wydaną wuzetką. W gorszej sytuacji znajdą się indywidualni właściciele, ale część z nich przygotowała się na obecną sytuację. Ostatnie miesiące w wielu gminach, zwłaszcza wiejskich, to wyścig po wuzetki. Właściciele działek składali, często na wszelki wypadek, wnioski o wydanie warunków zabudowy, nawet jeśli na razie nie planują u siebie żadnych inwestycji. Zgodnie z przepisami takie pisma, które wpłynęły do końca sierpnia, gminy muszą jeszcze rozpatrzyć według starych przepisów. A więc nawet w samorządach bez planów ogólnych właściciele gruntu mają większe szanse na uzyskanie wuzetek. Od tego roku jest jednak pewne ograniczenie: decyzje o warunkach zabudowy nie są już bezterminowe, ale mają pięcioletnią ważność. Oznacza to, że w takim czasie trzeba będzie rozpocząć inwestycję – albo stracić wuzetkę. ▶

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ Całe zamieszanie próbują obrócić na swoją korzyść opozycyjni politycy. Zwłaszcza Konfederacji, bo akurat PiS ma problem. To bowiem rząd Zjednoczonej Prawicy wymyślił wielką reformę zagospodarowania przestrzennego i nawet uczynił z niej jeden z kamieni milowych, które miały umożliwić realizację Krajowego Planu Odbudowy. Ostatecznie KPO mogło ruszyć dopiero po odsunięciu PiS od władzy przez koalicję 15 października, ale właśnie tworzenie przez wszystkie gminy planów ogólnych było jednym ze zobowiązań rządu Mateusza Morawieckiego wobec Brukseli. W zamian za to gminy dostały możliwość zdobycia dofinansowania z unijnych środków na sporządzenie tych dokumentów.

Cel reformy był szczytny: powstrzymać zupełnie niekontrolowane rozlewanie się zabudowy, zwłaszcza mieszkaniowej, i wprowadzić w Polsce ład przestrzenny. Ostatnie dekady to bowiem z jednej strony szybki rozwój naszego kraju, który najłatwiej można mierzyć liczbą nowych domów i osiedli, lecz z drugiej – rosnący chaos urbanistyczny, który ma nie tylko fatalne skutki estetyczne, ale też finansowe. Im więcej oddalonych od siebie inwestycji, tym wyższe koszty doprowadzenia do nich infrastruktury: sieci wodociągowych, dróg czy linii energetycznych. A potem koszty społeczne dłuższych dojazdów do pracy, szkoły, lekarza czy urzędu. Plany ogólne określają – jak ich nazwa wskazuje, na dużym poziomie ogólności – co i gdzie w każdej gminie można będzie budować. Wyznaczają m.in. strefy dla budownictwa mieszkaniowego, a także obszary uzupełnienia zabudowy. Pod tym pojęciem kryje się możliwość stawiania nowych budynków mieszkalnych w miejscach, gdzie takie już są. Stworzono nawet skomplikowany algorytm.

Najgłośniej narzekają ci, którzy mają działki rolne czy leśne w miejscach, które w takich obszarach uzupełnienia zabudowy się nie znalazły. – *W Polsce istnieje ugruntowane przekonanie społeczne, że jeśli mam działkę dziś niezabudowaną, ale kiedyś chciałbym to zrobić, powinienem mieć do tego prawo. Takie przekonanie nie wynika z żadnych przepisów. Pamiętajmy, że państwo może ograniczyć prawo dysponowania własnością z uwagi na interes publiczny. A takim interesem jest właśnie planowanie przestrzenne. Samo posiadanie działki nie oznacza, że można z nią zawsze zrobić to, co się chce* – podkreśla dr Robert Warsza, adiunkt w Instytucie Architektury i Urbanistyki Politechniki Łódzkiej, były dyrektor Miejskiej Pracowni Urbanistycznej w Łodzi.

Plany ogólne podzieliły Polaków. W gminach wiejskich największe napięcia dotyczą rozrzuconych działek, które zgodnie z nowymi przepisami nie będą mogły zostać zabudowane. PSL złożył do Sejmu projekt poselski, który ma zmniejszyć obostrzenia dla rolników chcących inwestować w swoich gospodarstwach. Samorządy wiejskie narzekają na koszty i trudności związane z przygotowywaniem skomplikowanych dokumentów. – *My nie mamy swoich biur planistycznych jak duże miasta i jesteśmy zmuszeni korzystać z usług zewnętrznych firm. Ich moce przerobowe też są ograniczone. Dodatkowo do wielu projektów planów zastrzeżenia zgłaszają regionalne dyrekcje ochrony środowiska i spółka Wody Polskie. Od dawna apelowaliśmy, żeby wydłużyć termin na sporządzenie planów ogólnych, przynajmniej do końca roku. Teraz gminy, które nie zdążyły – często nie z własnej winy – nie mogą liczyć na zwrot części kosztów przygotowania planów ze środków europejskich* – mówi Mariusz Marszał, zastępca dyrektora Biura ds. Legislacyjnych w Związku Gmin Wiejskich RP.

Inaczej wygląda sytuacja w dużych miastach. Tam napięć też nie brakuje, jak pokazało przyjmowanie planu ogólnego we Wrocławiu pod koniec sierpnia, mają one jednak nieco inny charakter. Mieszkańcy składają ogromne liczby uwag do projektów planów. We Wrocławiu było ich ponad 11 tys. – wiele podobnych do siebie, bo akcje walki o swoje postulaty organizowały różne osiedla. Najczęściej mieszkańcy starali się o ochronę istniejących terenów zielonych i wykluczenie zabudowy kolejnych części gminy. Były też inicjatywy dotyczące zabezpieczenia miejsca na kolejne drogi. Działające w mieście firmy bały się, że dopuszczenie deweloperki w ich okolicy zmusi je w przyszłości do wyprowadzki, bo nowym mieszkańcom będą przeszkadzały hałas czy ruch ciężarówek. Ostatecznie radni przyjęli część postulatów, ale okazało się, że plan ogólny jest zbyt... ogólny, żeby wszystkich zadowolić. Bo nie da się w nim np. określić, czy konkretny obszar ma mieć szkołę, przedszkole czy dom kultury. A ogródki działkowe, których właściciele w dużych miastach zawsze boją się o ich los, nie mają przypisanej własnej strefy.

W Warszawie do projektu planu ogólnego wpłynęło 27 tys. pism z uwagami zawierającymi łącznie 77 tys. postulatów. Skutek jest taki, że stolica nie zdążyła z przyjęciem planu w terminie. Liczy, że uda się to do końca roku, ale wcześniej radnych czekają z pewnością burzliwe obrady.

Aby plany ogólne w ogóle miały sens, zostały uzupełnione o dodatkowe zasady. – *Gminy otrzymały swobodę w wyznaczaniu różnych stref, np. dotyczących przemysłu czy rolnictwa, ale obszary mieszkaniowe podlegają regulacji ilościowej. Każda gmina ma maksymalną wielkość takich obszarów, uzależnioną od obecnej liczby mieszkańców i tej szacowanej za 20 lat. Chodzi o to, żeby połączyć demografię z realnymi procesami rozwoju zabudowy. Najpierw należy wykorzystać istniejące strefy mieszkaniowe oraz obszary uzupełnienia zabudowy. Dopiero gdy jest jeszcze zapotrzebowanie, można wytyczać takie nowe strefy* – wyjaśnia dr Robert Warsza z Politechniki Łódzkiej. Część gmin, zwłaszcza wiejskich, wychodzi jednak z innego założenia. W obecnym kryzysie demograficznym powinniśmy pozwolić każdemu, kto chce się osiedlić w wyludniającej się okolicy, żeby postawił dom tam, gdzie ma na to ochotę. Tyle że to zaprzeczyłoby całej idei reformy, którą z takim bólem wdrażamy.

Czasem zresztą emocje są zupełnie irracjonalne. Tak było w lipcu na sesji rady gminy Gietrzwałd, kojarzonej z maryjnym sanktuarium. Na sesję przybyła grupa osób głównie związanych z Koroną Grzegorza Brauna, która w okolicy nie mieszka, ale uważa się za obrońców Gietrzwałdu. W ubiegłym roku po protestach z budowy centrum dystrybucyjnego w Gietrzwałdzie wycofał się Lidl. Teraz samozwańczy obrońcy Gietrzwałdu uznali, że plan ogólny w niewystarczający sposób wspiera rozwój turystyki – hoteli czy parkingów, które powinny się rozwijać wokół sanktuarium. Mimo protestów radni, wspierani przez prawdziwych mieszkańców, jednogłośnie przyjęli plan. Na tym z pewnością nie koniec sporu, bo politycy PiS już zapowiadają ustawę na rzecz turystyki pielgrzymkowej i obiecują walczyć z – jak to określają – industrializacją Gietrzwałdu. Teoretycznie plany ogólne miały wzmocnić samorządy i pozwolić im decydować o swoim rozwoju. W praktyce dotyczy to tylko gmin, których do swojej bieżącej walki nie wykorzystują politycy.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 1ad5874e11

POLITYKA

SŁUCHAJ I OGLĄDAJ!



Rozmawiamy nie tylko o polityce.

Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.

Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

POLITYKA.PL/PODKASTY

eprasa.pl 1ad5874e11



Banki skarbonki

Bankowcy straszyli, że za wyższy podatek od zysków nałożony na banki zapłacą klienci i emeryci, a sektor znajdzie się w kryzysie. Zamiast tego notują zawrotne zyski.

KRZYSZTOF KROPIDŁOWSKI

Gdy rok temu resort finansów ogłosił podwyżkę CIT dla banków z 19 do 30 proc. w 2026 r., sektor odpowiedział chórem ostrzeżeń: kredyty będą droższe, trudniej będzie je dostać, a emerytury zostaną uszczuplone. „To zła informacja dla klientów" – mówił Tadeusz Białek, prezes Związku Banków Polskich (ZBP). Banki są jednak na drodze do drugiego najlepszego roku w historii, ich akcje biją rekordy, a ostrzeżenie, że rachunek za podatek zapłacą klienci, nie sprawdziło się.

Skąd takie zyski

Znaczną część zawrotnych 25 mld zł, które banki zarobiły w pierwszych siedmiu miesiącach roku, sektor zawdzięcza prostemu faktowi: pieniądze pozyskuje tanio, a pożycza je znacznie drożej. Za lokaty klienci banków dostają niewiele (w lipcu średnio 2,8 proc.), a banki udzielają kredytów za ponad dwa razy tyle.

„Dostęp do niskokosztowych depozytów krajowych pozwala bankom na uzyskanie wysokich zysków" – o tym zjawisku napisał w czerwcu Narodowy Bank Polski (NBP). „Polacy rzadko przenoszą oszczędności poza banki".

Większość oszczędności nie leży jednak na oprocentowanych lokatach: niemal trzy czwarte oszczędności osób prywatnych w bankach zostaje na rachunkach bieżących, za co bank zazwyczaj nic nie płaci. W lipcu za ulokowanie w banku tysiąca złotych klient w skali roku dostawał więc średnio 12 zł odsetek. Za pożyczenie tej samej kwoty musiał bankowi zapłacić sześć razy więcej. Dlaczego Polacy postępują tak nieekonomicznie?

Lubimy mieć pieniądze pod ręką. Według Polskiego Funduszu Rozwoju po rachunkach bieżących najwięcej pieniędzy trzymamy w gotówce. Obie te formy oszczędzania stanowią niemal 40 proc. aktywów finansowych osób prywatnych. Pieniądze odkładane w gotówce i depozytach bieżących, ze względu na inflację, tracą jednak na wartości w czasie.

Oprócz przyzwyczajenia jednym z powodów, dla których rosną oszczędności w gotówce, może być coraz większa geopolityczna niepewność. Jak wskazuje NBP, po naruszeniu polskiej przestrzeni powietrznej we wrześniu 2025 r. w ciągu dwóch dni klienci wypłacili z banków ok. 5 mld zł.

Wraz z bogaceniem się społeczeństwa liczba oszczędzających rośnie. Według danych CBOS w zeszłym roku oszczędności pieniężne deklarowało już 63 proc. gospodarstw domowych, najwyższy wynik w historii badania (od 2007 r.). Rośnie także suma oszczędności, a wraz z nią pieniądze w bankach na depozytach bieżących i lokatach.

Środki gospodarstw domowych to największe źródło finansowania dla banków. Depozytów klientów banki mają znacznie więcej, niż same pożyczają w postaci kredytów. Pieniądze, których nie pożyczają w kredytach, banki inwestują np. w obligacje skarbowe, co przynosi im dodatkowy zarobek na oszczędnościach, za które klientom nie płacą prawie nic.

Kredytu nie zabraknie

Rekordowy zysk z zeszłego roku oraz grube lata 2023 i 2024 pozwoliły bankom zbudować znaczne kapitały: mają dziś dużo więcej własnych rezerw finansowych, niż wymagają od nich przepisy.

– *Pozycja kapitałowa banków umożliwia zarówno dalszy wzrost kredytowania, jak i wypłatę właścicielom trzech czwartych zysku* – mówi Łukasz Jańczak, analityk Erste Securities. – *Nie spodziewam się spadku tych kapitałów przez wyższy podatek CIT*.

Polacy biorą więcej kredytów niż rok temu we wszystkich kategoriach. W pierwszych siedmiu miesiącach roku wartość

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1ad5874e11

zaciągniętych kredytów mieszkaniowych, gotówkowych, ratalnych i inwestycyjnych wzrosła dwucyfrowo względem 2025 r.

Niskie stopy procentowe zmniejszyły raty hipotek. Dodatkowo niskie bezrobocie i rosnące płace oznaczają coraz lepszą zdolność kredytową Polaków. Klienci biorą więc częściej nowe kredyty mieszkaniowe, sięgają po hipoteki nawet w bankach dotąd obciążonych kredytami frankowymi: mBank i Millennium, według raportów spółek, podwoiły sprzedaż kredytów na mieszkania względem poprzedniego roku. Coraz więcej osób przenosi już spłacany kredyt hipoteczny do innego banku na lepszych warunkach (tzn. refinansuje hipotekę).

Polacy biorą także więcej kredytów gotówkowych, w większości konsolidujących różne inne kredyty w jeden. Rośnie liczba klientów korzystających z płatności odroczonych – aktywnie korzysta z nich 1,8 mln Polaków.

Coraz częściej kredyty biorą także przedsiębiorcy. Wzrost wartości nowo udzielanych kredytów na inwestycje jest najwyższy od kilku lat, a najwięcej finansują się małe i średnie przedsiębiorstwa. Powodem przyspieszenia są m.in. pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy (kredyty są wykorzystywane na wkład własny) oraz coraz lepsze warunki kredytów.

Klienci nie płacą

Kredyty, zgodnie z ostrzeżeniami bankowców, miały drożeć. Komentując jednak wyniki za pierwsze półrocze, bankowcy byli zgodni: marże kredytowe spadają. Potwierdzają to też dane NBP. A im niższa marża kredytowa, czyli część oprocentowania, którą bank dolicza sobie ponad koszt pieniądza (oprocentowanie) na rynku, tym relatywnie tańszy kredyt.

Bankowcy tłumaczą obniżanie marż rosnącą konkurencją. Dowodów na to nie brakuje. Sektor próbuje podbierać sobie klientów refinansujących hipoteki lepszymi warunkami. Na rynku rozpycha się także nowy gracz, UniCredit, który wrócił do Polski jesienią zeszłego roku. Na razie więc wyższy CIT nie podbija wysokości rat.

Bankowcy ostrzegali, że nowa stawka CIT zaszkodzi 13,8 mln Polaków posiadających konta w OFE, z powodu słabszych wycen akcji banków i spadku dywidend. Związek Banków Polskich (ZBP) szacował, że wyceny banków łącznie obniżą się o kilkadziesiąt miliardów złotych. Akcje banków rzeczywiście straciły ponad 10 proc. na sesji po ogłoszeniu podwyżki podatku (22 sierpnia 2025 r.), jednak notowania sektora bankowego szybko odrobiły straty.

Korzystają na tym przyszli emeryci. Fundusze OFE trzymają około jednej trzeciej aktywów w akcjach banków, więc wzrost ich wartości oraz wypłaty zysków zwiększają stan kont członków OFE. W ciągu ostatniego roku świetny wynik tych akcji odpowiadał za dużą część wzrostu środków na przeciętnym koncie OFE.

Złote dywidendy

Banki także hojnie dzieliły się zyskami z ubiegłego roku, najlepszego w historii. Żaden z giełdowych banków nie ogłosił, że wypłaci mniejsze dywidendy z powodu dodatkowych obciążeń podatkowych. Cztery największe banki, czyli PKO BP, Pekao SA, Erste BP (do niedawna Santander BP) i ING Bank Śląski, wypłaciły swoim akcjonariuszom, w tym OFE, maksymalną możliwą kwotę. W sumie sektor bankowy w tym roku przekazuje akcjonariuszom rekordowe 25 mld zł.

Banki chętnie dzielą się zyskiem z tego samego powodu, dla którego chcą udzielać większej liczby kredytów: bo mogą. W czerwcu NBP określił nadwyżki kapitałowe banków ponad wymogi nadzoru jako „znaczne".

Banki od niedawna zwiększają zatrudnienie, choć zdarzają się przykłady masowych zwolnień w poszukiwaniu oszczędności po fuzjach. W czerwcu VeloBank zapowiedział zwolnienie do 950 pracowników po zakupie biznesu detalicznego od Citi Handlowego. Na horyzoncie pojawiły się także potencjalne połączenia UniCredit z mBankiem oraz Pekao z Aliorem, które również mogą przynieść cięcia.

W wyniku podwyżki CIT dywidendy w kolejnym roku mogą jednak spaść o ok. 4 mld zł. Stracą głównie zagraniczni inwestorzy trzymający akcje banków. Straci także OFE – ok. 1 mld zł w dywidendach, a budżet państwa (jako współwłaściciel PKO BP, Pekao i Aliora) straci nieco ponad pół miliarda.

Należy pamiętać, że niższe zyski banków w 2026 r. finansują budżet państwa, który z tytułu podwyżki CIT ma uzyskać w tym roku 6,6 mld zł. To czterokrotnie więcej niż łączna strata OFE i budżetu z tytułu niższych dywidend.

Co potem? Przy wysokiej konkurencji banki mogą długo zwlekać z podniesieniem cen kredytów, tak jak dzieje się to obecnie na rynku ubezpieczeń samochodowych (OC i AC): składki tam od lat nie nadążają za rosnącymi kosztami, a część ubezpieczycieli sprzedaje polisy ze stratą.

Atrakcyjny, marny budżet

Na sektor pozytywnie może wpływać szybkie zaciąganie długów przez rząd. Zgodnie z prognozą resortu finansów dług publiczny według unijnej definicji ma wzrosnąć z ok. 60 proc. PKB na koniec zeszłego roku do ponad 75 proc. na koniec 2029 r. Wysokie deficyty sektora finansów publicznych z ostatnich lat, włącznie z planowanym 7,1 proc. PKB w przyszłym roku, podnoszą także odsetki, które rząd płaci za zadłużanie się. Nie dość, że długu jest więcej, inwestorzy obawiają się także o stan finansów publicznych, dlatego oczekują wyższych odsetek za kupowane obligacje skarbowe. 22 sierpnia agencja ratingowa Fitch utrzymała negatywną perspektywę oceny polskiego długu, głównie z powodu braku wiarygodnego planu powrotu do niższych deficytów.

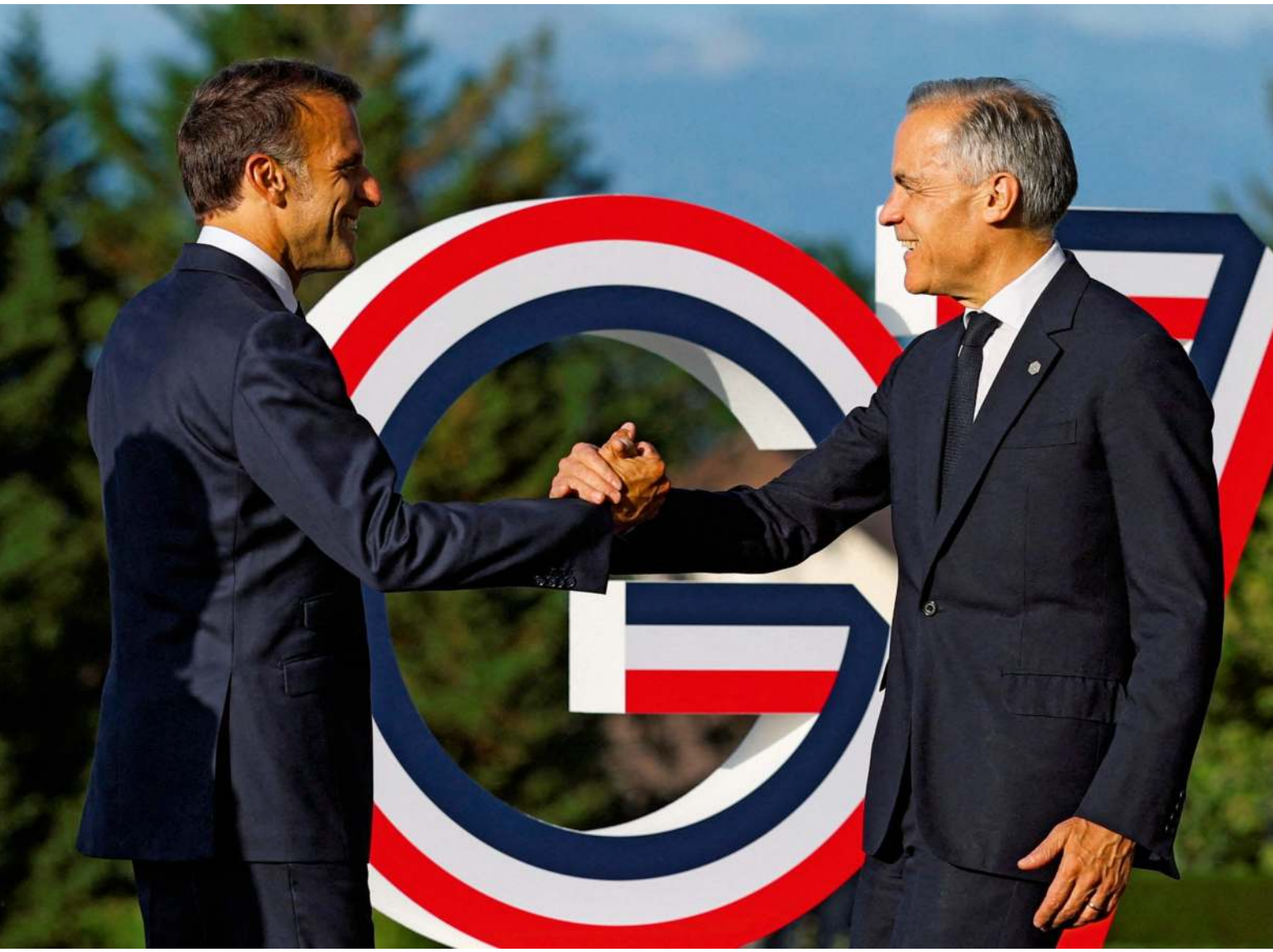
Na koniec lipca krajowe banki posiadały ponad połowę (854 mld zł) zadłużenia Skarbu Państwa emitowanego w złotówkach. W efekcie skumulowania znacznej części długu państwowego przez banki duża część podatków, które płacimy, trafia w postaci odsetek od długu do banków, ponieważ rząd zadłuża się w rekordowym tempie. Ministerstwo Finansów prognozuje, że koszty obsługi długu Skarbu Państwa wyniosą w tym roku nawet 90 mld zł. W przyszłym roku budżet zapłaci jeszcze więcej – 107 mld zł odsetek od zadłużenia. – *Duża część z tej kwoty trafi do banków* – mówi dr Sebastian Roy, analityk w Pekao. – *W sytuacji nadpłynności sektor chętnie kupuje obligacje Skarbu Państwa.*

Choć banki ponoszą koszt podwyżki podatku, nie mają powodów do ubolewania. Bankowcy mogą spodziewać się kontynuacji wysokich zysków, możliwych głównie dzięki niskiemu oprocentowaniu depozytów. Obecnie sektor sowicie wypłaca dywidendy i czeka, aż stawka CIT będzie powoli spadać.

Znakomita sytuacja finansowa banków i marna kondycja budżetu mogą jednak zmusić rządzących do przemyślenia, czy naprawdę stawka CIT dla banków powinna się obniżyć od przyszłego roku.

Autor jest analitykiem ds. sektora finansowego w Polityce Insight.

eprasa.pl 1ad5874e11



Prezydent Francji Emmanuel Macron wita premiera Kanady Marka Carneya podczas czerwcowego szczytu G7

Kusiciel

ŁUKASZ WÓJCIK

Premier Kanady Mark Carney, ostatnia nadzieja globalnej centrolewicy, przylatuje do Europy przekonywać ją do antytrumpowskiego sojuszu. Czy to się może udać?

Na początku roku w słynnym wystąpieniu z Davos Mark Carney przywołał Václava Havla i jego esej „Siła bezsilnych" z 1978 r. Jest tam historia badylarza, który w witrynie swojego sklepu przez lata wywieszał hasło „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się". „Havel nazywał to »życiem w kłamstwie« – mówił Carney. – Siła systemu nie wynika z jego prawdziwości, lecz z gotowości wszystkich do zachowywania się tak, jakby był on prawdziwy. Z tego samego źródła bierze się też jego kruchość: gdy choć jedna osoba przestaje odgrywać tę rolę – gdy badylarz zdejmuje swój szyld – iluzja zaczyna pękać".

Havel przekonywał też, że siła jednostek poddanych presji autorytaryzmu opiera się na funkcjonowaniu, „jak gdyby" nic się nie stało. Nadużycia władzy, szantaż moralny, kpina, kłamstwa – a my powinniśmy żyć, „jak gdyby" nic się nie stało. Chodzi

© ISABEL INFANTES/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1ad5874e11

tu nie tylko o zachowanie chłodnej głowy, gdy wszyscy wokół ją tracą, ale także o odmowę porzucenia rzeczywistości na rzecz niebezpiecznej iluzji schronienia pod skrzydłami silnej władzy, która – jak mafioso – w zamian za „ochronę" przed światem wymaga pełnego podporządkowania, a czasem nawet wyrzeczenia się własnej tożsamości. Ale – tak jak wskazuje Carney, cytując Havla – to jest tylko iluzja bezpieczeństwa.

Pierwsze kuszenie

Z takim właśnie przekazem 61-letni premier Kanady przylatuje w tym tygodniu do Europy. Zdaje się mówić do nas: – Zdejmijcie to hasło z witryny waszego sklepu. – *Carney chce was przekonać, że trzeba skończyć z iluzją, że jeśli będziecie posłuszni Trumpowi, wszystko zostanie po staremu* – przekonuje Sean Speer, kanadyjski eseista i politolog.

17 września Carney ma przemawiać na forum Parlamentu Europejskiego. Niedługo po tym, jak szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen w tym samym miejscu przedstawi doroczny raport o stanie Unii. Zdaniem Speera Europejczycy powinni się przygotować na kolejne porywające przemówienie. W europarlamencie Carney ma zaproponować plan bezprecedensowego zbliżenia z Europą. „Kanada jest najbardziej europejskim z nieeuropejskich krajów" – powtórzył kolejny raz przed wylotem do Strasburga.

Ambasador UE w Kanadzie Geneviève Tuts zapowiada, że Unia opracowuje nowe partnerstwo z Ottawą, jakiego dotąd nie było. Kanadyjskie firmy uczestniczą już w unijnym programie inwestycji w sektorze obronnym. Kanada zapowiedziała, że przyłączy się do europejskich krajów, które chcą zakazu importu towarów pochodzących z terytoriów okupowanych przez Izrael. I choć Kanada prawnie nie może się stać 28. państwem członkowskim UE, Carney i europejscy przywódcy chcą się zbliżyć najbardziej, jak się da. A nawet jeszcze bliżej.

Carney jest orędownikiem globalnego sojuszu średnich mocarstw, do których zalicza Kanadę, duże państwa Europy, a także Turcję, Japonię i Koreę Południową. Tłumaczy to następująco: „Kiedy negocjujemy tylko dwustronnie (samotnie) z hegemonem, robimy to z pozycji słabości". Jego zdaniem to wcale nie jest przejaw naszej suwerenności – wręcz przeciwnie. Wybór, przed jakim stoją tzw. średnie mocarstwa, jest z kategorii fundamentalnych: albo będą one konkurować o względy wielkich mocarstw, przyjmując rolę petentów, albo połączą siły i zachowają swoją podmiotowość. „Jeśli nie zasiądziemy razem do stołu z mocarstwami, znajdziemy się w ich menu" – przestrzega Carney.

Próbując przekonać Europejczyków, odwołuje się m.in. do książki byłego prezydenta Finlandii Alexandra Stubba „The Triangle of Power" (Trójkąt władzy). Tam rozumowanie jest następujące: Europa – podobnie zresztą jak Kanada – jest podwójnie uciskana przez Stany Zjednoczone, ponieważ Waszyngton nie uważa już tego kontynentu za ważny z punktu widzenia interesów USA, natomiast widzi w Europejczykach ideologicznych wrogów. Nie będzie więc powrotu do przeszłości.

W ten sposób Carney po raz pierwszy kusi Europejczyków. – *W Strasburgu znów porwie nas wizją antytrumpowskiego buntu średniaków. Ale w Paryżu czy Berlinie zaraz włączą się kalkulatory. Nie przypadkiem Unia Europejska wciąż nie zareagowała na nowe amerykańskie cła* – mówi Polak zajmujący się polityką handlową w Komisji Europejskiej. – *Np. z polskiej perspektywy to jeszcze bardziej problematyczne, bo poza wymiarem handlowym jest jeszcze kwestia bezpieczeństwa. I zaraz pojawia się wiele znaczące pytanie: ile Kanada ma dywizji?* (w służbie czynnej cztery razy mniej żołnierzy niż Polska – przyp. red.).

Drugie kuszenie

Aby przekonać się, jak może wyglądać zerwanie z iluzją sojuszniczej Ameryki pod rządami Trumpa, nie potrzeba wcale wyobraźni. Wystarczy spojrzeć na Kanadę, która poszła właśnie na pełnoskalową wojnę handlową ze swoim południowym sąsiadem.

22 sierpnia, czyli dzień po zerwaniu rozmów o cłach z Waszyngtonem, Carney wyjaśniał Kanadyjczykom, że Amerykanie w ostatniej chwili wysunęli „niedopuszczalne żądania", które zniszczyłyby kanadyjski przemysł motoryzacyjny, ograniczyły zdolność Kanady do zawierania umów handlowych z dowolnymi partnerami zagranicznymi i zamachnęli się na język francuski. Jak potem tłumaczyli Kanadyjczycy, Waszyngton chciał zniesienia wymogu francuskich etykiet na towarach importowanych z USA.

Nie wiemy, jak było. Wersja Amerykanów jest zupełnie inna – przekonują, że to Kanadyjczycy w ostatniej chwili dorzucili nierealne warunki. Nie zmienia to jednak faktu, że jeszcze tego samego dnia Stany Zjednoczone nałożyły cła w wysokości 50 proc. na kanadyjskie towary o wartości ok. 20 mld dol. 8 września Kanada odpowiedziała cłami sięgającymi 50 proc. na podobną ilość towarów z USA. Trump z kolei zagroził wyższymi cłami na kanadyjskie samochody od przyszłego roku oraz zapowiedział rozszerzenie ceł już od 15 września, m.in. na niektóre wyroby stalowe i aluminiowe, meble i papier.

Jak na razie współobywatele stoją murem za Carneyem. Według sondażu kanadyjskiego instytutu Angus Reid 76 proc. Kanadyjczyków uważa, że premier postąpił słusznie, zrywając rozmowy z Amerykanami (ponad połowa z nich chciałaby przystąpienia do Unii Europejskiej). Carney dziękował ostatnio Kanadyjczykom za decyzje wspierające jego strategię, w szczególności za wybór rodzimych produktów i usług. „Największą siłę miały wasze działania: kupowanie kanadyjskich produktów i wakacje w Kanadzie" – powiedział.

Carney jednak wiele ryzykuje. Logika Trumpa zakłada, że choć wojna handlowa będzie szkodliwa dla 340 mln Amerykanów, to *per capita* uderzy mocniej w 40 mln Kanadyjczyków, więc ostatecznie ci drudzy ustąpią. Odmienne stanowisko prezentuje Carney – jego zdaniem amerykańskie żądania stanowią egzystencjalne zagrożenie dla Kanady, z perspektywy USA zaś są bezsensowne i opierają się wyłącznie na urojeniach Trumpa. W efekcie Kanadyjczycy są gotowi ponieść koszty, by zachować suwerenność, podczas gdy Trump oczekuje od swoich zwolenników, że nie pisną, gdy wojna handlowa z Kanadą przyniesie im kolejne obciążenia.

Kilka północnych stanów USA jest ściśle powiązanych handlowo z Kanadą. Np. ponad 30 proc. eksportu z Ohio i blisko 40 proc. z Michigan trafia do Kanady; w obu tych stanach zbliżają się ważne wybory, które mogą zdecydować o tym, kto będzie kontrolował Kongres. Wojna celna będzie nadal generować koszty dla amerykańskich firm i konsumentów, którzy już teraz odczuwają skutki inflacji wywołanej trwającym konfliktem z Iranem. Czy więc Carney może wygrać tę wojnę?

– *Wiele zależy od tego, jak się zachowają amerykańscy Demokraci, jeśli ich przedstawiciel zastąpi Trumpa w Białym Domu* – uważa Peter Foster, redaktor kanadyjskiego dziennika „Financial ▶

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ Post". – *Kanadyjczycy pewnie mogą zacisnąć pasa i przetrwać te dwa lata. Ale co, jeśli demokratyczny prezydent utrzyma kurs w sprawie ceł na kanadyjskie produkty? Może w takim wypadku lepiej od razu skapitulować i ograniczyć straty?*

To jest właśnie drugie kuszenie Carneya – Kanadyjczyk przekonuje Europę, że z Trumpem można wygrać nie tylko geopolitycznie, ale też handlowo. Problem w tym, że porażka Carneya w tym sporze, która przecież nie jest wykluczona, będzie miała opłakane skutki dla innych państw, którym jeszcze niedawno wydawało się, że są sojusznikami Ameryki. Utrwalenie przekonania, że prezydenci USA mogą czerpać korzyści polityczne z zastraszania zaprzyjaźnionych państw poprzez wymuszanie nieopłacalnych dla obu stron rozwiązań handlowych, byłoby katastrofą.

– *Kanadyjczycy doświadczają na własnej skórze, że zbyt długo i bezmyślnie polegali na Stanach Zjednoczonych w kwestii bezpieczeństwa ekonomicznego. Tak było dla nas wygodniej* – twierdzi Sean Speer. I dodaje, że Trump rozwiał tę iluzję, stawiając na nowy porządek świata, w którym Stany Zjednoczone skręcają w stronę gospodarczej autarkii kosztem swoich najbliższych partnerów. – *Oczywiście jako sąsiedzi jesteśmy w gorszej sytuacji niż Europa. Jednak ostatecznie różnica nie jest tak fundamentalna: Kanada jest zagrożona wchłonięciem, podczas gdy Europie grozi porzucenie.*

Trzecie kuszenie

W końcu Carney zdaje się kusić Europejczyków po raz trzeci, przekonując, że prawicowych populistów można pokonać, pozostając dorosłym i odpowiedzialnym politykiem. Że tradycyjna, zachodnia centrolewica, pogrążona dziś w depresji, wcale nie jest skazana na porażkę w walce z europejskimi Trumpami, o czym ma świadczyć jego sukces w polityce wewnętrznej. Premier Kanady stał się dla europejskiej lewicy chodzącą obietnicą, że przyszłość kontynentu nie musi być skrajnie prawicowa. Wystarczy tylko odkryć „metodę Carneya".

Trudno się nie zgodzić, że to, co wydarzyło się w zeszłym roku w Kanadzie, przeszło już do kategorii politycznych legend. Partia Liberalna, czyli taka kanadyjska socjaldemokracja, słabowała w sondażach. Ciążyła jej dekada rządów Justina Trudeau. I wtedy pojawił się Mark Carney, znany na świecie finansista, były szef banków centralnych Kanady i Wielkiej Brytanii. Najpierw przejął władzę w partii, a potem – surfując na fali kanadyjskiego nacjonalizmu, wywołanej przez prezydenta Trumpa – wygrał wybory, wzywając zaskoczonych i spokojnych z natury Kanadyjczyków do „rozpychania się łokciami".

Zdaniem Matthew Yglesiasa, amerykańskiego publicysty, który od kilku lat pisze o Kanadzie, to obietnica może nie tyle fałszywa, ile trudno osiągalna. – *Kanada jest wyjątkowa, bardzo różna od Europy* – mówi Yglesias. – *Dlatego naśladowanie Carneya nie będzie łatwe. Szczególnie że on nie tylko wygrał wybory – inni przedstawiciele globalnej lewicy, Joe Biden i Keir Starmer, też wygrywali wybory. Chodzi o to, że trzeba mieć jeszcze pomysł, jak rządzić krajem, na czym Biden i Starmer polegli.* Według Yglesiasa Carney zapewnił sobie szereg taktycznych zwycięstw, które można skopiować, jak np. ciche odejście od restrykcyjnej polityki klimatycznej. Ale trudniejszy (niemożliwy?) do skopiowania będzie czynnik strukturalny.

Kanada to nie jest normalny kraj zdaniem Yglesiasa, wciąż istnieje, ale w zasadzie mogłaby też nie istnieć. Trump nie pierwszy kwestionuje jej suwerenność. A Partia Liberalna Carneya – bardziej niż jakakolwiek siła polityczna w Kanadzie – jest ugrupowaniem dosłownie ogólnokrajowym, które od swojego powstania głosi, że istnienie Kanady – tej „prawdziwej Północy, silnej i wolnej" – jest wartością samą w sobie. Ataki prezydenta USA tylko wzmocniły to nastawienie. Awantura z Trumpem daje kanadyjskim liberałom poczucie misji i celu, z czym większość partii centrolewicowych na świecie ma poważne problemy.

Nie wolno też zapominać o tym, co wspomniany Trudeau zrobił dla kanadyjskiej centrolewicy. Dziś to polityk jakby z innej, „słonecznej" epoki liberalizmu – jak twierdzi Peter Foster, Trump zjadłby go na śniadanie, gdyby ten w porę się nie wycofał. Ale jak się wycofał! Łatwo zapomnieć, że Trudeau to jeden z najbardziej skutecznych polityków w historii Kanady – prawie dekada jego rządów to był złoty okres w dziejach tego kraju. A gdy Kanadyjczycy już się nim znudzili, co normalne we współczesnej polityce, Trudeau sam się wycofał i teraz szczęśliwy, że partia jest rękach Carneya, podróżuje po świecie u boku Katy Perry.

Zdaniem Yglesiasa kluczową nauką dla europejskiej lewicy jest sposób, w jaki doszło do przekazania władzy. Gdy notowania Trudeau już dołowały, partia zdecydowała się pominąć naturalną następczynię Trudeau, popularną wicepremierkę Chrystię Freeland, i postawić na zupełnego outsidera Carneya. – *Świeże twarze, dobre rządy i reformy bez skrajnie lewicowej ideologii – to wydaje się źródłem sukcesu kanadyjskiej lewicy. Natomiast wiele europejskich partii centrolewicowych wciąż zachowuje się tak, jakby jedyną opcją byli najbardziej zaprawieni w partyjnych bojach, doświadczeni wojownicy establishmentu lub radykalni lewicowcy* – przekonuje Yglesias.

Bez iluzji

A jaka jest tajemnica sukcesu samego Carneya? Paradoksalnie odpowiedź może leżeć u Trumpa. Prezydent USA ma ewidentną obsesję na punkcie premiera Kanady. Wobec żadnego innego przywódcy nie zachowuje się tak brutalnie. Po nocach w internecie wypisuje o nim najgorsze rzeczy. Ostatnio Trump załączył mema, na którym grają z Carneyem w hokeja, Amerykanin go przewraca i krzyczy: „Wstawaj, gubernatorze!" – w domyśle: gubernatorze 51. stanu USA.

Carney uosabia wszystko to, czego Trump nienawidzi najbardziej. W przeszłości popierał radykalne, zeroemisyjne rozwiązania klimatyczne (choć dziś jest zwolennikiem budowy gigantycznego rurociągu do USA). Twierdził, że protesty Occupy Wall Street były konstruktywne, nie przeszkadzało mu to jednak pracować dla wielkich banków inwestycyjnych i samemu zaliczać się do najbogatszego jednego procenta, z którym ruch Occupy tak zacięcie walczył. Ten sam Carney, który w Davos potępił prawo silniejszego, pięć tygodni później poparł amerykańsko-izraelską operację przeciwko Iranowi.

Może właśnie dlatego Trump tak nie znosi Carneya – bo ten zmienia zdanie w sprawach zasadniczych, kiedy tylko wymaga tego kontekst polityczny, w czym obaj politycy są do siebie zasadniczo podobni. Przecież niespodziewany sukces Carneya jest kolejnym przejawem populizmu – w tym przypadku liberalnego, który działa jeszcze skuteczniej dzięki temu, że może wskazać nie wewnętrznego, ale zewnętrznego wroga – Trumpa właśnie.

Już w czwartek w Strasburgu Carney będzie zapewne przekonywał, że Europa jest niezbędnym sojusznikiem Kanady. Może nawet odwoła się do Havla. Klaskajmy, ale z rozwagą.

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl 1ad5874e11

POD ZNAKIEM MENORY



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 1ad5874e11

Luźna armata

Sekretarz wojny USA Pete Hegseth na razie wygrywa tylko jedną wojnę – z własnym resortem i amerykańską armią. Ale nie przegrał jeszcze u Donalda Trumpa.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Przed „bezpośrednim i oczywistym zagrożeniem dla bezpieczeństwa USA i całego świata" ostrzegł emerytowany gen. Randy Manner. Ale nie chodziło mu o Iran, Koreę Północną ani radykalnych islamistów, którzy chcieliby powtórzyć atak na Amerykę sprzed 25 lat. Śmiertelnym zagrożeniem według generała jest Pete Hegseth, sekretarz Departamentu Wojny w gabinecie Donalda Trumpa. Manner nie jest odosobniony, alarm podnoszą inni byli dowódcy wojsk i eksperci militarni. W historii kraju, mówią, nie było szefa Pentagonu tak niekompetentnego i wyrządzającego departamentowi



eprasa.pl 1ad5874e11

tak wielkie szkody. Coraz częściej pod adresem Hegsetha pada epitet *loose cannon*, co można przetłumaczyć jako człowiek nieobliczalny, zagrażający otoczeniu, dosłownie: luźna armata.

W resorcie – jak ostrzegają generałowie – panują fatalne nastroje, czego najnowszym rezultatem była na początku września rezygnacja Daniela Driscolla, sekretarza Wojsk Lądowych (Army), największej z pięciu formacji amerykańskich sił zbrojnych. 38-latek uchodził za wschodzącą gwiazdę Pentagonu, chwalono go za plany reform i modernizacji wojsk, ich pilnego zaopatrzenia w drony. Driscoll, protegowany wiceprezydenta J.D. Vance'a, włączył się w negocjacje na rzecz pokoju w Ukrainie i przewidywano nawet, że będzie nowym szefem Departamentu Wojny.

Driscoll ostro krytykował Hegsetha za czystki w resorcie i całą politykę, pod koniec sierpnia spotkał się z Trumpem i próbował go podobno przekonać, żeby dał Hegsethowi czerwoną kartkę. Kiedy nic nie wskórał, podał się do dymisji.

Modelowy macho

Powołanie Hegsetha na szefa Pentagonu w styczniu 2025 r. zaszokowało nawet jego fanów. Wówczas 40-letni weteran Gwardii Narodowej ze stopniem majora, bez doświadczenia w kierowaniu jakąkolwiek cywilną organizacją, miał stanąć na czele największej biurokracji rządowej, liczącej prawie milion pracowników i 1,2 mln żołnierzy służby czynnej.

Trump upodobał go sobie, gdyż młody i wysportowany Hegseth prowadził program w telewizji Fox News, gdzie prezentował modelowy wizerunek macho, wychwalał prezydenta i propagował ultraradykalną wersję jego MAGA-programu. Nie przeszkadzało mu, że nominat nadużywał alkoholu, w stanie wskazującym prowadził kiedyś swój telewizyjny show i po pijanemu chciał tańczyć w nocnym klubie ze striptizerkami. Mimo sprzeciwu trojga Republikanów w Senacie nominacja została zatwierdzona dzięki wiceprezydenckiemu głosowi Vance'a.

Pierwszego zamieszania Hegseth narobił zaraz potem, w lutym ub.r., kiedy naradę na temat planowanej akcji w Jemenie zorganizował na prywatnej, niezabezpieczonej aplikacji Signal, na którą zaproszono w dodatku dziennikarza, co ten potem opisał w „The Atlantic". Po wewnętrznym śledztwie inspektor generalny Pentagonu ogłosił, że sekretarz naraził na niebezpieczeństwo uczestniczące w akcji wojska amerykańskie. Oczekiwano jego dymisji, ale kozłem ofiarnym został doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego Mike Waltz. Posadę stracił później także inspektor. Hegseth swoją zachował.

Hegsetha reklamowano jako reformatora, który ukróci biurokrację. Jego reformy, jak się okazało, sprowadziły się do kampanii przeciw ideologii *woke* promującej jego zdaniem m.in. awanse mniejszości rasowych i seksualnych. Te lewicowe miazmaty – ogłosił Hegseth – kłócą się z zasadami merytokracji i etosem wojownika niknącym według niego w armii amerykańskiej. Zablokował więc promocje kilku afroamerykańskich oficerów i kobiet, zatwierdzone wcześniej przez stosowne ciała dowódcze. Oznajmił też, że w wojsku nie ma miejsca dla brodaczy i długowłosych. Zarządził nawet obowiązkowe testy na testosteron. – *Wyrzucił w związku z tym wielu dobrych żołnierzy* – mówi Mike O'Hanlon, ekspert ds. militarnych z Brookings Institution.

Aby podkreślić, że będzie się kierował duchem wojownika, zmienił nazwę Departamentu Obrony na Departament Wojny. I oznajmił, że należy wyrzucić na śmietnik obowiązujące od dawna w armii zasady prowadzenia wojen nakazujące minimalizować cywilne ofiary walk. Oświadczył, że *tepid legality* (dosł. letnią legalność) trzeba zastąpić przez *maximum lethality* (dosł. maksymalną śmiercionośnością) i zapowiedział odsunięcie na boczny tor wojskowych prawników. W jego pojęciu dzielą oni włos na czworo i tylko uprzykrzają wojownikom życie.

Polowanie na przemytników

Na efekty tych „reform" nie trzeba było długo czekać. We wrześniu zeszłego roku amerykańska marynarka wojenna i lotnictwo rozpoczęły na Morzu Karaibskim kampanię ścigania i niszczenia łodzi przewożących narkotyki z krajów Ameryki Łacińskiej do USA. Na jednej z ostrzelanych i tonących łodzi życie straciło kilkunastu ludzi, ale dwóch uczepionych wraka utrzymywało się na wodzie przez jakiś czas. Po paru godzinach samoloty amerykańskie wróciły i zabiły rozbitków.

Powołując się na anonimowe źródła wojskowe, media podały, że samoloty dostały rozkaz „zabić wszystkich". Pentagon temu zaprzeczył, ale Hegseth i dowodzący akcją admirał Bradley przyznali, że ponowiono atak, by „dokończyć dzieła". Jeżeli tak było, lotnictwo USA postąpiło wbrew własnym kodeksom zabraniającym zabijania rozbitków i popełniło zbrodnię wojenną. Niezrażone tym kontynuuje kampanię, w wyniku której do 25 sierpnia zabito już 227 osób, chociaż nie ma pewności, czy tylko narkoprzemytników, czy także załogi kutrów rybackich.

Polowanie na przemytników, ochrzczone przez trumpistów „wojną", wywołało protesty organizacji obrony praw człowieka w USA i za granicą. Sześcioro demokratycznych członków Kongresu wezwało żołnierzy do niewykonywania rozkazów sprzecznych z prawem. Hegseth wpadł w furię, zarzucając legislatorom podżeganie do buntu. Markowi Kelly'emu, jednemu z oskarżonych o to senatorów, weteranowi sił powietrznych i słynnemu astronaucie, zagroził, że zostanie zdegradowany. Kelly pozwał szefa Pentagonu do sądu i wygrał – sąd zabronił mu szykanowania senatora za wypowiedź chronioną konstytucyjną wolnością słowa.

Kiedy Trump wszedł na ścieżkę wojenną, porywając w styczniu dyktatora Wenezueli Nicolasa Maduro i w lutym atakując Iran, Hegseth znalazł się w swoim żywiole. Prawdopodobnie to on, obok Beniamina Netanjahu i kilku republikańskich jastrzębi, namawiał prezydenta USA na rozprawę z Republiką Islamską, przekonując, że reżim zawali się jak domek z kart. Inaczej niż wiceprezydent J.D. Vance, który miał wątpliwości i znikł chwilowo ze sceny. Z tej okazji szef Pentagonu wytatuował sobie na prawym bicepsie „Deus Vult" (Bóg tak chce), wezwanie papieża Urbana II do pierwszej krucjaty.

W przypadku wojny z Iranem owoce ignorancji szefa Pentagonu i innych pretorianów Trumpa widać jak na dłoni – obie strony we wzajemnym nelsonie i grożąca globalnym kryzysem zwyżka światowych cen ropy naftowej, która przekroczyła znowu 100 dol. za baryłkę. Do tego stopniowe trwonienie amerykańskiego arsenału w ponawianych co parę dni, lecz niczego nierozstrzygających powietrznych atakach. Po pół roku wojny – doniosły media – zapasy interceptorów Patriot skurczyły się o dwie trzecie, a rakiet THAAD (mobilnego systemu obrony antyrakietowej) – o 80 proc.

Pentagon nie życzył sobie, by liczby te ujawniono opinii publicznej. Nie chciał także, by wiedziano, że departament wtajemnicza Elona Muska w szczegóły planu na wypadek wojny z Chinami, ▶

© CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ ale i to w kwietniu ub.r. przedostało się do mediów. Hegseth zaczął tropić, kto był autorem przecieków, zarządził testy z wykrywaczami kłamstw, a po informacjach o fatalnych skutkach wojny z Iranem w tym roku nasilił swe dochodzenia. Testom na prawdomówność poddano ponad 50 urzędników i oficerów w resorcie, a szef departamentu zagroził tym nawet najwyższym dowódcom, choć po interwencjach w Białym Domu groźby nie spełnił.

Od początku swej kadencji Hegseth prowadzi też wojnę z mediami. Wyrzucił niepokornego redaktora naczelnego wojskowej gazety „Stars and Stripes", a obsługującym Pentagon dziennikarzom spoza resortu odmówił przedłużenia akredytacji, jeśli nie zgodzą się na prewencyjne cenzurowanie swoich tekstów. Groteskowe żądanie w kremlowskim stylu nie mogło być spełnione, ale od maja departament przestał organizować briefingi dla prasy. A kiedy media informują o kolejnych amerykańskich niepowodzeniach w wojnie i jej piramidalnych kosztach, szef Pentagonu oskarża je o „brak patriotyzmu".

Wojna z Pentagonem

Krytycy Hegsetha zauważają, że jego zapowiedzi skierowania w rejon Zatoki Perskiej kolejnych okrętów i tysięcy wojsk oznaczają, że może ich zabraknąć na innych frontach, np. w Azji, gdyby doszło do konfrontacji z Pekinem. Odpowiedzialność szefa Pentagonu jest tu oczywiście dyskusyjna – wojnę z Iranem rozpoczął i o jej prowadzeniu decyduje sam Trump. Ale polityk na stanowisku sekretarza obrony/wojny był tradycyjnie jednym z głównych, jeśli nie najważniejszym, doradcą prezydenta. Dlatego można było oczekiwać, że kiedy rozważano, co robić z Iranem, Hegseth przestrzeże przed uderzeniem. – *Jego głównym zadaniem wydaje się jednak wykonywanie poleceń Trumpa i osłanianie go przed krytyką, co nie bardzo działa* – mówi historyk i politolog John Micgiel.

Hegseth nie prowadzi wojny z Iranem, tylko wojnę w Pentagonie. Zwolnił z dowódczych stanowisk ponad 20 oficerów, a kilkunastu zablokował awanse. Posadę stracił najwyższy rangą ze zwolnionych szef sztabu wojsk lądowych, powszechnie szanowany gen. Randy George, i jego zastępca gen. Charles Mingus. Hegseth wyrzuca oficerów awansowanych przez poprzednią demokratyczną administrację, związanych z Joe Bidenem i jego szefem Pentagonu Lloydem Austinem, więc podejrzewanych o nielojalność. Miejsce George'a zajął gen. Chris LaNeve, który podczas inauguracyjnego balu Trumpa zapisał się w pamięci entuzjastyczną laudacją nowo wybranego prezydenta.

Efektem czystek w Pentagonie, mówią prywatnie jego pracownicy, jest klimat strachu. Jeden z krytyków Hegsetha porównał je (w wywiadzie dla BBC) do czyszczenia chińskiej armii z dysydentów przez Xi Jinpinga. Szefa Pentagonu lubi podobno wielu szeregowców – za bezpośredniość, jak kumpla z baru. Ale na wyższych szczeblach królują lęk i przekonanie, że liczą się tu nie zasługi i kompetencje, lecz polityczna prawomyślność. Kłóci się to z tradycyjnym charakterem amerykańskich sił zbrojnych, z zasady apolitycznych.

Dotyczy to także samego kierownictwa resortu. W powojennej historii USA bywali sekretarze Departamentu Obrony – jak Robert McNamara i Donald Rumsfeld – krytykowani za kardynalne błędy w prowadzeniu wojen (w Wietnamie i Iraku), ale nigdy nieoskarżani o partyjne motywacje. Apolityczność resortu podkreślały nominacje – sekretarzem departamentu za Billa Clintona został republikański senator William Cohen, a za kadencji Baracka Obamy przez dwa lata także Republikanin Chuck Hagel.

Szkody spowodowane czystkami nie ograniczają się do negatywnej selekcji. Na kilku zwolnionych wysokich stanowiskach od miesięcy służbę pełnią dowódcy tymczasowi, bo stałych nie znaleziono. Stwarza to – jak mówią eksperci – próżnię potencjalnie niebezpieczną w razie zaangażowania się USA w kolejny konflikt. Martwi to również sojuszników Ameryki. – *Kontrowersje wokół Hegsetha przyczyniają się do rosnącego niepokoju Europejczyków co do amerykańskiej polityki obronności i ciągłości militarnej obecności USA w Europie i w jej pobliżu* – mówi Ian Lesser z German Marshall Fund of the USA.

Kłopotliwy balast

W mediach i w Kongresie nasilają się głosy, że po spustoszeniach dokonanych w swoim resorcie Pete Hegseth powinien pożegnać się z posadą. Do chóru zaczynają się przyłączać Republikanie, senator Tom Tillis nazwał go najbardziej niekompetentnym sekretarzem obrony/wojny w dziejach Ameryki i wezwał Trumpa do pozbawienia go stanowiska. Inni Republikanie są bardziej powściągliwi, ale co myślą o szefie Pentagonu, widać było na przesłuchaniach w Kongresie, gdy Hegseth i przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów gen. Dan Kaine tłumaczyli się z kompromitującego rząd przebiegu wojny z Iranem. Miarą niechęci do szefa Pentagonu jest m.in. opór w Kongresie przed uchwaleniem rekordowego budżetu na zbrojenia wartości 1,5 bln dol.

Trump nie przestaje bronić swego pupila, mówi, że wykonuje on świetną robotę. Hegseth jest niestrudzonym realizatorem polityki prezydenta – inaczej niż J.D. Vance – pozbawionym wątpliwości. Wzorowy rzecznik trumpizmu dołącza na ochotnika do jego kolejnych ideologicznych kampanii, używając groteskowej retoryki. Jak w rocznicę D-Day 6 czerwca, kiedy wspomniał o „nowej inwazji na kontynent", tym razem imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu. Jest uosobieniem lansowanego przez MAGA kultu siły i tężyzny fizycznej. A ponieważ dla Trumpa liczy się przede wszystkim trzon jego elektoratu, który uwielbia Hegsetha, pozostaje nieodzownym filarem jego ekipy. Na razie.

Może się to zmienić po zbliżających się wyborach połówkowych do Kongresu w listopadzie. Jeżeli – jak przewidują sondaże – przyniosą one Republikanom klęskę, presja na zwolnienie szefa Pentagonu wzrośnie w dwójnasób. Jak podało „Politico", Demokraci już zapowiadają, że po odzyskaniu większości w Izbie Reprezentantów uruchomią dochodzenia w komisji sił zbrojnych, gdzie Hegseth będzie głównym celem. Lista spraw, z których ma się wytłumaczyć, jest długa: przyczyny impasu w wojnie z Iranem, oskarżenia o zbrodnie wojenne, polityczne czystki w Pentagonie i szemrane deale biznesowe w oczyszczonym departamencie.

Trump, do którego tropy będą prowadzić podczas kongresowych przesłuchań, może starać się uniknąć tej sytuacji. I żeby pozbyć się kłopotliwego balastu, wyrzuci Hegsetha. Kiedy idzie źle – a słupki sondażowe prezydenta dołują – cezura wyborów zwykle jest momentem na poświęcanie kozłów ofiarnych. Tymczasem Hegseth nosi się podobno z zamiarem zgłoszenia swej kandydatury do Białego Domu w 2028 r. To nie żart. Jeżeli, zagrożony dymisją, sam ogłosi, że ustępuje, żeby nie być ciężarem dla prezydenta, w epoce polityki telewizyjno-internetowej były gwiazdor Fox News – już jako męczennik – nie jest chyba bez szans.

TOMASZ ZALEWSKI

eprasa.pl 1ad5874e11



© MOSTAFA ALKHAROUF/ANADOLU/GETTY IMAGES

Szum o szabat

W Izraelu na nowo wybuchł spór o święty dzień odpoczynku. I nie chodzi w nim tylko o to, czy w sobotę można pójść do kina lub skorzystać z autobusu.

AGNIESZKA ZAGNER

Ultraortodoksyjni Żydzi protestują przed kawiarnią Basimta w Jerozolimie, żądając jej zamknięcia w szabat

„Do wojska! Do wojska!" – krzyczeli klienci nowej kawiarni Basimta w centrum Jerozolimy. Chwilę wcześniej ultraortodoksyjni demonstranci (haredim) zaczęli uderzać w jej szyby, domagając się zamknięcia lokalu w szabat. W ten sposób niewielka kawiarnia stała się areną dwóch izraelskich sporów: o to, jak religijne ma być państwo żydowskie, i o to, kto ma ponosić koszty przestrzegania religijnych zasad.

„Picie kawy w sobotni poranek nie powinno być aktem obywatelskiej odwagi" – mówił lider partii Nasz Dom Izrael Avigdor Lieberman, który przyjechał wesprzeć kawiarnię. A szef partii Demokraci Jair Golan przekonywał, że protestujący nie walczą tylko z Basimtą, lecz „o prawo do decydowania za nas wszystkich, jak mamy żyć". Obecność polityków nikogo nie dziwiła, w końcu trwa kampania wyborcza przed październikowymi wyborami do Knesetu.

Przez dziewięć kolejnych sobót protesty przed kawiarnią przeradzały się w przepychanki, blokowanie wejścia, rzucanie worków z fekaliami i interwencje policji. W końcu Basimta ogłosiła, że w soboty będzie zamknięta. Uri Keidar, szef Israel Hofszi (Wolny Izrael), największego w kraju stowarzyszenia działającego na rzecz świeckości państwa, nie chce oceniać działającego pod presją właściciela kawiarni. – *Jednak to, że ludzie stosujący przemoc dostają, czego chcą, nie jest dobrym znakiem* – przyznaje.

W tym stwierdzeniu mieści się sedno izraelskiej wojny o szabat. Nie chodzi tylko o to, czy w sobotę można wypić kawę na mieście, ale o granicę między wolnością religijną i religijnym przymusem. O to, ▶

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ czy państwo ma chronić świętość szabatu dla tych, którzy jej potrzebują, jednocześnie pozwalając innym żyć inaczej. O to w końcu, czy świecki mieszkaniec Jerozolimy ma prawo do swojej kawiarni tak samo jak haredi ma prawo do swojej zamkniętej ulicy.

Więcej niż sobota

Dla Żydów w Izraelu szabat nie jest po prostu sobotą. Rozpoczyna się w piątek przed zachodem słońca i kończy następnego wieczora. Dla religijnych Żydów jest świętym dniem odpoczynku, w którym obowiązują zasady wywodzące się z żydowskiego prawa religijnego, tzw. halachy. Tradycja wyróżnia 39 czynności (*melachot*), których nie wolno wykonywać. Wśród nich są m.in. gotowanie, pisanie, budowanie, rozpinanie dachu (co ewoluowało też do używania parasola), rozpalanie ognia czy przenoszenie przedmiotów między sferą prywatną i publiczną.

W praktyce ortodoksyjnej oznacza to, że nie wolno: prowadzić samochodu, robić zakupów, wykonywać pracy, włączać ani wyłączać urządzeń elektrycznych w sposób zakazany przez daną interpretację halachy. Ale ważne zastrzeżenie: nie jest to lista zakazów narzucona obywatelom przez państwo. To przede wszystkim zasady religijne, których przestrzegają ci, którzy je uznają.

Państwo wchodzi jednak w tę sferę. Izraelskie prawo reguluje pracę w dniu odpoczynku, a o otwieraniu biznesów w szabat w dużej mierze decydują samorządy i lokalne przepisy. Dlatego odpowiedź na pytanie, co wolno robić w Izraelu w sobotę, brzmi najczęściej: to zależy, gdzie jesteś. I kto rządzi twoją gminą.

Ile religii?

W pierwszych dekadach istnienia Izraela społeczeństwo było bardziej świeckie niż dziś, a ultraortodoksyjni Żydzi stanowili niewielką część populacji. Obecnie świeccy nadal są największą grupą, ale nie stanowią już większości.

Według izraelskiego Centralnego Biura Statystycznego w 2022 r. wśród Żydów powyżej 15. roku życia 47 proc. określało swój światopogląd jako świecki, 24 proc. jako tradycyjny, 13 proc. jako religijny, 2 proc. jako bardzo religijny, a 11 proc. jako ultraortodoksyjny. To ważne rozróżnienie. Nie można powiedzieć po prostu, że 53 proc. izraelskich Żydów to ludzie religijni. Kategoria „tradycyjni" jest bardzo pojemna, mogą np. przestrzegać zasady kaszrutu („czystości" potraw), zapalać szabatowe świece czy odwiedzać synagogę w najważniejsze święta, ale w soboty nie mają problemu z prowadzeniem samochodu.

Jeszcze wyraźniejsza jest zmiana demograficzna w przypadku haredim. Ich liczebność wzrosła w ciągu ostatnich kilkunastu lat z ok. 750 tys. do ponad 1,4 mln. To bardzo młoda społeczność, więc jej znaczenie demograficzne i polityczne będzie rosło.

– *Osoby religijne w Izraelu mają coraz więcej do powiedzenia* – uważa znajomy Izraelczyk z Hercliji, 110-tysięcznego miasta na północ od Tel Awiwu. Tu w soboty otwarte są niekoszerne kawiarnie, restauracje, ale także dwa centra rozrywki i okoliczne kina. Mój rozmówca, całkowicie świecki Żyd, zauważa jednak, że w jego otoczeniu jest coraz więcej osób, które w ostatnim czasie zaczęły nosić kipę lub widoczne cicit, frędzle rytualnego stroju pod koszulą.

To jego obserwacja, nie statystyka, chociaż według badań po wybuchu wojny w Strefie Gazy w 2023 r. ok. 25 proc. izraelskich Żydów zwiększyło swój udział w religijnych rytuałach. A to u wielu świeckich Izraelczyków wzmaga przeświadczenie, że ich świat się kończy.

Szabat po swojemu

Mój inny rozmówca Keidar zwraca jednak uwagę, że restauracji, centrów handlowych, kin i innych miejsc działających w szabat jest więcej niż dawniej. – *Kwestia szabatu będzie przez najbliższe lata jednym z centralnych tematów debaty publicznej, bo to najbardziej widoczny przykład tego, gdzie przebiega granica między religią i innymi zjawiskami. Tym bardziej że świecki Izrael staje się coraz bardziej świecki, a ten religijny – coraz bardziej religijny* – zauważa.

I rzeczywiście, obok rosnącej presji religijnych radykałów toczy się proces szybkiej liberalizacji codziennego życia. Szabat dla świeckiego Izraelczyka może być po prostu wolnym dniem. Oznacza spotkanie z rodziną, wycieczkę, plażę, restaurację, kino, kawę ze znajomymi. Dla religijnego Żyda jest świętym czasem, którego rytm wyznaczają modlitwa, posiłki, odpoczynek i zakazy. Te dwa światy żyją obok siebie. Problem zaczyna się wtedy, kiedy jeden z nich chce urządzić życie drugiemu.



Mea Szearim, religijna dzielnica Jerozolimy. Tu na szabat

W wielu miastach ze sporą społecznością religijną, jak Bnei Brak, Sderot czy Tyberiada, nadejście szabatu można wręcz usłyszeć – włączają się syreny. W niektórych miastach rozbrzmiewają dźwięki tradycyjnej pieśni „Szalom Alejchem" (Pokój z Wami). – *Na Facebooku pojawiają się krytyczne posty, że to naruszenie praw osób świeckich. Chyba my, Żydzi, szukamy wrogów nie tam, gdzie trzeba* – uważa Iddo, trzydziestoparolatek z Jerozolimy. W jego przypadku szabat polega po prostu na odpoczynku i niemyśleniu o pracy. Jego religijność sprowadza się do krótkich modlitw przed posiłkiem, czasem zawijaniu rano na ramieniu tefilin, dwóch skórzanych pudełeczek z fragmentami Tory.

Niewidzialna granica

Jerozolima jest specyficzna – tu syrena obwieszcza szabat ok. 20 minut wcześniej niż w reszcie kraju, czyli 40 minut przed piątkowym zachodem słońca. W dzielnicach religijnych natychmiast pustoszeją ulice, zamykają się sklepy, znikają auta. Życie miasta wyraźnie zwalnia na 25 godzin. W innych częściach Jerozolimy może być inaczej. Niektóre restauracje i kawiarnie działają, choć jest ich znacznie mniej niż w Tel Awiwie. – *Lokalni przedsiębiorcy powinni brać pod uwagę charakter*

eprasa.pl 1ad5874e11



rozstawia się barierki, by uniemożliwić wjazd pojazdom.

© CEZARY WOJTKOWSKI/SHUTTERSTOCK

otoczenia. Jerozolima to nie Tel Awiw. Chyba najlepiej byłoby zostawić wszystko po staremu, otwartych już miejsc nie zamykać, ale nie zaogniać sytuacji i nie otwierać nowych – przekonuje Iddo.

W Jerozolimie granice między świeckimi, tradycyjnymi i ultraortodoksyjnymi dzielnicami bywają niemal namacalne. Kilka ulic może wystarczyć, by przejść z miejsca, gdzie sobotnie śniadanie jest czymś oczywistym, do dzielnicy, w której otwarty sklep albo samochód na ulicy są traktowane jako naruszenie świętości dnia. W dzielnicach religijnych, jak Mea Szearim, Geula czy Har Nof, na czas szabatu rozstawiane są barierki na ulicach dojazdowych, by uniemożliwić wjazd pojazdom.

Jednym z elementów tego świata jest eruw, specjalnie wyznaczony obszar, gdzie zgodnie z żydowskim prawem religijnym wolno przenosić przedmioty poza domem. Eruw musi w symboliczny sposób zamykać przestrzeń, niewtajemniczeni mogą nie zauważyć, że tam, gdzie kończy się ściana budynku, między słupami rozciągnięte są cienkie druty. Dzięki temu religijny Żyd może w obrębie eruwu wyjść z domu z kluczami, torbą, laską czy wózkiem dziecięcym. Eruw nie pozwala jednak prowadzić samochodu, robić zakupów ani omijać innych zakazów szabatu.

Zerwany drut może sprawić, że eruw przestanie być ważny. W Jerozolimie osoby i organizacje religijne zajmują się jego kontrolowaniem i utrzymaniem. W ultraortodoksyjnej społeczności działa także rada ds. eruwów. Największym problemem jest, gdy eruw przerwie się w szabat – może go naprawić nie-Żyd, ale poprosić można o to tylko nie wprost, bo nakłanianie do złamania zasad to też złamanie zasad.

Dwa Izraele

Eruw to tylko jeden sposób, w jaki religijni Żydzi próbują rozszerzać zakres tego, co mogą robić w szabat. Przez lata rozwinął się cały świat technologii szabatowej. Winda szabatowa jest zaprogramowana jeszcze przed rozpoczęciem święta. Zatrzymuje się automatycznie na kolejnych piętrach, otwiera i zamyka drzwi bez naciskania przycisków. Dzięki temu osoba przestrzegająca szabatu może pojechać windą bez wykonywania czynności, która według części interpretacji halachicznych byłaby zakazana.

Inny przykład: lampy można podłączyć do zegara szabatowego. Zapalą się i zgasną o wcześniej ustalonej godzinie. Lodówka może pracować przez cały szabat, ale trzeba zadbać, by otwieranie drzwi nie uruchamiało niedozwolonej reakcji, np. zapalenia światła. Jedzenie przygotowuje się wcześniej i utrzymuje ciepłe na specjalnych płytach lub urządzeniach grzewczych.

To nie jest więc świat bez elektryczności, ale świat elektryczności zaprogramowanej z wyprzedzeniem. Świat, w którym człowiek nie naciska przycisku, ale urządzenie działa. Przez lata powstała wokół tego cała dziedzina wiedzy i inżynierii. W Izraelu działają instytuty zajmujące się tworzeniem rozwiązań technicznych zgodnych z wymogami halachy.

Bo Izrael to nie tylko Jerozolima. W liberalnym Tel Awiwie szabat przypomina pod wieloma względami spokojny europejski dzień wolny. Większość restauracji, kawiarni, kin i barów działa. Ludzie chodzą na plażę, spotykają się ze znajomymi, jeżdżą na rowerach. Supermarkety są na ogół zamknięte, choć otwarte są liczne małe sklepy. Działa nawet komunikacja publiczna.

To ważne, bo pokazuje, że problem transportu nie jest wyłącznie techniczny. Autobus można uruchomić. Pytanie brzmi, czy chce tego państwo i czy zgadzają się na to lokalne społeczności. Ale czasem samo status quo nie wystarczy – do tej pory w szabaty do Jerozolimy wjeżdżały autobusy wiozące pasażerów z północy kraju, choć nie docierały do dworca autobusowego. W ostatnim czasie nasilają się jednak protesty ortodoksów, kilka tygodni temu zatrzymali w sobotę 13 autobusów przy wjeździe do miasta i przepuścili je dopiero po zapadnięciu zmroku.

Można w harmonii?

Szabat nie kończy się w chwili, gdy w sobotę zachodzi słońce. W tradycji żydowskiej kończy go hawdala, czyli oddzielenie – obrzęd oddzielający święty dzień od reszty tygodnia. Po zapadnięciu zmroku odmawia się błogosławieństwa nad winem, zapala specjalną plecioną świecę i używa pachnących przypraw. Dopiero wtedy można wrócić do czynności zakazanych podczas szabatu – w sobotnie wieczory na nowo otwiera się wiele sklepów i restauracji.

Żeby to wszystko było takie proste! Zachód słońca i po sprawie... W Izraelu nie każdy świecki chce maksymalnie świeckiego państwa. Nie każdy tradycyjny Izraelczyk chce zamykać restauracje. Nie każdy religijny Żyd chce narzucać innym swoje zasady. Ale religijne partie mają realną siłę polityczną. A kiedy religia jest częścią instytucji państwa, konflikt o szabat przestaje być wyłącznie sporem między sąsiadami. Tym bardziej że nie wszyscy chcą pójść na kompromis.

Kawiarnia Basimta zamknęła się w końcu w sobotę, bo jej właściciele uznali, że cena otwarcia jest zbyt wysoka. Ale ten antagonizm pokazał szerszy problem. Właściciel kawiarni Yoel Ben David próbował przedstawić konflikt jako prostą zasadę współistnienia: „Chcę, żeby oni mogli spokojnie się modlić, żebyśmy my mogli spokojnie pić kawę i żebyśmy wszyscy potrafili żyć tutaj razem, w harmonii". I pytał: „Jeśli jest to możliwe w Tel Awiwie czy Hajfie, dlaczego nie w Jerozolimie?".

Decyzję o zamknięciu kawiarni jeden z zastępców burmistrza miasta nazwał „smutnym dniem dla Jerozolimy" i ostrzegał przed niebezpiecznym precedensem. W ten sposób wojna o szabat znów pokazała, że w Izraelu pytanie: „Czy można w sobotę napić się kawy?", jest tylko pozornie pytaniem o kawę.

AGNIESZKA ZAGNER

eprasa.pl 1ad5874e11



Mumia Ötziego, człowieka żyjącego przed 5,3 tys. lat, odkryta latem 1991 r. w alpejskim lodowcu. Od ponad trzech dekad jest badana przez naukowców.

Odmrożone zagrożenie

eprasa.pl 1ad5874e11

Naukowcy znajdują w kościach, mumiach i odpadkach DNA mikroorganizmów sprzed tysięcy lat. Niebezpieczeństwa powrotu dawnych chorób w tej chwili nie widać. Co przyniesie przyszłość? Nie wiadomo.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Paradawne grenlandzkie śmietniska, tzw. middeny, od dawna przyciągają uwagę archeologów. Przez tysiące lat mieszkańcy Zielonej Ziemi wyrzucali do nich kości zwierząt, muszle, odchody, resztki pożywienia i inne odpadki. W niskich arktycznych temperaturach wiele z nich zachowało się w dobrym stanie, stając się archiwum dawnych społeczności. Na podstawie zachowanego w nich materiału genetycznego naukowcy rekonstruowali już historię osadnictwa, dietę dawnych mieszkańców oraz sposoby wykorzystywania zwierząt. Tym razem postanowili sprawdzić, czy kryją się w nich także mikroorganizmy mogące stanowić zagrożenie.

Zespół Lorrie Maccario z University of Copenhagen pobrał próbki z middenów dokumentujących 4,5 tys. lat historii osadnictwa – od kultur paleoinuickich, poprzez nordyckich osadników, aż po okres kolonialny. Znaleźli w nich DNA ponad 1,2 tys. rodzajów bakterii. Niektóre mogły wywoływać poważne zatrucia pokarmowe i zakażenia, jak wyjątkowo liczna w osadach z kolonialnego Nuuk *Clostridium perfringens*. Zaskakująca była obecność nieznanych dotąd bakterii arktycznych. A także genów oporności na antybiotyki, co potwierdza tezę, że nie pojawiła się ona dopiero po wynalezieniu penicyliny – istniała w przyrodzie znacznie wcześniej.

Okazało się również, że mikroorganizmy uwalniane podczas rozmarzania osadów szybko ustępują miejsca współczesnym bakteriom. Nie znaleziono przy tym żadnych dowodów na obecność żywych patogenów.

Wydumane klątwy

Lęk przed tym, co kryje się w stopionej zmarzlinie, nie jest jednak nowy – od pokoleń paraliżuje nas strach przed tym, co sami zamknęliśmy pod ziemią. Na długo przed pojawieniem się współczesnej mikrobiologii podobne lęki przybierały postać opowieści o nieszczęściach pojawiających się po otwarciu dawnych grobów czy krypt. Zaczęło się od wyssanej z palca klątwy Tutanchamona, która jednak zwróciła uwagę na to, że w zamkniętych przez stulecia pomieszczeniach mogą się rozwijać grzyby pleśniowe czy bakterie. I unosić w powietrzu, stanowiąc zagrożenie dla osób starszych lub osłabionych. Niektórzy sugerowali, że to one być może odpowiadają za część problemów zdrowotnych uczestników badań. Przez jakiś czas za dowód uważano zagadkową historię z Polski.

W 1973 r. archeolodzy i konserwatorzy otworzyli na Wawelu zamkniętą od niemal pięciu stuleci kryptę Kazimierza Jagiellończyka. W następnych latach na zawał lub udar zmarło kilkanaście osób mających kontakt z grobowcem, co doprowadziło do narodzin legendy o klątwie Jagiellonów. W przeciwieństwie do klątwy Tutanchamona pojawiło się jednak potencjalne wyjaśnienie biologiczne – w próbkach pobranych z krypty wykryto m.in. grzyby *Aspergillus flavus*, zdolne do produkowania aflatoksyn, jednych z najsilniejszych naturalnych toksyn znanych nauce.

Choć obecność grzybów w krypcie nie budzi wątpliwości, nigdy nie udało się wykazać związku przyczynowego między nimi a konkretnymi zgonami. Wiele osób uczestniczących w badaniach żyło później długie lata, niewykluczone więc, że przynajmniej część zgonów była zwykłym zbiegiem okoliczności, który w atmosferze narastającej sensacji zaczął być postrzegany jako potwierdzenie legendy o klątwie Jagiellonów. Historie te sprawiły jednak, że naukowcy zaczęli zadawać nowe pytania. Czy w dawnych grobach mogą przetrwać nie tylko toksyny i zarodniki pleśni, ale także mikroorganizmy odpowiedzialne za wielkie epidemie przeszłości? A jeśli tak, to czy stanowią zagrożenie dla współczesnych ludzi?

Wykopane szczepy

Jednym z powodów, dla których te kwestie zaczęły interesować naukowców, były spektakularne sukcesy paleogenetyki. Dzięki nowoczesnym metodom analizy DNA można dziś identyfikować sprawców epidemii sprzed tysięcy lat i śledzić ich ewolucję. Najwięcej informacji dostarczyły badania dżumy. Jak wynika z artykułu w czerwcowym „Nature", badacze zidentyfikowali DNA *Yersinia pestis* z zębów łowców-zbieraczy żyjących nad Bajkałem we wschodniej Syberii ok. 5,5 tys. lat temu. Odkryte szczepy okazały się nie tylko najstarszymi znanymi formami dżumy, ale też niezwykle zjadliwymi. W ich genomie znajdował się bowiem unikatowy superantygen – czynnik zdolny do wywoływania gwałtownej reakcji układu odpornościowego.

Na nadbajkalskich cmentarzyskach niemal 40 proc. zmarłych nosiło ślady zakażenia. Wyjątkowo dużo było nieletnich, a datowania radiowęglowe wskazują, że w krótkim czasie umarło wiele osób, w tym całe rodziny. Czyli choroby zakaźne o charakterze epidemicznym nie rozwinęły się dopiero w neolicie – zarazy dziesiątkowały ludność, zanim pojawiły się rolnictwo i miasta.

Takie badania długo służyły przede wszystkim odtwarzaniu historii dawnych epidemii. Naukowcy rekonstruowali kolejne szczepy dżumy, gruźlicy, trądu czy wirusa zapalenia wątroby, śledząc ich pochodzenie i rozprzestrzenianie się. Na początku XXI w. pojawiło się jednak inne pytanie: skoro materiał ▶

© IOS/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ genetyczny patogenów potrafi przetrwać tysiące lat, to czy niektóre mikroorganizmy mogły przetrwać równie długo w stanie uśpienia?

Syberyjskie zombie

Przez większą część XX w. podobne rozważania pozostawały domeną literatury fantastycznej i filmów katastroficznych. Sytuacja zaczęła się zmieniać wraz z rozwojem badań nad wieczną zmarzliną. W 2014 r. wirusolodzy z zespołu Jeana-Michela Claverie ogłosili, że udało im się reaktywować liczącego 30 tys. lat wirusa *Pithovirus sibericum*, wydobytego na Syberii. Nie infekował ludzi ani zwierząt, lecz ameby. Sam fakt, że po tak długim czasie był zdolny do zakażania swoich gospodarzy, zrobił jednak ogromne wrażenie. W kolejnych latach odkrywano następne podobne wirusy. W 2023 r. ten sam zespół poinformował o reaktywacji kolejnych 13 rozmrożonych patogenów, z których najstarszy, *Pandoravirus yedoma*, miał niemal 50 tys. lat. Media szybko podchwyciły temat i informowały o „wirusach zombie". Wróciło więc pytanie, czy z powodu topnienia Arktyki mogą się uaktywnić dawne choroby ludzi.

Dodatkowych argumentów dostarczył przypadek z Półwyspu Jamalskiego. W 2016 r., podczas wyjątkowo gorącego lata, doszło tam wśród reniferów do epidemii wąglika. Zachorowało również 90 osób, a jedno dziecko zmarło. Część badaczy sugerowała, że źródłem zakażenia mogły być przetrwalniki bakterii *Bacillus anthracis*, uwolnione z rozmarzających szczątków zwierząt padłych podczas epidemii w 1941 r. Historia obiegła świat jako pierwszy możliwy przykład choroby powracającej wskutek zmian klimatycznych. Z czasem jednak się okazało, że przyczyna mogła być inna – od kilku lat Rosjanie nie szczepili regularnie reniferów przeciwko wąglikowi.

Podobne wątpliwości zaczęły się pojawiać także w odniesieniu do innych mikroorganizmów. O ile wirusy ameb rzeczywiście można było reaktywować po dziesiątkach tysięcy lat, o tyle nie znaleziono dowodów, by równie dobrze radziły sobie wirusy odpowiedzialne za choroby ludzi. Wielokrotnie próbowano odnaleźć żywe patogeny w szczątkach ofiar ospy prawdziwej, grypy hiszpanki czy dżumy. Badaczom udawało się izolować fragmenty materiału genetycznego, a czasami nawet odtwarzać całe genomy, jednak nie znajdowano żywych drobnoustrojów zdolnych do wywołania zakażenia.

W pierwszych dwóch dekadach XXI w. wydawało się więc, że pytanie nie brzmi już: „Czy dawne mikroorganizmy mogą przetrwać?", lecz: „Co się stanie, gdy zostaną uwolnione?". Aby odpowiedzieć na nie bardziej wiarygodnie niż za pomocą laboratoryjnych eksperymentów czy medialnych spekulacji, naukowcy zaczęli się przyglądać mumiom, które przeleżały w lodzie, w których zachowały się nie tylko kości, lecz także tkanki miękkie, włosy, zawartość przewodu pokarmowego oraz ślady dawnych mikroorganizmów. Dzięki temu uczeni mogą badać nie tylko choroby, ale też całe mikrobiomy ludzi żyjących przed setkami czy tysiącami lat.

Żywe mumie

Najsłynniejszym „pacjentem" współczesnej paleomikrobiologii jest Ötzi, żyjący 5,3 tys. lat temu człowiek, odkryty podczas wyjątkowo ciepłego lata 1991 r. w alpejskim lodowcu na granicy Austrii i Włoch. Jego ciało znajduje się dziś w specjalnej komorze chłodniczej w Muzeum Archeologicznym Południowego



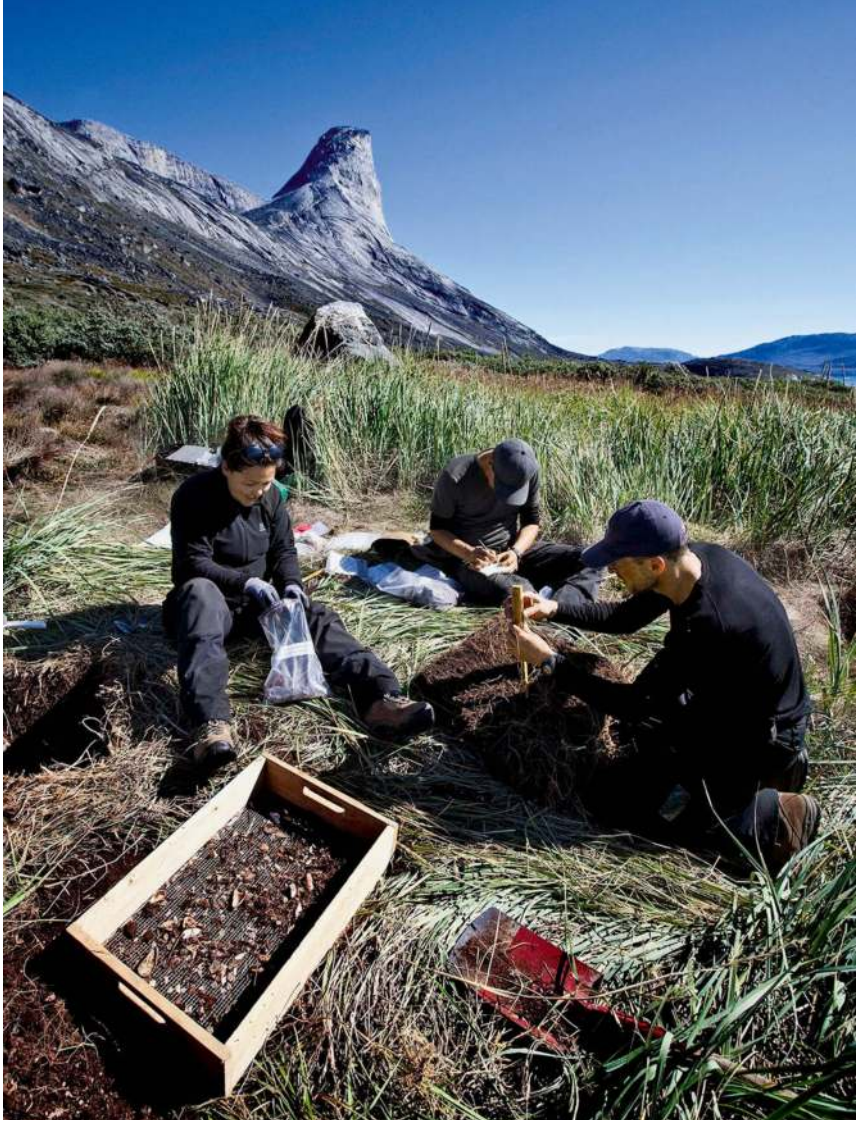
Topniejące góry lodowe w pobliżu Ilulissat na Grenlandii

Tyrolu w Bolzano i od ponad trzech dekad badane jest przez naukowców z Eurac Research – Institute for Mummy Studies. Dzięki analizom genetycznym ustalono już m.in., że Ötzi był zakażony bakterią *Helicobacter pylori* odpowiedzialną za wrzody żołądka, miał predyspozycje do chorób sercowo-naczyniowych, a w jego jelitach znajdowało się DNA pasożytów. Przeprowadzone w 2017 r. przez zespół Gabrielego Andrei Lugliego z Università degli Studi di Parma badania mikrobiomu pokazały, że bardziej przypominał on ten współczesnych społeczności prowadzących tradycyjny tryb życia, jak Hadza z Tanzanii, niż mieszkańców uprzemysłowionego Zachodu. W jego przewodzie pokarmowym zachowały się bowiem grupy bakterii, które dziś w Europie i Ameryce Północnej są bardzo rzadkie lub całkowicie zanikły na skutek urbanizacji, zmian diety i powszechnego stosowania antybiotyków.

Najnowsze badanie, opublikowane w czerwcu 2026 r. w czasopiśmie „Microbiome", polegało na analizie całego mikrobiologicznego ekosystemu związanego z mumią. Zespół naukowców, kierowany przez Mohameda Sarhana z Università degli Studi di Trento, odkrył, że przez tysiące lat na jej powierzchni utrzymywały się przystosowane do zimna drożdże i grzyby. Część udało się wyhodować w laboratorium, jeden ze szczepów wykorzystano nawet do przygotowania zakwasu i wypieku chleba. Brzmi to jak dowód, że można ożywić mikroorganizmy sprzed

eprasa.pl 1ad5874e11





Duńscy archeolodzy na grenlandzkim stanowisku Iffiartafik

5 tys. lat, w rzeczywistości jednak wniosek badaczy jest znacznie bardziej złożony: mumia nie jest ani biologicznie nieaktywnym obiektem, ani idealnie zachowaną kapsułą czasu. Stanowi dynamiczny ekosystem, w którym współistnieją mikroorganizmy pochodzące z czasów życia Ötziego, okresu jego spoczywania w alpejskim lodowcu oraz ze współczesnego muzeum. Drożdże wykorzystane do wypieku chleba nie musiały zatem pochodzić z epoki miedzi. Znacznie ważniejsze było jednak odkrycie, że nawet jedna z najlepiej zachowanych mumii świata pozostaje środowiskiem stale podlegającym biologicznym przemianom.

Podobne badania prowadzi się na mumiach inkaskich dzieci złożonych w ofierze podczas rytuałów *capacocha* wysoko w Andach, gdzie spoczywały przez ponad pięć stuleci w temperaturach przypominających te w zamrażarkach. Analizy ich włosów, tkanek i mikroorganizmów pozwoliły odtworzyć dietę, stan zdrowia, obecność pasożytów oraz zmiany zachodzące w ich ciele w ostatnich miesiącach życia. Pokazuje to, że ludzkie szczątki są przede wszystkim archiwami informacji o sposobie życia, diecie i ewolucji mikroorganizmów.

Groźne ocieplenie

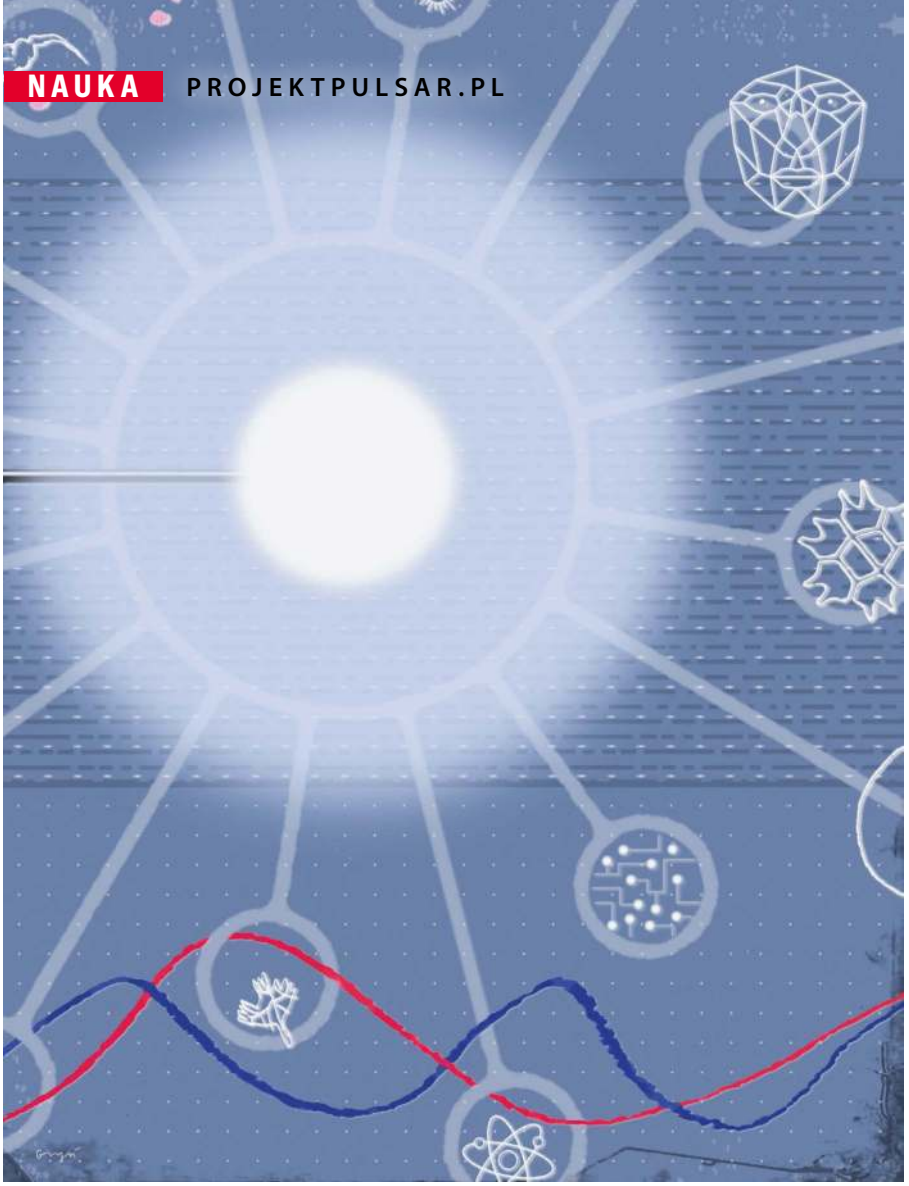
Pomimo dziesięcioleci badań badaczom nie udało się jak na razie znaleźć ani w kościach, ani w mumiach żywych mikroorganizmów zdolnych do wywołania choroby. Odkryli jedynie fragmenty materiału genetycznego dawnych patogenów, dzięki którym mogą odtwarzać historię chorób czy składy mikrobiomów naszych przodków. Podobnie było na Grenlandii. Choć w osadach zachowało się DNA bakterii związanych z ludźmi i zwierzętami, nie znaleziono dowodów, by mikroorganizmy te skutecznie kolonizowały współczesne środowisko po uwolnieniu z rozmarzających stanowisk archeologicznych. Nie są więc niebezpieczne.

Historia badań nad „zamrożonymi epidemiami" pokazuje ciekawą ewolucję naukowego myślenia. Badaczy najpierw fascynowała sama możliwość odnalezienia mikroorganizmów sprzed tysięcy lat. Później pojawiły się obawy, że topniejąca zmarzlina może uwolnić dawne choroby. Dziś coraz więcej danych wskazuje, że samo przetrwanie DNA, a nawet niektórych bakterii czy wirusów, nie oznacza jeszcze groźby epidemii. Jak na razie – podkreślają badacze middenów w Grenlandii. Nie można bowiem wykluczyć, że wraz z dalszym ocieplaniem klimatu sytuacja może się zmieniać. Dlatego na wszelki wypadek proponują, by podczas badań w Arktyce rutynowo monitorować mikrobiomy znajdowane na stanowiskach archeologicznych. Wygląda na to, że prawdziwym zagrożeniem nie są upiory z przeszłości, lecz to, co robimy z klimatem tu i teraz. Prędzej staniemy się ofiarą własnych zaniedbań niż dawnych patogenów.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© SEAN GALLUP/GETTY IMAGES, R. FORTUNA, NATIONAL MUSEUM OF DENMARK

eprasa.pl 1ad5874e11



ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

Są super

W październiku po raz 26. rozdamy Nagrody Naukowe POLITYKI. Spośród niemal 400 kandydatów Kapituła Profesorska wyłoniła 15 młodych badaczy. Wszyscy są już laureatami konkursu, a pięcioro z nich otrzyma nasze główne nagrody.

KATARZYNA CZARNECKA

Jest wiele określeń właściwych do opisania naukowców, którzy zgłosili się do tegorocznej edycji Nagrody. Wybitni, nieprzeciętni, błyskotliwi, pracowici, zaangażowani, wszechstronni. Każde padało podczas posiedzenia Kapituły Profesorskiej wielokrotnie. „Oni są super" – stwierdził w końcu prof. Jan Madey. I to jedno słowo, w pełni uzasadnione, oddaje prawdę o tych młodych ludziach nauki głębiej niż poprzednie.

Moglibyśmy opisać dokonania tej piętnastki naukowców, które to potwierdzają. Znacznie jednak lepiej o tym, w jaki sposób podchodzą do swojej – nie wahamy się użyć tego słowa – misji i jak ich działania odpowiadają na współczesne

Finaliści 26. edycji Nagród Naukowych POLITYKI

NAUKI HUMANISTYCZNE

dr Michał Godziszewski – Wydział Filozoficzno-Historyczny oraz Wydział Matematyki i Informatyki, Uniwersytet Łódzki – filozofia

dr Dawid Kobiałka – Wydział Filozoficzno-Historyczny, Uniwersytet Łódzki – archeologia

NAUKI SPOŁECZNE

dr Anna Górska – Wydział Zarządzania, Akademia Leona Koźmińskiego – socjologia/zarządzanie

dr Krzysztof Mączka – Wydział Socjologii, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu – socjologia

dr Michał Misiak – Wydział Nauk Historycznych i Pedagogicznych, Uniwersytet Wrocławski – psychologia/antropologia

NAUKI O ŻYCIU

dr Kaja Bałazy – Instytut Oceanologii Polskiej Akademii Nauk – biologia/nauki o klimacie

dr n. med. Renata Pacholczak-Madej – Wydział Lekarski, Uniwersytet Jagielloński Collegium Medicum – nauki medyczne

dr inż. Katarzyna Roguz – Wydział Biologii, Uniwersytet Warszawski – biologia/nauki o klimacie

dr n. med. Greta Sibrecht – Wydział Lekarski, Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu – nauki medyczne

NAUKI ŚCISŁE

dr inż. Maria Cywińska – Wydział Mechatroniki, Politechnika Warszawska – fizyka

dr inż. Marcelina Jureczko – Centrum Biotechnologii, Politechnika Śląska – chemia/biotechnologia

dr hab. Oskar Skibski – Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki – Uniwersytet Warszawski – informatyka

NAUKI TECHNICZNE

dr inż. Sebastian Cygert – Ośrodek Badań nad Bezpieczeństwem Sztucznej Inteligencji, NASK – Państwowy Instytut Badawczy – informatyka

dr inż. Krzysztof Kotowski – Dział Uczenia Maszynowego, KP Labs – informatyka

mgr inż. arch. Anna Kurianowicz – Wydział Architektury, Politechnika Śląska – architektura

eprasa.pl 1ad5874e11

wyzwania, mówią oni sami w swojej autoprezentacji:

- „Logika matematyczna, teoria mnogości, filozofia matematyki czy teoria gier dostarczają narzędzi do rozumienia prawdy, wiedzy, decyzji, sprawiedliwości, zaufania i odpowiedzialności" – dr Michał Godziszewski.
- „Odnaleźliśmy szczątki ponad tysiąca osób. Taka archeologia jest misją" – dr Dawid Kobiałka zajmujący się „archeologią masowych zbrodni".
- „W swoich projektach pokazuję, że formalna równość nie zawsze oznacza równe szanse" – dr Anna Górska.
- „Badam lęki środowiskowe i sposoby radzenia sobie z nimi w Polsce, Ukrainie i na Węgrzech" – dr Krzysztof Mączka.
- „Moje obecne projekty wyrosły z badań nad kulturowymi różnicami w ocenach marnowania żywności. Odkryłem, że osoby lepiej odżywione mniej szanują jedzenie" – dr Michał Misiak.
- „Zajmuję się arktycznym zooplanktonem oraz ptakami morskimi, które się nim żywią. Ten układ jest systemem ostrzegania przed zmianami zachodzącymi w Oceanie Arktycznym" – dr Kaja Bałazy.
- „Znaczenie społeczne prowadzonych badań polega na poprawie jakości leczenia pacjentek onkologicznych poprzez bardziej precyzyjną kwalifikację do terapii" – dr n. med. Renata Pacholczak-Madej.
- „Dla wielu osób kwiat jest przede wszystkim czymś ładnym. Dla mnie jest miejscem spotkania wielu światów" – dr inż. Katarzyna Roguz.
- „Odkąd pamiętam, medycyna była dla mnie czymś więcej niż zawodem: była pytaniem o to, jak skutecznie i odpowiedzialnie pomagać" – dr n. med. Greta Sibrecht.
- „Opracowywane rozwiązania znajdują zastosowanie w obrazowaniu biomedycznym i metrologii przemysłowej, umożliwiając bardziej precyzyjne, szybkie i zautomatyzowane pomiary" – dr inż. Maria Cywińska.
- „Głęboko wierzę, że moje podejście do problemu ekotoksyczności oraz usuwania leków cytostatycznych ma duże znaczenie dla rozwoju nauki w obszarze inżynierii i ochrony środowiska" – dr inż. Marcelina Jureczko.
- „Jak wskazać najważniejszego gracza w sieci terrorystycznej? Jak ocenić przydatność danego przystanku w sieci transportu publicznego?" – dr hab. Oskar Skibski.
- „Wierzę, że jednym z najważniejszych wyzwań najbliższych lat będzie zapewnienie, aby rozwój AI przebiegał w sposób bezpieczny, transparentny i zgodny z interesem społecznym" – dr inż. Sebastian Cygert.
- „Pokazuję, że informatyka może przesuwać granice poznania i technologii w obszarach kluczowych dla przyszłości człowieka" – dr inż. Krzysztof Kotowski.
- „Fascynuje mnie, jak urządzić przestrzenie miejskie tak, żeby były przyjazne do życia. Skupiam się na świadomym wplataniu natury w tkankę miejską: zielonych dachach, ogrodach deszczowych, nieckach retencyjnych, miejskich mokradłach" – mgr inż. arch. Anna Kurianowicz.

O tym, kto z tej piętnastki znajdzie się w piątce głównych laureatów Nagród Naukowych POLITYKI, zadecyduje Kapituła Obywatelska. Będzie to jednak wybór najlepszych z najlepszych. Bo wszyscy oni naprawdę są super.

Nagrody Naukowe POLITYKI zostaną wręczone 18 października.

REKLAMA

PULSAR – SERWIS POPULARNONAUKOWY POLITYKI ZAPRASZA

Anatomia brainrotu. Jak portale społecznościowe wpływają na jednostki i społeczności?

Eksperci: dr Dominika Czerniawska-Szejda, socjolożka z UW,
oraz prof. Wojciech Kulesza, psycholog społeczny z USWPS.
Prowadzenie: Katarzyna Czarnecka, redaktorka naczelna pulsara

20 września 2026 (niedziela), godz. 17
Wydział Fizyki UW
ul. Pasteura 5, aula 0.03
Wstęp wolny.



Patroni medialni: POLITYKA, Świat Nauki Scientific American, pulsar, wiedza i życie

eprasa.pl 1ad5874e11

Kapituła **Profesorska** (I etapu)

BIOLOGIA **prof. dr hab. Ewa Bartnik** – Wydział Biologii UW (na emeryturze); **dr hab. Marcin Grynberg** – Instytut Biochemii i Biofizyki PAN, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w roku 2004
FILOLOGIE, LITERATUROZNAWSTWO, JĘZYKOZNAWSTWO **prof. dr hab. Grażyna Borkowska** – Instytut Badań Literackich PAN
KULTUROZNAWSTWO **red. Bartek Chaciński** – POLITYKA
FIZYKA **prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow** – Wydział Fizyki UW, rektor UW w latach 2005–12
SOCJOLOGIA **prof. dr hab. Henryk Domański** – Instytut Filozofii i Socjologii PAN
NAUKI PRAWNE **prof. dr hab. Tomasz Giaro** – Wydział Prawa i Administracji UW
NAUKI TECHNICZNE **prof. dr hab. Michał Kleiber** – Instytut Podstawowych Problemów Techniki PAN, prezes PAN w latach 2007–15
ARCHEOLOGIA **red. Agnieszka Krzemińska** – POLITYKA
GEOGRAFIA **dr hab., prof. UW Sylwia Kulczyk** – Wydział Geografii i Studiów Regionalnych UW
ARCHITEKTURA, URBANISTYKA **prof. dr hab. inż. arch. Ewa Kuryłowicz** – Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej, Kuryłowicz&Associates
FILOZOFIA **prof. dr hab. Paweł Łuków** – Instytut Filozofii UW; recenzentka zewnętrzna **prof. dr hab. Katarzyna Kijania-Placek** – Instytut Filozofii UJ
MATEMATYKA, INFORMATYKA **prof. dr hab. Jan Madey** – Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW (na emeryturze);
INFORMATYKA **prof. dr hab. Piotr Sankowski** – Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW, Instytut Badawczy IDEAS, jest laureatem NNP z 2005 r.
CHEMIA, BIOTECHNOLOGIA **prof. dr hab. Marcin Pałys** – Wydział Chemii UW, rektor UW w latach 2012–20;
prof. dr hab. Artur Krężel – Wydział Biotechnologii Uniwersytetu Wrocławskiego, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w roku 2010
HISTORIA SZTUKI **prof. dr hab. Maria Poprzęcka** – Wydział „Artes Liberales" UW
MEDYCYNA **prof. dr hab. n. med. Aleksander Sieroń dr h. c. multi** – Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie (prorektor ds. medycznych i nauk o zdrowiu)
PSYCHOLOGIA, PEDAGOGIKA **prof. dr hab. Krystyna Skarżyńska** – Wydział Psychologii Uniwersytetu SWPS w Warszawie
EKONOMIA i ZARZĄDZANIE **prof. dr hab. Tomasz Szapiro** – Kolegium Analiz Ekonomicznych SGH w Warszawie, rektor SGH w latach 2012–16, przewodniczący Kapituły
RELIGIOZNAWSTWO, TEOLOGIA **red. Adam Szostkiewicz** – POLITYKA
MUZYKOLOGIA **red. Dorota Szwarcman** – POLITYKA
HISTORIA, NAUKI POLITYCZNE, MEDIOZNAWSTWO **prof. dr hab. Wiesław Władyka** – Wydział Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW, POLITYKA

Kapituła **Społeczna** (II etapu)

Marek Belka
były premier, wicepremier i minister finansów, prezes NBP w latach 2010–16, poseł do Parlamentu Europejskiego IX kadencji
Andrzej Jacek Blikle
profesor matematyki i informatyki, członek Europejskiej Akademii Nauk, przedsiębiorca i trener biznesu, udziałowiec firmy A. Blikle
Henryka Bochniarz
założycielka i prezydent Konfederacji Lewiatan (w latach 1999–2019), obecnie przewodnicząca Rady Głównej tej organizacji, ekonomistka, była minister przemysłu, jedna z animatorek Kongresu Kobiet
Sylwia Chutnik
kulturoznawczyni, feministka, działaczka społeczna, pisarka, laureatka Paszportu POLITYKI w kategorii literatura za 2008 r.
Irena Eris
doktor farmacji, współwłaścicielka i dyrektor ds. badań firmy Dr Irena Eris SA, laureatka wielu nagród dla przedsiębiorców, menedżerów i społeczników
Robert Firmhofer
historyk filozofii, współtwórca i dyrektor Centrum Nauki Kopernik w Warszawie, uznany popularyzator nauki
Michał Komar
scenarzysta, wydawca, publicysta, pisarz; zastępca przewodniczącego Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, profesor Collegium Civitas
Tomasz Nałęcz
historyk, publicysta, polityk, w latach 2010–15 doradca Prezydenta RP ds. historii i dziedzictwa narodowego
Mieczysław Poniewski
profesor nauk technicznych, przewodniczący zarządu Stowarzyszenia KOPIPOL, był wieloletnim członkiem Komitetu Termodynamiki i Spalania PAN
Krzysztof Smolarski
prezes Zarządu Consultronix SA, wydawca magazynu medycznego CX News, mecenas kultury i sztuki
Cezary Szczylik
ordynator Oddziału Onkologii Europejskiego Centrum Zdrowia Otwock, prezydent Fundacji Onkologii Doświadczalnej i Klinicznej, w latach 1993–2017 szef Kliniki Onkologii Centralnego Szpitala Klinicznego MON
Krzysztof Zanussi
reżyser, scenarzysta filmowy, publicysta, felietonista

W pracach Kapituły II stopnia uczestniczy również przedstawiciel Kapituły Profesorskiej oraz redaktor naczelny POLITYKI **Jerzy Baczyński**.

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2026
KOPIPOL
Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
zaiks sprzyjamy wyobraźni
Patron honorowy
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Patroni medialni
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl 1ad5874e11



Coś się kończy, coś się zaczyna.

Jak powrócić do codziennego rytmu po wakacjach?

Koniec wakacji oznacza powrót do codzienności – pracy, szkoły, studiów i całej listy obowiązków, na które jeszcze niedawno było nieco więcej czasu. Polacy już teraz należą do najbardziej zapracowanych narodów w Unii Europejskiej – według danych Eurostatu w 2025 roku pracowaliśmy przeciętnie 38,7 godziny tygodniowo, podczas gdy unijna średnia wynosiła niespełna 36 godzin. Jednocześnie zbliżająca się jesień przynosi deszcz, wilgoć i więcej zabrudzeń trafiających do naszych domów. Na szczęście większa liczba obowiązków nie musi oznaczać większej ilości czasu spędzonego na sprzątaniu.

Jesienne porządki nie kończą się przecież na jednym gruntownym odkurzaniu czy umyciu okien. Utrzymanie efektów sprzątania wymaga regularności, a właśnie na nią najtrudniej znaleźć czas, kiedy po wakacyjnej przerwie kalendarz ponownie zaczyna się zapełniać. Część najbardziej powtarzalnych domowych prac można dziś powierzyć inteligentnym robotom, które zajmą się nimi bez konieczności ciągłego angażowania domowników. W ten sposób technologia sprawia, że nie wszystkim musimy zajmować się osobiście.

Podłogi, które wymagają ciągłej uwagi

Jesienią o czyste podłogi zdecydowanie trudniej. Częstsze opady i wiatr sprawiają, że na chodnikach pojawia się więcej piasku, fragmentów liści i innych zabrudzeń, które później wnosimy do domu na butach. Nawet dokładne, generalne porządki nie wystarczą na długo. Zamiast jednak codziennie sięgać po odkurzacz i mop, część obowiązków można powierzyć **ECOVACS DEEBOT T90 PRO OMNI**. Robot może zajmować się podłogami na co dzień, również wtedy, gdy domownicy są w pracy, szkole lub na uczelni. Urządzenie nie tylko odkurza, ale wykorzystuje też system OZMO ROLLER 3.0 do aktywnego mopowania podłogi. Obracający się z prędkością do 200 obr./min mop jest na bieżąco zwilżany wodą, dzięki czemu radzi sobie również z trudniejszymi zabrudzeniami – szczególnie przydatne, gdy jesienna pogoda zostawia po sobie na podłodze coś więcej niż tylko kilka ziaren piasku. Technologia TruEdge pozwala z kolei dokładnie sprzątać także przy krawędziach. Dzięki temu utrzymanie porządku nie musi oznaczać dokładania kolejnego zadania do coraz dłuższej listy jesiennych obowiązków.

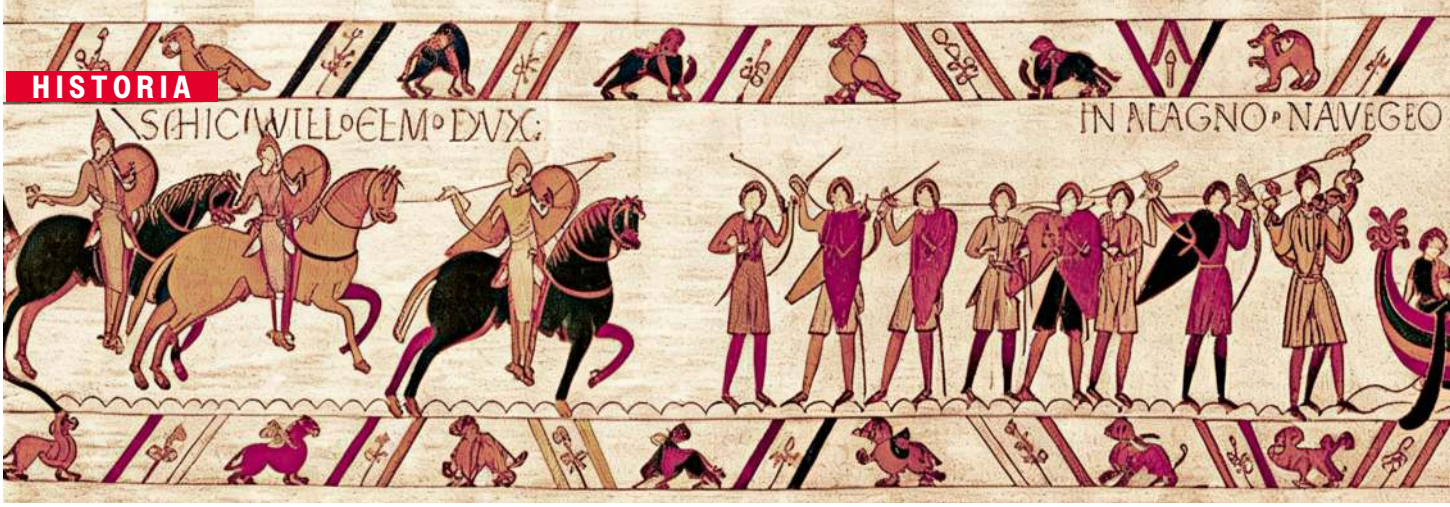


Szklana pogoda, szyby brudne od deszczu

Choć częste jesienne deszcze zostawiają zacieki na oknach, nie oznacza to, że musimy je myć kilka razy w tygodniu. Także ten obowiązek można zautomatyzować dzięki **ECOVACS WINBOT W3 OMNI**. Robot wykorzystuje technologię TruEdge, która pozwala mu docierać do krawędzi i narożników szyby, oraz system spryskiwania ułatwiający usuwanie zabrudzeń. Może być przy tym zasilany z akumulatora, co pozwala korzystać z niego także w miejscach bez wygodnego dostępu do gniazdka. Robot zajmuje się myciem szyb, pozwalając w tym czasie skupić się na odpoczynku. Co więcej, ten model jest wyposażony w stację OMNI z technologią Vortex Wash, która sama pierze pady czyszczące. Dzięki temu użytkownik nie tylko nie musi samodzielnie myć szyb, ale również ręcznie prać padów po zakończeniu pracy.

Powrót do codzienności po wakacjach nie musi oznaczać, że wolny czas ponownie wypełniają domowe obowiązki, nawet w obliczu jesiennej pogody. Podłogi nadal trzeba regularnie odkurzać i mopować, a okna czasami umyć, ale zmienia się, ile z tych prac musimy wykonywać samodzielnie. Z pomocą robotów sprzątających i myjących jesienne porządki mogą wymagać od nas znacznie mniejszego zaangażowania. Problemy pozostają te same, ale ich rozwiązania są już zdecydowanie bardziej współczesne.

eprasa.pl 1ad5874e11



Pierwszy raz od ponad 950 lat Anglicy mogą oglądać tzw. Tkaninę z Bayeux u siebie. Francuzi wypożyczyli im to arcydzieło romanizmu na rok, ale czy powinno wrócić do Francji?

Kadry z przeszłości

ŁUKASZ WÓJCIK

Anglicy i Francuzi – to zawsze było skomplikowane. Zaczęło się symbolicznie, prawie tysiąc lat temu, bitwą pod Hastings (1066 r.). Potem była wojna stuletnia i kolejne legendarne starcie pod Azincourt (1415 r.). Dalej Napoleon, który planował inwazję na Wyspy, w końcu sojusze podczas wojen światowych, które wynikały raczej z zewnętrznego zagrożenia niż wzajemnej miłości. Dziś historia zatoczyła koło – Anglicy i Francuzi znów walczą pod Hastings.

Pierwszy przełom w tej nowej bitwie nastąpił już w 2018 r., gdy prezydent Emmanuel Macron po kolejnym brytyjsko-francuskim szczycie zapowiedział wypożyczenie do Londynu Haftu z Bayeux, który Francuzi z uporem maniaka nazywają Tkaniną (Tapisserie de Bayeux), a to za sprawą pomyłki francuskiego badacza z XIX w., który nie miał pojęcia o hafcie. Tkanina powstaje bowiem przy użyciu krosna, a tu mamy do czynienia z lnianym materiałem wyszywanym ręcznie wełnianymi nićmi.

Ale to nie jest zwykły haft! Mówimy o arcydziele, jednym z najważniejszych zabytków sztuki romańskiej, który przetrwał do naszych czasów. Długi na prawie 70 m i szeroki na 70 cm wczesnośredniowieczny komiks w 58 „kadrach", ze szczegółami opowiadający historię, która doprowadziła *Angli et Franci* właśnie pod Hastings. Powstał prawdopodobnie w Anglii w drugiej połowie XI w. na zamówienie biskupa Odona, przyrodniego brata zwycięzcy spod Hastings i późniejszego króla Anglii Wilhelma Zdobywcy.

Odon zabrał jednak Haft do swojej katedry w normandzkim Bayeux i od tamtej pory dzieło jest w rękach Francuzów. Nigdy nie pokonało już kanału La Manche, względnie Angielskiego. Aż do dziś. Od 10 września w londyńskim British Museum potomkowie zwycięzców spod Hastings mogą oglądać triumf swoich przodków – o ile wystarczająco wcześnie kupili bilety, bo tych nie ma już do stycznia. Haft ma zostać w Londynie do lipca przyszłego roku. Ale czy wróci do Francji?

W klimatyzowanych kufrach

Niektórzy francuscy konserwatorzy sztuki i muzealnicy uważają prezydenta Macrona niemal za zdrajcę. Historyk sztuki Didier Rykner zebrał ponad 70 tys. podpisów przeciw wysyłaniu Haftu do Anglii. Ale Macron się nie ugiął, zależy mu na zbliżeniu z Londynem, który od brexitu oddala się od Europy. I dobrze zrobił, twierdzi David Bates, emerytowany historyk z University of East Anglia. I dodaje: – *Francuzi tylko zasłaniali się kwestiami technicznymi, żeby przykryć fakt, że po prostu nas nie lubią.*

Owe kwestie techniczne też były realne. Haft zachował się cudem, być może dzięki temu, że co roku wystawiano go na kilka tygodni w katedrze w Bayeux: mogło to hamować rozwój grzybów i procesów gnilnych. To jednak tylko domysły Marca Morrisa, brytyjskiego historyka, znanego w Polsce m.in. z książki „Podbój normandzki". Bo choć Haft powstał przed 1077 r., pierwsza o nim wzmianka pochodzi z 1476 r. z inwentarza wspomnianej katedry. Potem o mało co nie skończył jako plandeka na wozy wojskowe, gdy rewolucja we Francji uznała, że liczy się już tylko przyszłość.

Haft opuszczał Bayeux tylko dwa razy (teraz jest trzeci). Najpierw w Luwrze kazał go wystawić Napoleon, który w 1803 r. szykował się do inwazji na Wyspy Brytyjskie i to dzieło miało przekonać Francuzów, że się da. Drugi raz do Paryża wywieźli go Niemcy podczas drugiej wojny światowej. Ich elity były przekonane o wspólnocie krwi z wikingami, a sam Haft miał posłużyć jako element większej instalacji tożsamościowej w Niemczech. Ale te plany ponoć pokrzyżował najpierw francuski ruch oporu, który schował Haft, a potem Jacques Dupont, generalny inspektor

eprasa.pl 1ad5874e11



Haft czy Tkanina z Bayeux to niemal 70-metrowy wczesnośredniowieczny komiks w 58 „kadrach". Opowiada o tym, jak doszło do bitwy pod Hastings.

zabytków, który już w 1941 r. pisał, że Niemcy „często prosili... o pokazanie Tkaniny". Dziwna wojna, dziwna okupacja.

Haft wciąż wygląda wspaniale, ale nadwątlił go m.in. pionowy sposób ekspozycji po drugiej wojnie, grawitacja zrobiła swoje. Dlatego teraz w British Museum już leży i w takiej pozycji będzie pokazywany po powrocie do Francji. Właśnie z jego podróżowaniem wiązały się największe wątpliwości. Ostatecznie Haft przebył drogę do Anglii w specjalnie zbudowanych dla niego klimatyzowanych kufrach, złożony w harmonijkę, a wszystko to było uczepione do zewnętrznej ramy za pomocą sprężyn. Tak zapakowany na ciężarówkę i ubezpieczony przez Brytyjczyków na 800 mln funtów dotarł do Anglii pociągiem pod dnem kanału.

W drugą stronę – jako „zakładników" – Brytyjczycy mają teraz posłać kilka skarbów z łodzi pogrzebowej z Sutton Hoo (VII w.) oraz słynne średniowieczne szachy, odnalezione w szkockim Lewis. Francuzi ponoć domagali się Kamienia z Rosetty, który w połowie XIX w. pozwolił na odczytanie egipskich hieroglifów. Ale tu sprawa była zbyt delikatna, bo Kamień znalazły wojska Napoleona, a w ręce Anglików trafił dopiero po ich kapitulacji w Egipcie. Londyn nie chciał więc ryzykować.

Brytyjczycy czterokrotnie starali się o wypożyczenie Haftu. Pierwszy raz w 1931 r. Drugi – w związku z koronacją Elżbiety II w 1953 r. Trzeci – w 1966 r., na tysiąclecie bitwy pod Hastings. Czwarty – w 1972 r. Bez rezultatu. Ale Francuzom nie ma się co dziwić. Złośliwi powiedzieliby, że dwa największe skarby w ich muzeach nie są do końca francuskie. Bo przecież poza Haftem z Bayeux (wcześniej nazywali go Tkaniną Królowej Matyldy, angielskiej królowej, co brzmiało niebezpiecznie) mają jeszcze Monę Lisę, która z Francją ma niewiele wspólnego (jeden raz wyjechała do USA w 1962 r., ale to głównie dzięki Jacqueline Kennedy, która swoim urokiem obezwładniła ówczesnego ministra kultury Francji, pisarza André Malraux). Oczywiście Londyn też ma swoje grzeszki, choćby wspomniany Kamień z Rosetty czy tzw. Marmury Elgina, ale żadne z państw roszczących sobie do nich historyczne prawo nie ma takiej siły przebicia.

Złamana przysięga

Jeśli Kamień z Rosetty to część egipskiej historii, a Marmury Elgina – greckiej, to Haft z Bayeux z pewnością należy do historii Anglii. Już w pierwszym kadrze tego osobliwego komiksu książę Wessex Harold Godwinson zaprzyjaźnia się z bezdzietnym królem Edwardem – ma nadzieję objąć po nim tron. Edward zwany Wyznawcą nakazuje jednak Haroldowi popłynąć do Normandii i zapytać księcia Wilhelma, czy przyjąłby angielską koronę po jego śmierci. Edward ma słabość do Normandii, spędził tam na wygnaniu 30 lat, gdy jego kraj zajęli Duńczycy. Ale źle wybrał posłańca – Harold to bogaty i ustosunkowany watażka, dla którego przejęcie władzy przez Normanów oznaczałoby degradację.

Harold płynie do Normandii, ale jego statki zbaczają z kursu – trafia do niewoli, z której wyswobadza go Wilhelm. Stają się braćmi w boju, razem wojują, zdobywają zamki. Ale nie są sobie równi. Ostatecznie Wilhelm zgadza się przejąć koronę po Edwardzie, a Harold składa mu hołd jako przyszłemu królowi Anglii.

I teraz jeden z najważniejszych kadrów, zupełnie niepasujący do patosu późniejszych epok, niemal intymny. Wilhelm siedzi na tronie już niczym król. Wskazuje na relikwie w niezwykle plastycznym geście potencjalnej władzy. Harold wyciąga ręce, by dotknąć świętych relikwii, i przysięga na nie wierność ▶

© UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE/EAST NEWS

REKLAMA

MONUMENTALNA I PORYWAJĄCA

ANTHONY KALDELLIS

HISTORIA BIZANCJUM

PRZEBUDZENIE WSCHODU

I tom

Premiera 9 września



▶ Wilhelmowi. To jak z Szekspira. Ale potem wraca do Anglii i po śmierci Edwarda sam sięga po koronę. Złamał przysięgę!

W jedną z wrześniowych nocy na Wyspy dociera armada Wilhelma: tysiąc okrętów, 8 tys. żołnierzy, 5 tys. koni. Normanowie zaledwie kilka pokoleń wcześniej byli wikingami. Widać to w kolejnym kadrze, gdy flota wojenna Wilhelma płynie do Anglii. Jego okręty wyglądają jak wikińskie drakkary, które do dziś można zobaczyć w duńskim Roskilde. I ten kunszt nici: każdy okręt ma wydęty żagiel, a na nim skrupulatnie wyszyte paski, które do dziś zachwycają kolorami. Nie zabrakło nawet morskich bestii.

W końcu obie strony spotykają się pod Hastings 14 października 1066 r. I kolejny pełen emocji kadr: następuje atak, anglosaski mur tarcz w końcu się rozpada, a ocalali zbijają się w małe grupki, ale nie ma już dla nich nadziei. Harold zostaje trafiony strzałą, to ta prosta czarna linia wślizgująca się pod jego hełm. Wydaje się zaskoczony, niedowierzający – wokół jego ostatni rycerze, on trzyma rękę na strzale, może próbuje ją wyciągnąć. U jego stóp zabici odzierani są już z cennych kolczug. „Harold Rex interfectus est" – głosi wyhaftowany napis – król Harold został zabity.

Triumfy i ból

Owa strzała została prawdopodobnie dohaftowana przez francuskich konserwatorów w XIX w., ale też to dzięki ich trosce ten średniowieczny komiks przetrwał w tak dobrym stanie. Jednak nie dlatego jest wyjątkowy. Gdy się przyjrzeć wojnom dackim, zilustrowanym na Kolumnie Trajana w Rzymie, czy bitwom Napoleona namalowanym przez Wasilija Wierieszczagina (Borodino!), to wieje z nich chłodem, dumą niezachwianych wojowników. Z Haftem jest zupełnie inaczej. Widać tam emocje, triumfy i zwątpienia, przerażenie i ból. Może dlatego, że wyhaftowały go kobiety?

Nie wiadomo, kto go wykonał, nikt się na nim nie podpisał. Ale historycy są niemal zgodni, że musiały to być kobiety – tym bardziej że historia nie zna przypadku mężczyzny z igłą w ręku. Panie, głównie anglosaskie szlachcianki, opanowały tę branżę co najmniej na początku X w. Z dokumentów kościelnych wyłania się system, w którym ważni duchowni obdarowywali ważne kobiety majątkami ziemskimi w zamian za świadczenie usług związanych z utrzymywaniem w należytym porządku szat liturgicznych i wystroju świątyń – od makatek po właśnie hafty.

Efekt jest widoczny niemal w każdym kadrze. Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że żaden mężczyzna, opowiadając historię własnych podbojów lub tych dokonanych przez swego zleceniodawcę, nie umieściłby tu takiej sceny: Normanowie (czyli zleceniodawcy) palą domy Anglosasów, z jednego wybiega kobieta, ciągnąc za rękę przerażone dziecko. Wykonuje przy tym rozpaczliwy gest w stronę podpalaczy: „Dlaczego?!".

Poza tym w oczy rzuca się kobiece wyczucie strojów i innych detali. Niektóre zapożyczono z wcześniejszych anglosaskich przedstawień, inne zdaniem ekspertów są bliższe historycznym realiom z 1066 r. Zdaje się jednak, że dokładność nie była tu celem nadrzędnym. Ubiór służy raczej identyfikacji postaci, określa status i napędza historię.

Mamy więc 624 mężczyzn i tylko trzy kobiety, każda w długiej sukni w nienajlepszym stanie. Anglosasi najczęściej noszą obcisłe, sięgające do kolan zdobione tuniki i proste spodnie. Normanów łatwo rozpoznać po fryzurze: włosy ogolone z tyłu i zaczesane do przodu niczym odwrócony mullet. Ale niektórzy się wyróżniają, jakby pochodzili z innej bajki – zaciężni obcokrajowcy? Ci mają dzielone tuniki, jakby kuloty. Nie wiemy, skąd pochodzą.

Kluczowe są płaszcze – wyróżniają ważniejsze postaci. Zazwyczaj zapinane na prawym ramieniu dużymi zdobionymi broszami, popularnymi wówczas w Anglii. Innym wyróżnikiem statusu są „akcesoria bogaczy" – jak pisze Marc Morris – czyli jastrzębie i psy myśliwskie. I tylko buty równają wszystkich, od królów do sług. Małe, spiczaste, sięgające do kostek. Na hafcie są w naprzemiennych odcieniach zieleni, żółci, czerwieni i granatu.

Charakterystyczny jest strój Edwarda Wyznawcy, inny od wszystkich. Bladozielony –nie ma takiego drugiego w żadnym innym kadrze – dodatkowo przeszyty złotym pasem. Na głowie korona, w ręku złoto-srebrzyste berło. Słowem Edward jest symbolem tego wszystkiego, co ciągnęło Normanów do Anglii, czyli bogactwa.

Lepienie narodu

Haft z Bayeux powstał w szczególnym momencie. – *To było krótko po Hastings i zmianie władzy w Londynie, kiedy nowy król Wilhelm szukał jeszcze porozumienia z pokonanymi Anglosasami, próbował „lepić nowy naród"* – twierdzi David Bates. Z tej pespektywy Haft można odczytać jeszcze inaczej: jako próbę zjednania sobie byłych wasali Harolda. – *Wiadomo, kto wygrał, ale przegrani też walczyli dzielnie i honorowo. A gdy emocje po bitwie opadły, trzeba było żyć obok siebie.*

Dlatego właśnie Haft jest przeszyty nicią dwuznaczności. Oczekujemy czystej propagandy zwycięzców, triumfujących Normanów, którzy naznaczają podbitą krainę swoimi zamkami. A tymczasem widzimy cierpienie, jakie ze sobą przynoszą. Jak pisze Marc Morris, ten, kto haftował, wiedział, że obie strony będą musiały żyć obok siebie co najmniej przez kolejne tysiąc lat. A my dziś, gdy patrzymy na to dzieło, odruchowo ulegamy fałszowi polaryzacji. W tym sensie to mądre dzieło sztuki, które nie widzi potrzeby obrażania słabych ani czynienia bogów z silnych.

W rzeczywistości ten miodowy miesiąc na Wyspach nie trwał jednak długo. W połowie lat 80. XI w. król Wilhelm rozpętał antyanglosaskie czystki w administracji. Przejmował majątki starej elity, co widać w słynnym Domesday Book, czyli katastrze gruntowym wydanym w 1085 r. Mordował za najmniejszy ślad sprzeciwu, co skończyło się emigracją wielu anglosaskich panów. Z Anglii wyruszyła wtedy armada 350 statków z trzema anglosaskimi hrabiami i ośmioma baronami – w poszukiwaniu nowego domu. Udali się do Bizancjum i trafili na służbę u cesarza, do jego osobistej straży przybocznej – Gwardii Waregów.

Sam Haft stał się więc niewygodny, przypominał bowiem o prawdziwych intencjach jego autorek i pierwotnych zamierzeniach Wilhelma. Nie przedstawia po prostu triumfu Normanów – w kolejnych kadrach dokumentuje jednocześnie ich zwycięstwo i dramat Anglosasów. Może dlatego musiał trafić do Francji?

Ale czy powinien do niej wrócić? Anglicy uważają go za fundament swojej tożsamości narodowej, na równi z dziełami Williama Szekspira i Stonehenge. A Francuzi? Dla wielu tamtejszych historyków Wilhelm Zdobywca nie był Francuzem, tylko Normanem, czyli obcym. Prawie nie pojawia się we francuskich podręcznikach do historii. Ze świecą szukać na francuskich uniwersytetach badaczy, którzy zajmują się normandzkim podbojem Wysp Brytyjskich. A jeden z naszych rozmówców, angielski historyk, w przypływie zachwytu nad Haftem Królowej Matyldy oświadczył nawet, że chętnie oddałby Francuzom Kamień z Rosetty w zamian za te 58 kadrów z przeszłości.

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl 1ad5874e11

Gdy Tybet był mocarstwem

O najlepszych czasach królów i dalajlamów opowiada dr Sam van Schaik, badacz z British Library.



Pałac Potala w Lhasie – dawna zimowa rezydencja Dalajlamy, zarazem najwyżej położony pałac na świecie

KASPER KALINOWSKI: **– W British Library opracowywał pan tysiące manuskryptów z jedwabnego szlaku.**

SAM VAN SCHAIK: – To kolekcja odkryta w jaskiniach w pustynnym mieście Dunhuang, która została zapieczętowana w XI w. i otwarta dopiero na początku XX w. Prawdziwa kapsuła czasu, która całkowicie zmieniła nasze rozumienie Tybetu.

W jaki sposób? Co było tam najciekawszego?

Wcześniej polegaliśmy głównie na historiach spisanych przez autorów buddyjskich. Dunhuang otworzyło przed nami Tybet jako tygiel kulturowy jedwabnego szlaku, pokazało wpływy perskie, chińskie, indyjskie, a także lokalne tradycje miast-państw. Te dokumenty to m.in. zapisy codziennego życia z IX i X w.

Zaskoczyło mnie, że zaczyna pan swoją ostatnią książkę od wkroczenia armii tybetańskiej do stolicy Chin. Tybet nie zawsze był słabszym sąsiadem?

Dziś postrzegamy Tybet jako ofiarę potężniejszego mocarstwa. Jednak w VIII w. imperium tybetańskie obejmowało większość jedwabnego szlaku, część północnych Indii, Nepalu i spore połacie dzisiejszych Chin. Było to jedno z największych imperiów na świecie. Chiny przechodziły wówczas okres słabości i fragmentacji, co Tybetańczycy wykorzystali. W Lhasie do dziś stoi kamienna kolumna z VIII w. upamiętniająca traktat pokojowy, który wyznaczał granice między dwoma równorzędnymi państwami.

Możemy wskazać dokładny moment narodzin państwa? Tybet od początku był jednością?

To trudne zadanie. Idea Tybetu jako jednego organizmu państwowego wykuwała się powoli. Kluczową postacią był król Songcen Gampo w VII w. To on zaczął jednoczyć rozproszone klany, tworzyć sojusze i podbijać sąsiednie terytoria. Panowanie Songcena Gampo można uznać za początek imperium, które przetrwało w stabilnej formie ok. 250 lat – do połowy IX w.

Dlaczego upadło tak szybko?

Niektórzy uważają, że wsparcie dla buddyzmu nadmiernie obciążyło skarb państwa – budowa ogromnej liczby klasztorów mogła doprowadzić do bankructwa. Tradycyjne przekazy mówią o ostatnim cesarzu, który prześladował buddyzm, ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ ale historycy podejrzewają, że system po prostu stał się niewydolny finansowo. Imperium rozpadło się na małe królestwa, w których władza religijna zaczęła zlewać się ze świecką. Liderami politycznymi zostawali lamowie.

Potem pojawili się Mongołowie. Tybet był przez nich okupowany?

Mongołowie pod wodzą Czyngis-chana, a później jego wnuka Kubilaj-chana nie chcieli rządzić Tybetem bezpośrednio. Szukali kogoś, kto reprezentowałby ich interesy. Wybór padł na najbardziej wpływowych lamów ze szkoły Sakja. Sakja Pandita, wielki uczony, przyjął zaproszenie na dwór mongolski prawdopodobnie dlatego, że alternatywą była inwazja armii. Tak narodziła się tradycja, w której mongolski chan pełnił rolę patrona i zapewniał ochronę militarną, a tybetański lama był jego nauczycielem duchowym i zarządcą Tybetu.

W powszechnym mniemaniu przed buddyzmem w Tybecie panowała religia bön. Pan się z tym nie zgadza. Co zatem wyznawali dawni Tybetańczycy?

Wierzyli, że świat jest pełen duchów, demonów i mniejszych bóstw, które zamieszkują każdą część krajobrazu. Szczególną czcią cieszyły się bóstwa górskie, a każdy klan uważał konkretną górę za swojego boskiego przodka. Tybetańscy królowie byli uważani za synów bogów, którzy zstąpili z nieba na ziemię. Według mitu pierwsi władcy byli połączeni z niebem srebrnym sznurem (świetlistą nicią), po którym po śmierci wstępowali z powrotem do niebios, nie pozostawiając na ziemi zwłok. Wierzono, że połączenie to zostało przerwane w wyniku zamachu na ósmego legendarnego króla tsenpo Driguma, co zmusiło Tybetańczyków do budowania okazałych grobowców. Wierzono w duszę nazywaną La, która mogła opuścić ciało, co skutkowało chorobą lub śmiercią. Rytuały miały na celu poprowadzenie błąkającej się duszy.

To, co dziś znamy jako religię bön, wykształciło się później, przejmując tak wiele z buddyzmu, że stało się niemal kolejną jego szkołą. W czasach imperium praktyki kapłanów bönpo przypominały szamanizm. Skupiały się głównie na rytuałach pogrzebowych i przewodzeniu duchom w zaświatach. Kapłani bönpo używali zwierzęcych przewodników – np. składali w ofierze owcę, która miała prowadzić duszę zmarłego. Prawdopodobnie miało to wpływ na późniejszy buddyzm tybetański, w tym na słynną Tybetańską Księgę Umarłych, która również jest przewodnikiem po stanach pośmiertnych.

Jak Tybet stał się państwem buddyjskim?

Silne były wpływy z Indii – to na alfabecie indyjskim oparto pismo tybetańskie. Legenda mówi, że król Songcen Gampo, panujący w VII w., miał żonę z Chin i żonę z Nepalu, a każda z nich przywiozła ze sobą posągi Buddy. Jednak kluczowy był VIII w. i cesarz Trisong Decen, który ogłosił buddyzm religią państwową. To była wyłącznie polityka: cesarz chciał wzmocnić władzę i odsunąć od wpływów potężnych ministrów, którzy wyznawali starą religię i sprzeciwiali się jego rządom.

Dziś Tybet kojarzy się z izolacją. Pan pisze, że było to państwo kosmopolityczne.

Przez wieki Tybet był otwarty na świat. Nawet w XVII w., za czasów V Dalajlamy, w Lhasie działała prężna społeczność muzułmańska i funkcjonował meczet. Na jedwabnym szlaku Tybetańczycy stykali się z chrześcijanami i manichejczykami. Idea „zamkniętego Tybetu" pojawiła się znacznie później jako reakcja na kolonialne naciski, zwłaszcza ze strony Brytyjczyków. Tybetańczycy widzieli, co stało się z Indiami, i nie chcieli podzielić tego losu. Zamknęli granice dopiero wtedy, gdy inni zaczęli próbować ich kolonizować.

A jak wyglądało codzienne życie zwykłego Tybetańczyka jeszcze na początku XX w.? Często wyobrażamy sobie Tybet jako krainę lewitujących mistyków, ale rzeczywistość była chyba bardziej prozaiczna.

Zdecydowanie. Życie chłopów przypominało los europejskich poddanych: praca na roli, hodowla zwierząt i głęboka religijność, ale w bardzo praktycznym wymiarze. Klasztory już od IX w. stały się gigantycznymi przedsiębiorstwami – posiadały ziemię, udzielały pożyczek i funkcjonowały jako sprawnie działające biznesy. To w IX w. za rządów Ralpachena każdemu klasztorowi przydzielono 200 gospodarstw domowych, które miały zapewniać mu żywność. Nazywano je fabrykami zasług. Ludzie płacili mnichom za śpiewy i rytuały, które miały zapewnić im pomyślność lub lepsze odrodzenie. To właśnie te usługi religijne pozwalały klasztorom na taką skalę działania.

Przed stłumieniem buddyzmu i kultury tybetańskiej przez komunistów w połowie XX w. niemal 25 proc. męskiej populacji żyło w klasztorach. Jak to możliwe z punktu widzenia ewolucji czy demografii?

To był fenomen na skalę światową. Dla rodziców oddanie syna do klasztoru oznaczało odciążenie finansowe. Należy jednak pamiętać, że tylko niewielki odsetek mnichów faktycznie medytował czy studiował pisma. Większość wykonywała prace administracyjne i fizyczne w klasztornej „fabryce". I choć ideałem był celibat, mnisi pozostawali ludźmi – dochodziło do łamania reguł czy relacji homoseksualnych, o czym warto wspomnieć, by odbrązowić ten wyidealizowany obraz.

A co z kobietami? Były żeńskie klasztory?

Tak, mniszki działały i działają do dziś, choć ich sytuacja zawsze była trudniejsza. Buddyzm tybetański wyrósł w społeczeństwie patriarchalnym. Po upadku tybetańskiego imperium w IX i X w. mniszki nie mogły otrzymywać takich samych święceń jak mężczyźni. Były też gorzej finansowane. Paradoksalnie jednak sprawiało to, że kobiety wstępujące do zakonu były często bardziej oddane religii niż mężczyźni, bo nie miały z tego żadnych korzyści finansowych.

Skoro klasztory były tak potężne, to musiało dochodzić między nimi do tarć. Czy Tybet zna pojęcie wojen religijnych?

O tak, i to brutalnych. Szkoły buddyjskie rywalizowały o wpływy polityczne i wsparcie Mongołów. Klasztory miały nawet swoje oddziały wojowniczych mnichów zwanych *dob-dob*. Wybuchały wojny domowe, w których stawką było to, która szkoła uzyska dominację w Lhasie. Podczas wojny domowej, która wyniosła do władzy V Dalajlamę, mongolski wódz Guszri-chan brutalnie rozprawił się z przeciwnikami szkoły Gelugpa. Gdy XIII Dalajlama, rządzący od końca XIX w. do lat 30. XX w., wprowadził nowe podatki na armię, mnisi z potężnego monastyru Drepung wszczęli bunt, napadając na rezydencję dalajlamów Norbulingkę, niszcząc ogrody i atakując strażników. Później w wyniku walk o władzę między regentami po śmierci XIII Dalajlamy mnisi z monastyru Sera zbuntowali się przeciwko rządowi. To może dziwić w kontekście religii pokoju, ale Budda sam mówił, że ludźmi kieruje nienawiść i ignorancja – nawet jego wyznawcy nie zawsze byli na nie odporni.

eprasa.pl 1ad5874e11

Dziś dla większości Tybet równa się dalajlama. Ale system reinkarnowanych lamów to stosunkowo późny wynalazek.

Pierwszy Dalajlama pojawił się w XV w., ale system reinkarnacji jako sposób przekazywania władzy narodził się w XIII w. – to unikat na skalę buddyjskiego świata. Szkoła Gelugpa, której przewodzi Dalajlama, zyskała dominację polityczną dopiero w XVII w. dzięki sojuszowi V Dalajlamy z potężnym mongolskim klanem. To Mongołowie pomogli osadzić tę szkołę u władzy.

A dlaczego Tybetowi nie udało się zmodernizować w XIX i XX w.? Podejmowano przecież takie próby.

Głównie z powodu konserwatyzmu wielkich klasztorów szkoły Gelugpa. Opierały się one jakiejkolwiek edukacji spoza ich murów, bo to one miały monopol na nauczanie. Ten brak modernizacji był jednym z czynników, które doprowadziły do katastrofy w XX w. Tybetańczycy zbyt długo wierzyli, że stare metody i poleganie na mongolskim wsparciu militarnym będą działać wiecznie.

Dochodzimy do najtrudniejszego momentu: inwazji Chin. Czy Tybet był kiedykolwiek częścią Chin w sensie historycznym? Pekin bardzo mocno forsuje tę tezę.

Musimy rozróżnić imperia od państw narodowych. W przeszłości granice były płynne. Chińscy cesarze z dynastii Qing rościli sobie prawo do kontroli nad Tybetem, wysyłając tam swoich przedstawicieli, *ambanów*, ale w rzeczywistości nie mieli oni żadnej realnej władzy. Była to pewna użyteczna fikcja – cesarz mógł mówić, że włada Tybetem, a Tybetańczycy i tak robili, co chcieli. Dopiero w XX w., gdy narodziły się państwa narodowe z twardymi granicami, Chiny poczuły potrzebę realnego przejęcia Tybetu, by zabezpieczyć się przed wpływami brytyjskimi w Indiach.

XIII Dalajlama próbował ratować niepodległość Tybetu.

Tak, ogłosił niepodległość i pisał do Ligi Narodów, ale nikt nie chciał zareagować. Brytyjczycy, gdy ich imperium zaczęło się rozpadać, po prostu opuścili region, zostawiając Tybet bez sojuszników. Kiedy do władzy doszli komuniści w latach 50., postawili Tybetańczyków pod ścianą: albo podpiszecie porozumienie o „powrocie do macierzy", albo wkroczy Armia Ludowo-Wyzwoleńcza. Użyli brutalnej metafory: „nieważne, czy jajko uderzy w kamień, czy kamień w jajko – to jajko zostanie zmiażdżone".



Dr **Sam van Schaik** jest tybetologiem, kierownikiem programu Endangered Archives Programme (EAP) w British Library. Jego badania koncentrują się na historii Tybetu, tradycji kontemplacyjnej Wielkiej Doskonałości (Dzogczen) oraz rozwoju pisma i piśmiennictwa tybetańskiego. Opublikował również prace dotyczące buddyzmu zen. Jest autorem książek „Tybet. Historia" i „Buddhist Magic: Divination, Healing, and Enchantment through the Ages".

Początki okupacji za Mao Zedonga nie były jednak aż tak krwawe.

Mao początkowo wierzył, że Tybet to przypadek szczególny i reforma powinna być powolna. Jednak komuniści zaczęli wprowadzać drastyczne zmiany w regionach Amdo i Kham, które nie należały do oficjalnego „Autonomicznego Regionu Tybetu", ale były rdzennie tybetańskie. To tam wybuchły protesty, które rozlały się na cały kraj. Kiedy XIV Dalajlama uciekł w 1959 r., Mao porzucił delikatność i zaczął krwawo tłumić opór.

W 1966 r. zaczęła się w Chinach rewolucja kulturalna. Pisarz Pema Bhum opisywał okrucieństwo tamtych czasów.

To był koszmar. Chciano wymazać wszystko co tybetańskie. Klasztory były niszczone już wcześniej, ale rewolucja kulturalna była próbą całkowitego unicestwienia tożsamości narodu. Wszystko, co Tybetańczycy uważali za swoją kulturę, miało zostać starte z powierzchni ziemi.

Kultura została wówczas nieodwracalnie zniszczona?

Zniszczono wiele bezcennych, wielowiekowych zabytków, np. Świątynię Dżokhang w Lhasie. Bezcenne księgi wyniesiono na dziedziniec i spalono, a starożytny posąg Dżowo – sprowadzony do Tybetu jeszcze w VII w. za czasów króla Songcena Gampo – został rozbity. Masowo niszczono stupy, posągi, obrazy religijne oraz flagi modlitewne. Z klasztorów rabowano cenne przedmioty wykonane z metali szlachetnych i kamieni, a resztę dewastowano. Jednak charakterystyczna kultura Tybetu z pewnością nie została zniszczona. Tybetańczycy zarówno w Chinach, jak i poza nimi podejmują wiele inicjatyw mających na celu jej zachowanie.

W tamtym czasie wizerunek Mao pojawiał się na ołtarzach, a XIV Dalajlama określał siebie jako „w połowie marksistę, w połowie buddystę". Jaki nastrój panował wśród Tybetańczyków po chińskiej inwazji?

XIV Dalajlama, główni opaci szkoły Gelugpa, a także arystokracja z Lhasy wykazywali chęć wykorzystania nowej sytuacji. A ponieważ Mao początkowo wprowadzał zmiany w Tybetańskim Regionie Autonomicznym powoli, wydawało się to możliwe. Ponadto XIV Dalajlama sympatyzował z egalitarnym etosem marksizmu, porównując go do współczucia charakterystycznego dla buddyzmu mahajany. Jednak napięcia w regionach tybetańskich poza Tybetańskim Regionem Autonomicznym (Kham czy Amdo) spowodowane represjami wobec mnichów i klasztorów oznaczały, że ta sytuacja nie mogła utrzymać się zbyt długo.

A jak sytuacja wygląda dziś? Czy tybetańska tożsamość ma szansę przetrwać?

Obserwujemy postępującą erozję języka tybetańskiego. W szkołach staje się on przedmiotem do wyboru, podręczniki są po chińsku, a egzaminy na studia można zdawać tylko w tym języku. To odcina młode pokolenia od własnej kultury. Z drugiej strony Tybetańczycy wykazują niesamowitą determinację. Walczą o swój język w mediach społecznościowych, publikują książki, starają się podtrzymać iskrę własnej odrębności. To ciągła walka o przetrwanie przeciwko potężnej machinie państwowej.

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

© DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 1ad5874e11



serial

Zaskakująca zabawa 5/6

Lalka, reż. Paweł Maślona, 6 odc., Netflix, od 16 września

Pierwsza z dwóch nowych ekranizacji powieści Bolesława Prusa właśnie trafia pod nasz osąd. Netflix od dłuższego czasu grał emocjami widzów, z jednej strony obsadzając jako Wokulskiego **Tomasza Schuchardta**, aktora, który wydaje się do tej roli stworzony, z drugiej zaś – podkreślając luźne podejście twórców do oryginału, czego zwieńczeniem była seria plakatów z hasłami typu: „Skąd się biorą daddy issues?" (na fotosie z Jackiem Braciakiem w roli Tomasza Łęckiego) czy „Klasyczny toy boy" (przy Kazimierzu Starskim w wykonaniu Piotra Packa). W sieci zawrzało, temperatura wokół serialu wzrosła, a jak jest na ekranie? „Lalka" ze scenariuszem Pawła Demirskiego, Jagody Dutkiewicz i reżysera serialu Pawła Maślony przedstawia główne wątki i tematy powieści, jednocześnie rozwijając i pogłębiając bohaterów, czyniąc ich motywacje, emocje i język (tak, są przekleństwa) współcześnie zrozumiałymi i przejmującymi. Świat „Lalki" pozostaje XIX-wieczny w bogatym kostiumie, rekwizytach, imponującej scenografii, a historia obsesji Wokulskiego, walki jego, a także – tu istotna zmiana względem powieści – Izabeli o przekroczenie ram swojej klasy społecznej oraz możliwość samorealizacji ze strażnikami status quo, staje się jeszcze bardziej aktualna. W serialu interesujące i nieoczywiste motywacje otrzymuje Izabela Łęcka, wyrastająca na główną bohaterkę, a **Sandra Drzymalska** w tej roli po raz kolejny udowadnia, że jest aktorką o nieograniczonych możliwościach. Ale wspaniale rozbudowany jest też wątek ojca Izabeli, zaskakuje (pozytywnie!) sposób poprowadzenia postaci Rzeckiego (Dariusz Chojnacki), tu równolatka Wokulskiego, i to, jak przekonująco, w stylu kina gatunkowego rozwinięto w wybitnie czarne charaktery: barona Krzeszowskiego (świetny Piotr Adamczyk), Starskiego i – nieoczekiwanie, ale sensownie – prezesową Zasławską (Małgorzata Hajewska-Krzysztofik). Serial płynnie zmienia konwencje, do kina obyczajowego dodaje elementy kryminału, thrillera, a nawet *heist movie*, a oglądając dwa ostatnie odcinki, nawet widz dobrze znający oryginał złapie się na myśli, że nie ma pojęcia, jak to się skończy. I świetnie.

ANETA KYZIOŁ

galeria

Bez debitu 4/6

Kseruj i rozdawaj! Ziny i prasa niezależna w dobie transformacji, Muzeum Karykatury w Warszawie, wystawa czynna do 15 listopada

Fenomen zinów, czyli ukazujących się poza oficjalnym obiegiem gazetek produkowanych metodą kserograficzną albo sitodrukową, kojarzy się zwykle ze światem subkultur, a w Polsce z latami 80., eksplozją punk rocka i początkami rodzimego neoanarchizmu. Nie wczytując się dokładnie w tytuł omawianej wystawy, odwiedzający ją, którzy jakąś wiedzę o zinach mają, mogą odnieść wrażenie ewidentnej nadreprezentacji druków powstałych w latach 90. i potem, nawet całkiem współcześnie. Akurat „w dobie transformacji" odpadł jeden z atrybutów charakteryzujący polski zin jako taki: opór przed instytucjonalną, policyjno-cenzorską kontrolą. Mimo to wystawa pokazuje rzeczy ciekawe. Np. olbrzymią rozmaitość zinów skinheadzkich, antysemickich, rasistowskich, faszystowskich („Szczerbiec", „Biały Grom", „Żywioł", „Skinhead Sarmata" – to tylko te najbardziej znane). Oglądając to, mniej się dziwimy, skąd w dzisiejszej Polsce takie poparcie dla Grzegorza Brauna i tak duże pokłady ksenofobii. Pojawił się też 1. numer „Wichrzyciela" z 1988 r. współredagowany przez... Mateusza Morawieckiego. Przeciwwagą są gazetki anarchistyczne („Mać Pariadka", „A Capella"), także te z lat 80. Ekspozycję otwierają egzemplarze pierwszego na świecie art-zina, czyli „Notatnika Robotnika Sztuki" z 1972 r., tworzonego przez Gerharda Blum-Kwiatkowskiego, założyciela elbląskiej Galerii El. W sumie dużo ciekawostek, sporo zaskoczeń.

MIROSŁAW PĘCZAK



eprasa.pl 1ad5874e11

film

Nowy obcy 4/6

Obcy (L'étranger), reż. François Ozon, prod. Francja, 120 min, w kinach od 18 września



Po ukazaniu się „Obcego" Alberta Camusa w 1942 r. książka natychmiast została odebrana jako metafora bezcelowości świata i życia. Niebudzący sympatii bohater, urzędnik Meursault, pierwowzór człowieka autentycznego, wolnego od konwenansów, nieudający tego, czego nie czuje, nieumiejący oszukiwać siebie i innych, padał ofiarą absurdalnych mechanizmów społecznych. Dostrzeżenie w jego zachowaniu tragicznych cech mężczennika buntującego się przeciwko wspólnocie wymuszającej przestrzeganie określonych norm było swego rodzaju oczywistością. Tylko nieliczni gdzieś na dnie egzystencjalnego pesymizmu widzieli w nim bezdusznego egoistę ulegającego spontanicznym zachciankom czy przebłysk faszyzmu. François Ozon w pozornie wiernej ekranizacji „Obcego" dokonał znaczącego przesunięcia, kładąc akcent na strukturalną asymetrię relacji między Meursaultem (**Benjamin Voisin**), jego francuskimi znajomymi a społecznością arabską. Dzięki temu łatwiej zauważyć, że bohater funkcjonuje wewnątrz kolonialnego aparatu dominacji, w którym morderstwo i ofiara nie posiadają żadnej podmiotowości. Antyrasistowskie ostrze filmu Ozona współgra ze współczesnymi obserwacjami, prowadząc do wniosku, że wyobcowanie Meursaulta dotyczy jedynie wartości mieszczańskich, podczas gdy wobec rdzennej ludności w Algierii przyjmuje formę opresji.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Sztuka jako terapia 4/6

Powiedz mi, co czujesz, reż. Łukasz Ronduda, prod. Polska, w kinach od 18 września



Za główną inspirację dla nowego filmu Łukasza Rondudy o niemożliwej, opartej na fałszywych wyobrażeniach relacji dwojga artystów z pokolenia Z, posłużyła osobista, wręcz konfesyjna twórczość Patryka Różyckiego (dwukrotnie nominowanego do Paszportów POLITYKI w kategorii sztuki wizualne). Eksplorując momenty błahe, banalne czy zupełnie powszednie oraz takie tematy jak klasowość, szczerość, bliskość, Różycki w znacznym stopniu zrównuje swoją działalność z procesem autoterapii. Dla jednych to przykład odwagi, psychologicznego odsłonięcia, dla innych – dowód pretensjonalności i braku należytego dystansu pozwalającego przyjrzeć się własnemu życiu z odpowiedniej perspektywy. Ronduda wpisuje dylematy Różyckiego w szerszy kontekst. Pyta, jakie emocje stoją za obsesją bycia artystą i na czym polegają autentyczność, partnerstwo w związku z dziewczyną równie zapatrzoną w siebie i przepracowującą różne problemy także za pomocą performansu. Ten wątek nawiązuje z kolei do malarstwa i pudełkowych konstrukcji Karoliny Balcer oraz projektu Alicji Rogalskiej i Łukasza Surowca „Skup łez". Tworzy to osobliwy portret zagubienia bardzo młodych ludzi, wyznających kult indywidualizmu, z drugiej strony – wiarę w kulturę terapeutyczną i równość. To może drażnić, nie powinno jednak przekreślać zaangażowania grającego filmową parę aktorskiego duetu: **Jana Sałasińskiego** i **Izabelli Dudziak**. JW

galeria

Namiastka 3/6

Adolph Menzel (1815–1905). Niestrudzony obserwator, Muzeum Narodowe w Warszawie, wystawa do 13 grudnia

Czemu Niemcy robią wokół tego artysty takie wielkie „halo", hojnie obdarzając tytułem jednego z najwybitniejszych w XIX w.? Takie pytanie może nam przyjść do głowy podczas zwiedzania tej wystawy. Odpowiedź prosta acz złośliwa powinna brzmieć: bo nie mieli wówczas lepszych. Ale prawda jest bardziej skomplikowana. Menzel zasłużył się sztuce, odważnie i umiejętnie wprowadzając do malarstwa pejzażowego naturalne światło, doskonale budujące nastrój i organizujące przestrzeń. Poza tym zapamiętany został jako niezrównany dokumentalista życia klasy robotniczej, a jego pełne dynamizmu sceny z hut, fabryk, placów budów do dziś robią wrażenie. I tego byśmy oczekiwali, widząc na gmachu Muzeum Narodowego wielki baner z jego nazwiskiem. A co otrzymujemy? Teoretycznie wielkie bogactwo prac, bo zgromadzono ich na wystawie ok. 160. Niestety, w zdecydowanej większości są to kameralne, monochromatyczne rysunki i grafiki. Niewykluczone, że wyrafinowanego miłośnika sztuki czy studenta ASP pociągające swoimi walorami: wyśmienitym warsztatem, mnogością tematów, darem podpatrywania otaczającego świata i życia we wszystkich jego przejawach. Jednak olejne obrazy można policzyć na palcach jednej ręki, a takie, które by dawały wyraz wspomnianym walorom jego sztuki, są chyba tylko dwa. Niestety, w wypadku instytucji o takiej randze nie ma zastosowania popularna zasada: „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma".

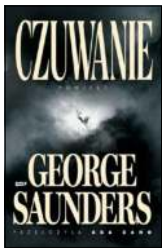
PIOTR SARZYŃSKI



Adolph Menzel, Posąg fauna w Marmorbad w Kassel, 1866 r.

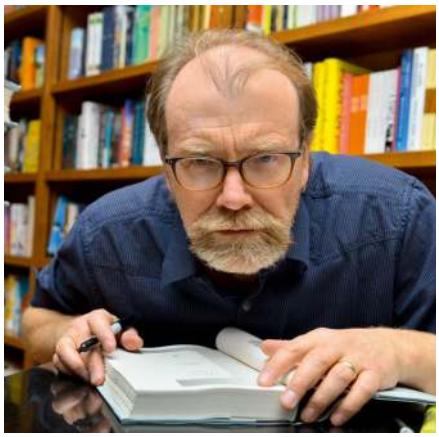
© ROBERT PAŁKA, MATERIAŁY PRASOWE, JULIA PIETRZAK-SZCZUDŁO/MUZEUM KARYKATURY IM. ERYKA LIPIŃSKIEGO, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl 1ad5874e11



Towarzysze umierania 4/6

George Saunders, **Czuwanie**, przeł. Aga Zano, Wydawnictwo Znak, Kraków 2026, s. 290



Nowa powieść George'a Saundersa wymaga cierpliwości, bo zajmuje trochę czasu wyobrażenie sobie tej rzeczywistości zaludnionej przez duchy zmarłych. Mówi do nas Jill, która towarzyszy w śmierci potentatowi naftowemu winnemu niszczenia planety. Jill ma nieść ukojenie, a cała sceneria przypomina „Opowieść wigilijną" Dickensa, w której do grzeszników przychodzą ich ofiary. W szczegółach jest jednak inaczej. Nie ma tu skruchy, nad życiem króluje nieuniknione następstwo rzeczy, którego właściwie nie da się osądzić, bo: „Życie bez żadnego powodu wali na oślep wielką pięścią w tę czy tamtą twarz". Z pewnej perspektywy nie ma podziału na katów i ofiary, to może być trudne do pojęcia. I też do opisania, bo ta powieść nie ma takiej siły jak „Lincoln w Bardo". Mocniej niż wątek potentata brzmi tutaj historia Jill, która na grobie miała napisane: „Żona", żyła krótko, zginęła zabita przez przypadek, a po jej śmierci mąż ułożył sobie życie. I nie było wyrównania krzywd ani kary. Jej morderca żył sobie spokojnie. Są w tej powieści momenty piękne: wizja błąkających się „biednych miejscowych zmarłych", którzy nie mogą pożegnać się z ziemią. I wreszcie piękne jest samo życie – jakie to wspaniałe być sobą, mieć te ziemskie sprawy i uczucia. Jill tęskni za byciem Jill. To, co najciekawsze w tej powieści, jest związane z paradoksami i nieoczywistością, a to, co może być wykładnią wizji świata, brzmi mniej przekonująco. Ale warto posłuchać tych duchów.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

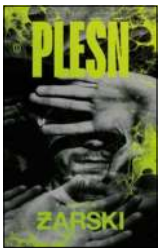


Co za rodzina 3/6

Katarzyna Wolwowicz, **Śladami utraconego życia**, Wydawnictwo Zwierciadło, Warszawa 2026, s. 300

Katarzyna Wolwowicz tworzy równolegle kilka cykli; najpopularniejszy jest ten o komisarz Oldze Balickiej. Nowa pozycja jest trzecią częścią serii o Rupercie Ogrodniku i jest bardziej thrillerem psychologicznym niż kryminałem. Bohater, jako sierota, został wychowany przez dziadka w Szklarskiej Porębie. Poza nimi wszyscy członkowie rodziny odbiegają od normy. W pierwszej części ginie druga żona Ruperta, która żyła pod fałszywą tożsamością (jak w takim razie wzięli ślub?). W drugiej Rupert dowiaduje się, że jego rodzice nie zginęli w wypadku, lecz zostali zamordowani, a jego córka z pierwszego małżeństwa okazuje się psychopatką. W trzeciej jest on już w nowym związku i cieszy się z odzyskania rodzeństwa – bliźniąt Alicji i Piotra, prowadzących w Los Angeles klinikę chirurgii plastycznej, którzy przyjechali z wizytą do nieznanego brata. Razem jadą do Sandomierza, by przeżyć wspólnie... wystąpić jako statyści w kolejnym odcinku „Ojca Mateusza". Długo beztrosko nie będzie: zaginie 12-letnia dziewczynka, a rodzeństwo będzie podejrzane – już po raz kolejny się okazuje, że rodzina Ogrodników jest skażona złem. Gdy zawiedziony biegiem wypadków Rupert zaszywa się z ukochaną z powrotem w domu, dostaje kolejną upiorną wiadomość – to podprowadzenie pod następną część. Mało to wszystko przekonujące, ale miłośnicy napięcia mają swoją dawkę.

DOROTA SZWARCMAN



Zgłębić Zagłębie 4/6

Przemysław Żarski, **Pleśń**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, s. 360

Bolesne wspomnienia są jak tytułowa pleśń, oblepiają, trudno je usunąć, może w ogóle się nie da. W książkach Przemysława Żarskiego (laureat Kryminalnej Piły za „Bliznę", twórca serii z komisarzem Robertem Kreftem w roli głównej) zwykle dotyczy to i policjantów, i pokrzywdzonych. Śledczych chyba w szczególności, bo to im towarzyszy wiecznie paradoks wykonywania zawodu, który jeszcze rozdrapuje rany. Laura Halber, bohaterka cyklu, nazbierała tych traum najwięcej. Przeżywa śmierć brata, który lata wcześniej wyratował ją z opresji, straciła matkę i przyjaciółkę, a od ojca dowiaduje się o innych pielęgnowanych w rodzinie sekretach. Dziś trudno jej nawiązać bliskie relacje (z kobietami – miła odmiana). A praca raczej tego nie ułatwia. Halber bada sprawę porwań i zabójstw młodych chłopaków, ale podejrzany po latach w więzieniu odebrał sobie życie, a świadkowie mataczą i zmieniają wersje zdarzeń. Jeden z nastolatków przepadł na obozie i wciąż jest uznawany za zaginionego. Odnalezione kości to nowe dowody, ale pytania tylko się mnożą. Przemysław Żarski obraca się w dwóch planach czasowych, w kolejnej książce wraca do lat 90. i Zagłębia, Sosnowca oraz okolic. Społeczny koloryt jest tu najciekawszy, dobrze została odmalowana obyczajowość czasów przełomu, gdy starsi zrzucali milicyjne mundury, a młodsi tworzyli nowe subkultury, a język przemocy był rozumiany i uchodził. Relacje między dziećmi i rodzicami są tu szorstkie i oparte na niedopowiedzeniach. Polszczyzna bohaterów nie pasuje wprawdzie czasem do ich habitusu, a kwestie psychologiczne wymagałyby pogłębienia. Paradoks polega na tym, że Żarski nadal umie wciągnąć i zaskoczyć.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© MATERIAŁY PRASOWE (8), JOHNNY LOUIS/FILMMAGIC/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1ad5874e11

Muzyka i znaki

69. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej Warszawska Jesień, Warszawa, 18–26 września



Ten festiwal nie przechwala się wykonawcami, tylko tworzy ruch kulturowy – zaznacza dyrektor Warszawskiej Jesieni Jerzy Kornowicz. Fakt, nie liczą się tu tylko koncerty nurtu głównego, ale też to, co między nimi: Warszawska Jesień Klubowo, Mała Warszawska Jesień czy pasmo międzyfestiwalowe (spotkania i imprezy towarzyszące). Znaki to tegoroczny temat przewodni, jak zawsze wieloznaczny. Może to być gest improwizującego dyrygenta (Krzysztof Knittel) czy znak graficzny dający różne dopuszczalne interpretacje (Sławomir Wojciechowski reinterpretujący „Symfonię elektroniczną" Bogusława Schaeffera). Można się tu będzie spotkać ze słuchowiskiem performatywnym (Tadeusz Wielecki) i z „Oprą – post-operą" (Trond Reinholdtsen). Będzie wiele nowych form spotkania z muzyką. Usłyszymy 96 dzieł, w tym 25 prawykonań i 40 pierwszych wykonań w Polsce (plus 20 na Małej Warszawskiej Jesieni). A wykonawcy będą znakomici: Filharmonia Narodowa, NOSPR, Orkiestra Muzyki Nowej, European Workshop for Contemporary Music, Hashtag Ensemble, Kompopolex, Spółdzielnia Muzyczna, proMODERN, estoński Ensemble for New Music Tallinn, kanadyjski No Hay Banda czy duński Scenatet. DS

Szczegóły: **warszawska-jesien.art.pl**

Z platformy w świat

Polska Platforma Tańca 2026, Wrocław, 17–20 września



To już dziewiąta edycja największej imprezy integrującej rodzime i międzynarodowe środowisko tańca, organizowanej przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca za każdym razem w innym mieście (tym razem partnerem jest Wrocław reprezentowany przez Instytut im. Jerzego Grotowskiego). Międzynarodowe jury wybrało dziewięć polskich choreografii, którym towarzyszą wydarzenia specjalne, w tym pokaz nowego spektaklu dwojga tancerzy legendarnego Tanztheater Wuppertal Piny Bausch, a także warsztaty i spotkania branżowe (m.in. spacer choreograficzny czy bitwa taneczna). W głównym programie obejrzymy laureata Paszportu POLITYKI Wojciecha Grudzińskiego w jego najgłośniejszym solo „Threesome/Trzy" (Fundacja 910113) i „Kocham balet" w chor. nominowanej do Paszportu Ramony Nagabczyńskiej (Komuna Warszawa). A także dwie inne produkcje Komuny: **„Glory Game"** w chor. Dominika Więcka i „Rapeflower" w chor. Hany Umedy. A do tego: „To bitch or not to bitch" grupy Hertz Haus (Stowarzyszenie Córy Kultury), autorskie „The Spell" Marty Kosieradzkiej i Marty-Luizy Jankowskiej czy „Rooms by the Sea. Ćwiczenia w słuchaniu" w chor. Joanny Leśnierowskiej (Krakowskie Centrum Choreograficzne – Nowohuckie Centrum Kultury, Joanna Leśnierowska SFX), „who cares" w chor. Agnieszki Brzezińskiej oraz „WoW" w chor. Marty Wołowiec (Przestrzenie Sztuki Taniec 2023, Wrocławski Teatr Pantomimy). AK

Szczegóły: **polskaplatformatanca.pl**

nie przegap



Pustki, Do Mi No, Polskie Radio

Niby tylko 20 lat, ale już historia. Dzięki tej reedycji przełomowa, trzecia płyta zespołu Pustki pierwszy raz trafiła do serwisów cyfrowych i na winyl. Owszem, przyjdą jeszcze większe komercyjne sukcesy niż „Słabość chwilowa" czy „Ty w górę, ja w dół", a później – po rozwiązaniu składu – Radek Łukasiewicz i **Barbara Wrońska** potwierdzą talent we współpracy z innymi, ale warto do „Do Mi No" wrócić. Choćby dla balansu między garażową świeżością a profesjonalnym spojrzeniem na pisanie piosenek. BCH



19. edycja Warsaw Gallery Weekend, 18–20 września

Impreza teoretycznie trwa tylko przez weekend, ale większość wystaw pozostanie otwarta także przez kolejne tygodnie. Ta edycja warszawskiego przeglądu jest wyjątkowo bogata w wydarzenia, a ponad 60 galerii zaprezentuje dzieła ok. 130 twórców, w tym wielu klasyków polskiej sztuki. Kluczy do zwiedzania jest mnóstwo. Ja proponuję poszukać na wystawach laureatek i laureatów Paszportów POLITYKI (a jest ich dziewiątka) i przyjrzeć się, jak sobie teraz radzą. P.SA.



Kulawe konie 6, twórczyni serii: Gaby Chiappe, 6 odc., Apple TV

Podstawą nowego sezonu są dwie powieści Micka Herrona – „Joe Country" oraz „Slough House" – i serialowe wyrzutki z MI5 tym razem też muszą się mierzyć z dwoma problemami. W dodatku egzystencjalnymi, bo ktoś na nich poluje, a firma matka usunęła ich ze swoich rejestrów. Seria jak zwykle stara się trzymać balans między wątkami komicznymi (Gary Oldman jako Jackson Lamb) i dramatycznymi, które gwarantuje Jack Lowden. W roli Rivera Cartwrighta jest tak dobry, że bukmacherzy zobaczyli w nim nowego 007. AK

eprasa.pl 1ad5874e11

Uniwersum Prusa

Literatura jest dla nas, a nie my dla niej, nie jesteśmy po to, żeby próbować rozszyfrować, co autor miał na myśli. A ekranizacja to nie wideo do książki – przekonuje Paweł Maślona, reżyser serialu Netflixa „Lalka".



Sandra Drzymalska i Tomasz Schuchardt. Serialowa Łęcka jest nie tylko przedmiotem fascynacji Wokulskiego, ale też prawdziwie podmiotową bohaterką.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Bardzo się bałeś, kręcąc ten serial?**

PAWEŁ MAŚLONA: – Wiedziałem, że możemy wzbudzić skrajne emocje. Każdy projekt, w który wchodzę, jest obarczony pewnym ryzykiem, ale bez niego nie byłoby funu.

Na czym polegało ryzyko?

Zdawałem sobie sprawę, że robimy coś bardzo odważnego, wręcz radykalnego. W związku z tym widzowie przywiązani do kina lekturowego mogą się poczuć trochę rozczarowani, bo nie dostaną tego, na co czekali. Ale takie było założenie, a ryzyko polegało na tym, aby na motywach powieści Prusa dowieźć nową i dość skomplikowaną historię, nie tracąc z oczu melodramatu. Dla mnie to jest część niepisanej umowy z widzem – niezależnie od tego, kto ile pamięta z „Lalki", każdy wie, że to historia obsesyjnej miłości, to jest silnik tej opowieści. U nas jest tak samo.

Mimo to ingerencje w oryginał powieści Bolesława Prusa są zaskakująco głębokie.

Śmiały punkt wyjścia został ustalony na samym starcie przez Pawła Demirskiego i Jagodę Dutkiewicz, którzy przygotowali pierwszą wersję scenariusza. Paweł ma już doświadczenie w dekonstrukcji klasyki na potrzeby teatru, w którym twórcy od dawna pozwalają sobie na dużą swobodę w adaptowaniu kanonicznych utworów. Przez jakiś czas sprawdzaliśmy różne kierunki, zastanawiając się, co najbardziej z nami rezonuje. Mnie dosyć szybko zaczęła pociągać opowieść o tym, jak ludzie żyją projekcjami na temat świata, siebie i innych – i jaką muszą zapłacić cenę za porzucenie tych wyobrażeń. Żeby zacząć proces prawdziwego dojrzewania, najpierw musimy uwolnić się od iluzji.

Widzimy to na przykładzie relacji Łęckiej i Wokulskiego.

Zależało nam na tym, żeby dać Łęckiej dodatkową motywację, której nie ma w powieści Prusa. Nasza Łęcka – tak jak Wokulski – również zabiega o akceptację innych, ale nie arystokracji, tylko części warszawskiej inteligencji skupionej wokół Elizy Orzeszkowej i sufrażystek pracujących w redakcji „Bluszczu". Chce być kimś więcej niż tylko kwiatkiem do kożucha, czyli żoną swojego męża – bo tylko taką rolę dla niej przewidziano. W naszym serialu Łęcka i Wokulski to w pewnym sensie lustrzane odbicia – oboje chcą być kimś więcej i oboje próbują wykorzystać siebie nawzajem do osiągnięcia tego celu. Nie rozumieją jednak, że prawdziwego uznania, tak jak miłości, nie da się kupić. Zaślepienie ostatecznie prowadzi ich oboje do katastrofy – co z niej jednak wyniknie, to już osobna sprawa.

To dość rewolucyjna wizja.

Wychodzę z założenia, że literatura jest dla nas, a nie my dla niej, to znaczy nie jesteśmy po to, żeby próbować rozszyfrować, co autor powieści miał na myśli. Zupełnie szczerze: mnie nie obchodzi za bardzo, co Prus chciał swoją „Lalką" powiedzieć, to jest rola literaturoznawców, a nie moja. Dla mnie ważne jest to, co chcę za pomocą tej powieści wyrazić. I tylko za to mogę – i chcę – brać odpowiedzialność.

Myślę o tym tak, jak Amerykanie podchodzą np. do uniwersum Batmana. Co chwila pojawia się nowa reinterpretacja, która na nowo opowiada nam ten sam świat, zmieniając historię, a także tożsamość i motywacje bohaterów. Na gruncie jednego uniwersum powstają zupełnie różne opowieści.

„Lalka" to nie popkultura. Filmowcom wolno wszystko zmieniać? Nie ma granic?

Są. Ale pewnie dla każdego one są gdzie indziej. Nie odważyłbym się wyrzucić głównego rdzenia „Lalki", czyli obsesyjnej miłości. Trudno też sobie wyobrazić „Lalkę" bez Rzeckiego. Ale nie mam problemu z wprowadzaniem innych daleko idących modyfikacji. Na przykład postać prezesowej Zasławskiej jest u nas konglomeratem kilku arystokratek i chyba najmniej jest w niej samej Zasławskiej z powieści Prusa. Tam była sojuszniczką Stanisława, miała romans z jego stryjem. W serialu jest jedną z naszych głównych antagonistek.

Jednak w przypadku „Lalki" – tak jak i sfilmowanej „Odysei" Nolana – te odstępstwa budzą silny opór. Z czego to wynika?

Część widzów wyobraża sobie, że ekranizacje są po to, żeby zrobić wideo do książki. To, co przeczytali, chcieliby zobaczyć na ekranie. Ale to niemożliwe, bo posługujemy się radykalnie odmiennym medium, które rządzi się zupełnie innymi prawami. Język filmu i literatury to dwa zupełnie różne światy. Nie ma czegoś takiego jak naprawdę wierna ekranizacja. „Lalka" ma tysiąc stron. Nie da się tego przełożyć na dwuipółgodzinny film. Nawet w serialu trzeba dokonać potężnej selekcji i zdecydować, które wątki będą stanowić trzon. Wbrew pozorom nawet adaptacja Hasa nie jest szczególnie wierna oryginałowi.

Jest bardzo mizoginistyczna. Grana przez Beatę Tyszkiewicz Łęcka to wyniosła, okrutna modliszka pożerająca mężczyzn.

Z pierwszej lektury jeszcze w liceum wyniosłem przekonanie, że Wokulski był szlachetnym przedsiębiorcą, idealistą, którego największym grzechem było to, że źle zainwestował swoje uczucia. Ona – zimną damą, która nie potrafi wyjść poza klasowe uwarunkowania i dojrzeć do prawdziwej miłości. Chcieliśmy pójść w innym kierunku. Dać większą podmiotowość Łęckiej, żeby nie była tylko bierną figurą, wyłącznie reaktywną wobec starającego się o jej względy mężczyzny. Nasza Łęcka jest więc nie tylko przedmiotem fascynacji Wokulskiego, ale też prawdziwie podmiotową bohaterką, która na przestrzeni sześciu odcinków przechodzi zaskakującą przemianę.

Naprawdę nie obawiałeś się, że spadną za to na ciebie gromy?

Nie. Ważna jest uczciwość intencji, a moje takie są. I choć nasza „Lalka" jest wariacją na temat powieści Prusa, to jest wciąż „Lalka". Uniwersum Prusa nie jest dla nas pustą dekoracją. My wchodzimy z nim w twórczy dialog, dzięki czemu mamy szansę na poszerzenie pola walki, czyli na stworzenie szerszego kontekstu znaczeniowego dla historii, którą wszyscy znamy. Dzięki temu łatwiej nam dostrzec w Łęckiej współczesną kobietę.

Zamiast kompromitować skompromitowaną arystokrację.

Zawsze jest przyjemnie się pośmiać z arystokracji. Ale zupełnie serio, dla mnie najważniejsza jest dzisiejsza perspektywa. Sprawdzenie, co w powieści Prusa jest aktualne, a co już niekoniecznie. Dziś, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, żyjemy w świecie nieustannych fantazji, projekcji. Zakochujemy się w iluzjach, które w dobie mediów społecznościowych zyskują tylko na sile.

Podziały klasowe opisane przez Prusa się nie zdezaktualizowały?

Dotyczą nas coraz bardziej. Świat stoi na progu kolejnego wielkiego rozwarstwienia za sprawą AI, utraty miejsc pracy. To się będzie tylko pogłębiać. Współczesną arystokracją są najbogatsi. A czy obecna warstwa uprzywilejowana jest równie zepsuta? Mam coraz częściej poczucie, że nie wyciągamy żadnych wniosków z lekcji historii. Powtarzamy te same schematy, niestety.

Geopolityczny kontekst z dzisiejszego punktu widzenia także wymaga komentarza. Wokulski doskonale wie, kto jest wrogiem Polski, ale handluje z Rosjanami. Według ciebie nie jest kolaborantem, zdrajcą? ▶

© ROBERT PAŁKA

eprasa.pl 1ad5874e11



Paweł Maślona
(ur. 1983 r.) – reżyser i scenarzysta. Nominowany do Paszportu POLITYKI za pełnometrażowy debiut fabularny „Atak paniki", nagrodę otrzymał jednak dopiero za historyczny film „Kos" o powracającym z Ameryki Tadeuszu Kościuszce próbującym wzniecić powstanie (uhonorowany też Złotymi Lwami w Gdyni). Doświadczenie zdobywał jako asystent Marcina Wrony, razem z Mikołajem Lizutem współreżyserował również serial „Pisarze". Serial „Lalka", który stworzył z Jagodą Dutkiewicz i Pawłem Demirskim, wchodzi na platformę Netflix 16 września.

▶ Unikałbym łatwych etykiet, tym bardziej w odniesieniu do sytuacji z XIX w. Nie wiem, jak to jest żyć pod zaborami. I nie mówię tego, żeby go bronić. Nasz Wokulski wielokrotnie zachowuje się niemoralnie. Sam Tomek Schuchardt najlepiej go raz opisał, mówiąc, że jego Wokulski składa się z wielu wad i kilku zalet. Na przestrzeni naszego serialu on też jednak przechodzi pewną drogę, dojrzewa.

„Nie byłam chowana do pieniędzy" – mówi Łęcka w jednej scenie. Myślisz, że współczesna młodzież będzie się utożsamiać z takim wyznaniem?

Przyznając, że nie była wychowana do pieniędzy, mówi tak naprawdę, że nie chce się nimi zajmować. Wolałaby, żeby pieniądze zawsze były, bez zawracania sobie nimi głowy. Myślę, że młodzi wychowani w bardzo bogatych domach mogą mieć dziś podobne przekonanie. Są przyzwyczajeni, że kasa ma być i nie trzeba o nią zabiegać. Tymczasem pieniądze skądś się biorą, czasem także czyimś kosztem.

Łęcka obarcza winą za swoją sytuację ojca. Twoje pokolenie też miało nierozumnych, surowych ojców?

To obrazek znany z wielu polskich domów. Myślę, że mamy bogatą tradycję facetów, którzy przewalili wszystkie pieniądze rodziny – na alkohol, hazard, kobiety. Ilu było górników, którzy w kilka dni przehulali całe odprawy. Niestety, nie jest to nic wyjątkowego.

Pokazywanie, że zmierzamy ku przepaści, nie leży jednak w twojej naturze?

Bo trzeba iść w stronę światła. Zawsze jest nadzieja. Jak pięknie zauważył Byung-Chul Han, koreański filozof, nadzieja rodzi się z rozpaczy. To przeciwieństwo optymizmu – nie chodzi o ślepą wiarę w to, że wszystko będzie dobrze. Nadzieja to instancja, do której się odwołujemy, ponieważ wszystko wskazuje na to, że będzie tylko gorzej.

Świadomość, że jednocześnie powstaje kinowa wersja „Lalki" z inną ekipą realizatorów, nie budziła obaw, że widzowie zobaczą takie same lub podobne wersje?

Nie. W naszej „Lalce" jest w gruncie rzeczy niewiele scen wziętych stricte z powieści. To raczej wariacje na ich temat. Powtarzamy najważniejsze motywy, tak jak pojedynek z Krzeszowskim, który obraził Łęcką, ale opowiadamy je inaczej, po swojemu. Wiedziałem więc, że nie ma możliwości, żebyśmy się dublowali z ekipą drugiej, filmowej „Lalki". Muszę przyznać, że mam w sobie również duszę sportowca i lubię rywalizację. Zresztą zdrowa konkurencja może być dobra i dla twórców. Cieszą mnie osiągnięcia koleżanek i kolegów. Powodują, że chce mi się starać bardziej.

Co ci sprawiło największą przyjemność w trakcie realizacji?

Praca z aktorami. To chyba dla mnie w ogóle największa radość w robieniu filmów. Nie przestaje mnie fascynować ten rodzaj podwójności, który sprawia, że z jednej strony jestem twórcą i próbuję wyegzekwować swoje założenia, a z drugiej strony – jestem naocznym świadkiem tego, co się wydarza. Bo dopóki przed kamerą nie pojawią się aktorzy w kostiumach na tle scenografii, to nigdy do końca nie wiadomo, jakie to będzie. To się dokonuje dopiero na planie i zawsze jest na swój sposób zaskakujące. Wtedy też okazuje się, czy udało nam się dotknąć czegoś wyjątkowego. Ks. Józef Tischner mówił, że do prawdziwego spotkania dochodzi wtedy, kiedy ludzie ujawniają przed sobą swoją twarz. I takich momentów szukam – tych szczególnych chwil, kiedy postać na chwilę pozbywa się maski i odsłania się ze swoją prawdą.

Mój podziw budzi gatunkowo-emocjonalny rollercoaster. To znaczy, skacząc po różnych sytuacjach jak po trampolinie, sprawnie przechodzisz od groteski, komedii do ciężkiego dramatu psychologicznego, nie gubiąc mojej uwagi.

Połączyć melodramat, kryminał, tragifarsę i parę innych rzeczy, żeby one działały razem, żeby to się nie rozlazło, stanowiło spore wyzwanie. Tym bardziej że bawimy się tu również chronologią wydarzeń, opowiadamy w kilku planach czasowych. Najbardziej jednak dumny jestem z tego, co udało nam się osiągnąć z aktorami w warstwie emocjonalnej.

Kto cię najbardziej zaskoczył?

Sandra Drzymalska. Pracowaliśmy ze sobą pierwszy raz. Ceniłem ją już wcześniej, ale dopiero teraz odkryłem, jak wielki ma

eprasa.pl 1ad5874e11



Jacek Braciak we wspaniale zagranej roli Tomasza Łęckiego

potencjał. To aktorka totalna, która ma dostęp do chyba wszystkich stanów emocjonalnych. Jej Łęcka potrafi być rozkapryszonym bachorem, zepsutą paniusią, ale też zranioną dziewczynką, oddaną przyjaciółką i przebiegłą uwodzicielką. W dodatku na przestrzeni całego serialu dojrzewa, zyskuje coraz większą samoświadomość. Sandra miała przed sobą wyjątkowo trudne zadanie, bo chyba każdy w Polsce ma swoje wyobrażenie o tej postaci i sądząc po różnych komentarzach, nie ma na świecie kobiety, która byłaby w stanie dorównać tym wyobrażeniom. Jak będzie w tym wypadku, tego nie wiem, ale jestem przekonany, że Sandra stworzyła jedną z najciekawszych kobiecych postaci w polskim kinie.

Tomasz Schuchardt?

Tomka znam od czasów jego pełnometrażowego debiutu, poznałem go, będąc asystentem reżysera na planie filmu „Chrzest" Marcina Wrony. W tym wypadku nie mogę powiedzieć, żebym był bardzo zaskoczony. Raczej po prostu utwierdziłem się w przekonaniu, że to absolutnie jeden z najlepszych aktorów, jakich mamy. Ma nie tylko wielką charyzmę i wrażliwość, ale też ogromną świadomość partnera i wszystkiego, co się dzieje wokół. Jest niezwykle intuicyjny, ale też absolutnie powtarzalny, pamięta o każdym pojedynczym geście, którego użył w scenie.

To były dwie lokomotywy serialu, ale nie chciałbym pominąć całej reszty, bo w naszej „Lalce" mamy cały kalejdoskop wyjątkowych i wyrazistych postaci ze wspaniałymi kreacjami: od Jacka Braciaka, Marysi Kani, Julii Wyszyńskiej, Darka Chojnackiego, Piotra Packa, po Monikę Frajczyk, Małgosię Hajewską, Agnieszkę Grochowską, Magdę Cielecką, Piotra Adamczyka, Mateusza Króla i Mirka Zbrojewicza.

Z czym chciałbyś zostawić widzów swojego serialu?

Jeśli miałbym wskazać jedną myśl wartą zapamiętania, to może byłby to słynny kantowski imperatyw, żeby traktować każdego człowieka jako cel sam w sobie, a nie środek do osiągnięcia celu.

Wrócę na koniec do tego koła zamachowego historii: na czym według ciebie polega spełnienie albo niespełnienie w miłości?

Wydaje mi się, że miłość musi wyrastać z prawdy. Nie wiem, czy można mówić o miłości, jeśli zakochujemy się w iluzji. Ile było opowieści o facetach, którzy tracili z miłości głowę, a potem okazywało się, że te uczucia są nic niewarte. Że zauroczyli się kimś, kogo po roku nienawidzą, i sądzą się o alimenty. Czy to na pewno była miłość? Myślę, że nie. Problem polega na tym, że zbyt często żyjemy projekcjami. Wciąż w nas pokutuje mit romantycznej miłości, fantazja o poszukiwaniu w labiryncie drugiej połówki pomarańczy. Tymczasem w ogóle nie o to chodzi. Liczy się relacja i jej świadome budowanie. Myślę, że miłość to też pewna decyzja i zobowiązanie. Nie chcę używać słowa praca, bo to źle się kojarzy, powiedziałbym raczej: pielęgnowanie. O miłość trzeba dbać po prostu. Ciekawe, że romantyczność idzie często w parze z fundamentalizmem. Nacjonalizmy też są w duchu romantyczne, to też jakaś fantazja, projekcja na temat jakiegoś narodu, że jest powiernikiem wyjątkowych wartości i dlatego jest lepszy od drugiego. To wszystko bzdura, w dodatku dziecinna.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

© ROBERT PAŁKA (2)

REKLAMA







Z gier wyższych sfer

Ostatnie sezony upływają w Polsce pod znakiem cichej rywalizacji, jaką prowadzą między sobą dwie mecenaski kultury: Katarzyna Jordan i Omenaa Mensah.

PIOTR SARZYŃSKI

Walizacji o tytuł najważniejszego prywatnego mecenasa polskiej kultury pierwszy stopień podium wydaje się zajęty trwale i od dawna przez Annę i Jerzego Staraków. Ale już o drugie toczy się ciekawa rywalizacja, a w blokach startowych stanęły dwie ambitne kandydatki, które w ostatnich dniach urządziły własne, spektakularne demonstracje siły.

Omenę Mensah i Katarzynę Jordan wiele łączy. Są w podobnym wieku – obie wchodziły w dorosłe życie wraz z Polską wkraczającą do Unii Europejskiej. Obie też mają duże ambicje i – co w tym przypadku niebagatelne – dysponują ogromnym zapleczem inwestycyjnym. Choć ich droga do finansowych elit przebiegała już nieco inaczej.

Jordan, sama pochodząca z zamożnej rodziny poznańskiego biznesmena Krzysztofa Jordana, mając 29 lat, wzięła ślub ze spadkobiercą ogromnej fortuny Sebastianem Kulczykiem. Po rozwodzie z nim weszła w związek z biznesmenem Grzegorzem Jankielewiczem. Mensah po wieloletniej karierze telewizyjnej pogodynki i dziennikarki lifestyle'owych programów typu „Domy gwiazd" w 2019 r., w wieku 40 lat, stanęła na ślubnym kobiercu i powiedziała „tak" Rafałowi Brzoscе, właścicielowi firmy InPost. Warto dodać, że w przypadku wszystkich tych trzech dżentelmenów majątki liczone są nawet nie w setkach milionów, ale w miliardach złotych, co sprawia, że panie nie muszą myśleć „jak", ale raczej „co".

Najciekawsza, z punktu widzenia publicznej aktywności, różnica polega na zarządzaniu własnym wizerunkiem. O Omenie Mensah słyszała i zna jej twarz oraz efektowne stylizacje większość rodaków. To ulubienica paparazzich, mimo że już od kilku lat poza telewizją. To ona zawsze kroczy z przodu, ciągnąc za sobą różne wizerunkowe projekty.

Katarzyna Jordan – wręcz przeciwnie. Jej nazwisko znają tylko bywalcy, trudno ją zobaczyć w świetle reflektorów. I choć dla Omeny Mensah kultura wydaje się jedynie narzędziem, a dla Katarzyny Jordan celem, to przecież pozytywnie należy ocenić efekty działania obu pań, bo korzystają na nich publiczność,

© KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS, DARIUSZ GAŁĄZKA/AKPA

eprasa.pl 1ad5874e11

twórcy, a nawet ubogie dzieci w dalekiej Afryce.

Kompas Mensah

We wrześniu doszło do splotu kilku wydarzeń sygnowanych przez obie damy, a ich charakter wiele mówi o przyjętych przez nie strategiach tworzenia własnego publicznego wizerunku i fundamentów, na jakich chcą budować wiarygodność swej obecności w kulturze. Na temat imprezy, którą zorganizowała Omenaa Mensah, wiadomo tylko tyle, ile ujawniła sama jej twórczyni. Na pewno odbyła się 10 września w weneckim hotelu Cipriani (pięć gwiazdek, cena za dobę hotelową to 11,7 tys. zł) pod hasłem „Top Charity Venice". Z informacji dostępnych w internecie wiadomo tyle, że „wieczór połączył cel charytatywny z fine diningiem, sztuką, aukcją fundraisingową i wyrafinowaną celebracją balową", a wszystko inspirowane dziejami królowej Saby i króla Salomona (czyżby w tych rolach organizatorzy gali?).

W ramach licytacji wystawiono tylko dziewięć dzieł, w tym dwa z Polski (Xawery Wolski i Ewa Czwartos), trzy z Afryki, a magnesem głównym była serigrafia Andy'ego Warhola. Gala odbyła się w trakcie weneckiego festiwalu filmowego, ale czy coś z tej koincydencji wyniknęło, trudno powiedzieć. Jeżeli tak, to z pewnością się dowiemy.

Wenecka impreza jest najwyraźniej próbą umiędzynarodowienia flagowego okrętu Mensah, płynącego wartko pod banderą aukcji charytatywnych. Dotychczas organizowane były w Polsce, przez cztery lata w Pałacu w Wilanowie, a ostatnio, po przymusowej przeprowadzce, w Łazienkach Królewskich. Znakiem firmowym tych aukcji szybko stały się bezprecedensowy rozmach i balansujące na granicy dobrego smaku efekciarstwo oraz szalone licytacje, z cenami wielokrotnie przekraczającymi realną wartość wystawionych prac. Ale trzeba też przyznać, że efekty finansowe były imponujące (ostatnio zebrano ponad 80 mln zł), a przedsięwzięcie sygnowały bardzo poważne autorytety, z Hanną Wróblewską, Andą Rottenberg i Borisem Kudličką na czele. Wyprawa do Wenecji to kolejny krok do przodu, w stronę międzynarodowych elit, światowej sztuki i wielkich pieniędzy.

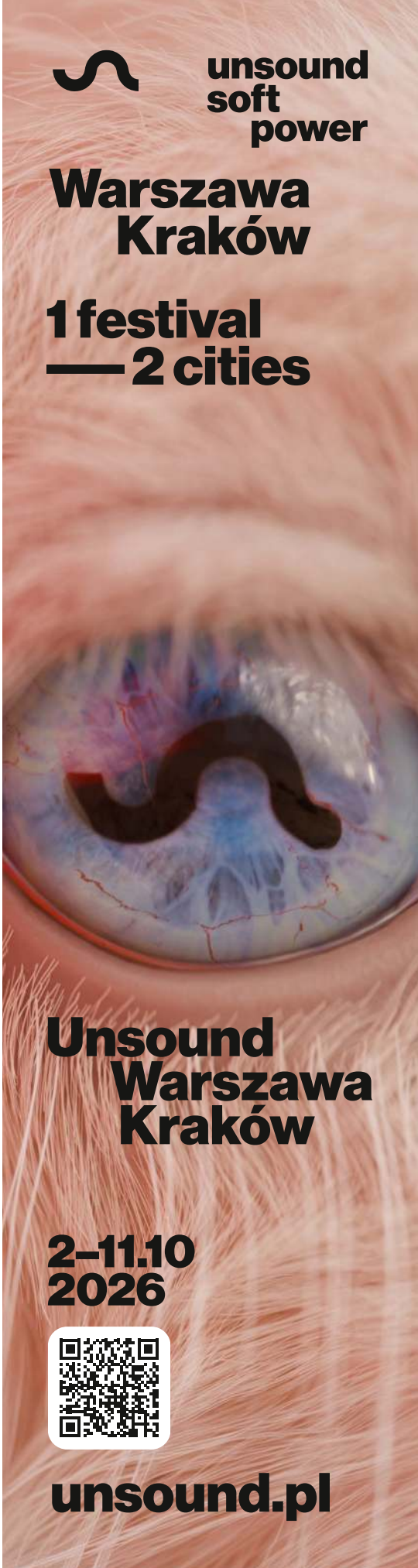
Aukcje nie są jedyną formą zaangażowania Mensah w obszarze sztuki. W Polsce włączyła się w promocję corocznego rankingu młodej sztuki Kompas, stworzyła pierwszą w naszym kraju (a może i w regionie?) galerię sztuki afrykańskiej Phenomenaa Gallery, a także aktywnie zaangażowała się w biennale sztuki na Malcie. To impreza nowa, jeszcze dość skromna, choć z dużymi ambicjami. I już jej druga, tegoroczna edycja przyniosła duży sukces: wystawa „Redefining. Polish-Ghanaian Textile Narratives", przygotowana w ramach fundacji Omeny, otrzymała nagrodę za najlepszy pawilon biennale. W rubryce „sukces" na pewno wpisać można też sfinansowanie pokazu w stołecznej Zachęcie w październiku ubiegłego roku, monumentalnej (200 m kw.), stworzonej z jutowych worków, instalacji artystycznej Ghańczyka Ibrahima Mahamy. Dwa miesiące później prestiżowy „Art Review" ogłosił artystę najbardziej wpływową postacią współczesnej sztuki. A my go właśnie mieliśmy u siebie.

Starcie na półkach

Powróćmy do wrześniowych wydarzeń. Podczas gdy Omenaa podbijała Wenecję, trzy kolejne imprezy zasiliły konto zasług Katarzyny Jordan i jej fundacji. 1 września otwarto w Warszawie poświęconą historii polskiego designu wystawę „Polski modernizm. Walka o piękno", a kilka dni później w ramach Paris Design Week wystawę o młodym polskim designie „The Matter of Earth". Ta pierwsza jest przeniesieniem ekspozycji, która zrobiła sporo pozytywnego zamieszania w Mediolanie, druga zaś ma charakter premierowy. A obie wpisują się w najbardziej wyrazisty nurt zainteresowań Jordan: promocji designu, szczególnie tego silnie osadzonego w szeroko rozumianej narodowej tradycji. Stąd choćby jedna z jej wcześniejszych wystaw, wyśmienicie opowiadająca o historii narodowego... plecionkarstwa.

I wreszcie wydarzenie ostatnie, może nie bezpośrednio, ale na pewno wyraźnie powiązane z kulturą i sztuką oraz zabiegami o stworzenie jak największego kapitału symbolicznego: premiera polskiej edycji magazynu „Harper's Bazaar". A właściwie jego przywrócenie do życia, bo ukazywał się już w Polsce w latach 2013–19, ale zniknął wraz z jego szwajcarskim wydawcą Marquard Media. Na świecie to tytuł ikona. Najstarsze w USA, powstałe w 1867 r. pismo o kulturze i modzie, wydawane za oceanem w nakładzie ponad 600 tys. egz. W Polsce jednak umiarkowanie przebiło się do gustów odbiorców ▶

REKLAMA



eprasa.pl 1ad5874e11



Monumentalna instalacja artystyczna z jutowych worków Ghańczyka Ibrahima Mahamy, której pokaz w stołecznej Zachęcie w październiku 2025 r. sfinansowała fundacja Omeny Mensah

▶ i pod koniec swego poprzedniego żywota sprzedawało się w nakładach 16–17 tys. egz. Czy teraz ma szansę na duży sukces, pokaże czas.

Obserwatorów dziwi jednak co innego. Otóż w portfolio Katarzyny Jordan jest już jeden silny wydawniczy atut z podobnej półki: magazyn „Vogue". Mocno osadzony na rynku, świetnie zagospodarowujący tematykę kultury i sztuki. Niektórzy więc, mając świadomość, że nasz rynek prasowy nie jest z gumy, przewidują swoistą kanibalizację obu tych tytułów. Ale być może – i wówczas decyzja o zakupie magazynu wydałaby się mniej dziwna – jest to odpowiedź na ruch Omeny Mensah, która pod koniec ubiegłego roku zadebiutowała na rynku z polską edycją innego słynnego amerykańskiego magazynu „GQ" (21 edycji regionalnych, ponad 900 tys. nakładu edycji amerykańskiej). Tamten debiut traktowano jako wyzwanie rzucone właśnie w stronę „Vogue'a". Obie strony zbroją się więc naprzemiennie i na potęgę, konkurencja drży, a obserwatorzy wykupują popcorn.

Rozmach i dyskrecja

Nasze bohaterki przyjęły całkiem odmienne strategie budowania własnego wizerunku poprzez mecenat w kulturze i mediach. Omenaa Mensah – model amerykański, uwielbiający spektakularne działania i widowiskowy rozmach, stawiający na czele własną osobę. I trochę przypominający wczesnokapitalistyczne praktyki wielkich przedsiębiorców, działalność charytatywna miesza się tu ze sztuką, a mecenat z biznesem. Przy czym Mensah potrafi grać kartami, które stanowią o ostatecznym sukcesie: mediami tradycyjnymi i internetowymi, relacjami z celebrytami, własnymi kontaktami towarzyskimi i biznesowymi męża. Bezbłędnie rozgrywa także kartę swojego pochodzenia, a koniunktura na afrykańską sztukę jest akurat bardzo dobra.

Przy takiej werwie w działaniu zdarzają się wpadki. Dla Mensah wizerunkowym kłopotem okazał się pamiętny koncert muzyki techno na dziedzińcu Pałacu w Wilanowie. Organizowała go agencja Awake Events, w której radzie nadzorczej zasiadała Omenaa, fundacja jej imienia zaś była tzw. mecenasem strategicznym. Głównym przegranym okazał się wtedy usunięty ze stanowiska wieloletni dyrektor Wilanowa Paweł Jaskanis, ale kurz wniesiony przez publiczność osadził się też na starannie dopieszczanym konterfekcie Omeny. No i skończyły się pełne przepychu imprezy charytatywne w wilanowskiej Oranżerii, choć znalazło się szybko inne, równie godne ambicji Mensah przytulisko – pałac w Łazienkach.

Sukcesem nie wydaje się też magazyn „GQ". Słabo oceniany w branży i za poziom merytoryczny, i redakcyjny, a przede wszystkim za drastyczne przesuwanie granic (i tak już nadwerężonych) dzielących treści redakcyjne od reklamowych. W pierwszym numerze na imponujące 420 stron znalazło się 170 stron reklam.

Katarzyna Jordan w swoim spotkaniu z kulturą wydaje się raczej wzorować na brytyjskim modelu powściągliwości, dyskrecji, wycofaniu i ukryciu za realizowanymi projektami. Imperium rozbudowuje niespiesznie, osadzając je na mocnych fundamentach, takich jak wspomniane już magazyny czy wydawnictwo Osnova, specjalizujące się w literaturze faktu, ostatnio słabiej prosperujące, ale mające potencjał rozwojowy.

Najtrwalszym z filarów wydaje się Willa Gawrońskich; neobarokowa, obszerna, położona w najbardziej prestiżowej lokalizacji stolicy – w Alejach Ujazdowskich. Na razie odbywają się tu sporadyczne wystawy rzemiosła, ale plany wobec tego miejsca są ambitne. Po gruntownym remoncie, który wkrótce nastąpi, willa na stałe i w pełnym wymiarze zostanie przekazana na potrzeby kulturalnych działań fundacji. Na pewno można się spodziewać dalszego wspierania designu, choć wszyscy liczą na, pojawiający się na razie skromnie i sporadycznie, wątek sztuki, dla którego bazą powinna się stać imponująca, międzynarodowej klasy kolekcja wspomnianego już Grzegorza Jankielewicza.

W okolicach pandemii dała się zauważyć ciekawa ewolucja w kształtowaniu image'u przez polskich multimilionerów. Wielu z nich odkryło dobrze znaną na Zachodzie prawdę, że nic lepiej nie buduje kapitału symbolicznego i wizerunku niż aktywność w obszarze sztuki. Wielkie kolekcje, dotychczas budowane dyskretnie i schowane przed światem, zaczęły być dostępne publicznie. Niekiedy skromniej, w formie gościnnych czasowych wystaw, niekiedy z przytupem – w formie quasimuzeów. Aż dwie takie placówki powstały w jednym tylko Wrocławiu: pierwsza założona przez Sylwię i Piotra Krupów, a druga przez Ewę i Krzysztofa Foltów.

W Poznaniu galerię non profit otworzył Piotr Voelkel, w Gdyni – prywatne Muzeum Szukalskiego – Krzysztof Ziemann, rozrosła się o nowy budynek klimatyczna konstancińska Villa La Fleur Marka Roeflera, muzeum skoncentrowane na École de Paris. Wprawdzie swoje ambicje w tym zakresie przeniosła z Polski do Szwajcarii Grażyna Kulczyk, to jednak niewykluczone, że w najbliższych latach do wyścigu dołączy ktoś jeszcze.

PIOTR SARZYŃSKI

© ZACHĘTA – NARODOWA GALERIA SZTUKI

eprasa.pl 1ad5874e11



Życie po Wiedźminie

„The Blood of Dawnwalker" to gra twórców „Wiedźmina 3", którzy poszli na swoje. I – wszystko na to wskazuje – świetnie na tym wyszli.

OLAF SZEWCZYK

Na tak imponujące otwarcie mogli liczyć, i to skrycie, chyba tylko twórcy „Krwi Wędrowca Świtu". Ta niedawno wydana interaktywna opowieść o zmaganiach i rozterkach Coena, młodego mężczyzny, który – w brutalnych (nie)realiach XIV-wiecznej Europy – ma miesiąc na uratowanie porwanej rodziny przed śmiercią, zbiera od recenzentów i odbiorców w przeważającej mierze przychylne, nierzadko entuzjastyczne oceny. Premiera studia Rebel Wolves ma dziś szanse na powtórzenie globalnego sukcesu debiutu CD Projektu, tym bardziej że do stycznia nie trafi już prawdopodobnie na rynek żadna równie ambitna produkcja w tej konwencji. Tak jak niegdyś pierwszy „Wiedźmin", to dziś mocny kandydat do tytułu najlepszej gry fabularnej roku.

I choć tak życzliwy odbiór „The Blood of Dawnwalker" mile zaskakuje, to przecież nie jest sensacją. Stoją za nim bowiem niebagatelne doświadczenie, talent i pasja osób, które odegrały istotną rolę w budowaniu pozycji właśnie studia CD Projekt RED. Rebel Wolves założył Konrad Tomaszkiewicz, pracujący przy wszystkich „Wiedźminach", reżyser ostatniej jak dotąd gry cyklu: „Wiedźmin 3: Dziki Gon" i producent „Cyberpunka 2077". – *Po 17 latach pracy w CD Projekcie RED poczułem wypalenie i potrzebę zmiany, zwłaszcza że pod koniec spędzałem czas głównie na rozmowach z menedżerami, którzy przekazywali moje uwagi dalej* – mówi Tomaszkiewicz. – *Chciałem wrócić do pracy w formule mniejszego zespołu, by znów, jak na początku, przy „Wiedźminie", mieć bezpośredni wpływ na kształt gry. Miałem już pomysł na nowy tytuł, byłem po pierwszych rozmowach z przyjaciółmi. Postanowiłem pójść na swoje.*

Kareta asów

Tomaszkiewicz założył studio Rebel Wolves na początku 2022 r. Początkowo zespół był mały, liczył ok. 20 osób, z czego niemal połowę stanowili weterani z CD Projektu RED. Oprócz Konrada Tomaszkiewicza watahę Zbuntowanych Wilków (Geralt, bohater sagi Andrzeja Sapkowskiego, zwany był Białym Wilkiem i należał do wiedźmińskiej Szkoły Wilka) tworzyli m.in.: jego brat Mateusz Tomaszkiewicz, projektant zadań (questów) w „Wiedźminie 3" i „Cyberpunku 2077"; Jakub Szamałek, scenarzysta tych gier; a także Bartłomiej Gaweł, artysta odpowiedzialny za koncepty graficzne i prezencję całego wiedźmińskiego uniwersum.

Kareta asów. Z takimi kartami w ręku Rebel Wolves, szukając inwestora, nie mogli ponieść porażki. „Nowa gra twórców Wiedźmina", jak o niej mówiono, musiała wzbudzić zainteresowanie rekinów biznesu. Choć wataha nie spodziewała się, że będzie ono aż tak duże. – *To była klęska urodzaju, każdy chciał w nas inwestować* – wspomina Tomaszkiewicz. – *A my nie mieliśmy doświadczenia w takich targach, nie wiedzieliśmy, jaka opcja finansowania jest najlepsza i nas najlepiej zabezpieczy. Po konsultacjach wybraliśmy inwestora strategicznego. W październiku 2022 r. sprzedaliśmy 26 proc. udziałów firmie NetEase Games.* ▶

© REBEL WOLVES

eprasa.pl 1ad5874e11



Scenariusz i prowadzenie narracji to największe atuty tej debiutanckiej gry.

▶ Wcześniej jednak Konrad Tomaszkiewicz przez rok finansował Rebel Wolves z własnej kieszeni. Przez ten czas stworzone zostały fundamenty „The Blood of Dawnwalker": wykorzystane później mechaniki rozgrywki, prolog, ogólna koncepcja gry. Cała dalsza praca była realizacją ustalonego planu, żadnych krytycznych zmian odtąd nie wprowadzano.

Renoma twórców oraz przygotowana wersja prezentacyjna z pewnością miały wpływ na korzystne zapisy umowy. Rebel Wolves zachował wszelkie prawa do własności intelektualnej oraz pełnię swobody twórczej. Kolejne gry będą zatem tworzyć w rzadkim w tej branży komforcie, bez nadzoru ekonomów z pejczami wymuszających pracę ponad siły, by produkt jak najszybciej trafił na rynek, choćby i bez finalnych szlifów lub wręcz bez całych, zaplanowanych przez twórców modułów. Pieniądze od inwestora przyniosły spokój i pewność, że do końca pracy nad „Krwią Wędrowca Świtu" finanse nie będą problemem.

W 2023 r. ruszyła pełną parą rekrutacja. Gra, która w założeniu miała mieć wielkość dodatku „Wiedźmin 3: Krew i wino", spuchła do – jak porównują twórcy – rozmiaru mniej więcej „Horizon: Zero Dawn". A wataha Zbuntowanych Wilków – do 160 osób.

Kielich krwi

Konrad Tomaszkiewicz nie lubi porównań „The Blood of Dawnwalker" do „Wiedźmina 3" – fakt, że powszechnych, więc łatwo tę irytację zrozumieć. Wierzy, że produkt broni się sam: – *Nie potrzebujemy się podpierać „Wiedźminem", z całym szacunkiem.*

I ma w tym rację, chociaż skojarzeń z ikoniczną produkcją CD Projektu RED nie sposób uniknąć. Nie tylko z powodu nazwy studia, która, jak można przypuszczać, ma przypominać – inwestorom, odbiorcom, mediom – kto zacz. Nawiązań jest więcej, i zapewne niektóre wbudowano w ten tytuł nieintencjonalnie.

Ciekawe jest już choćby umieszczenie akcji gry w średniowiecznej Europie, w czasach – z perspektywy ówczesnych mieszkańców – zapewne apokaliptycznych. Autorzy, pragnąc odsunąć się koncepcyjnie od interaktywnych wariacji CD Projektu RED na temat fantastycznej sagi Andrzeja Sapkowskiego o wiedźminie Geralcie, zbliżyli się bardzo, najpewniej bezwiednie, do wizji świata przedstawionej przez tego pisarza w trylogii husyckiej. Sapkowski umieścił jej akcję w średniowieczu, w czasach wojen husyckich (1419–36) – krwawych rzezi na podłożu sporów religijnych. To świat na poły fantastyczny. Z realiami historycznymi sąsiaduje magia, oprócz ludzi żyją na świecie nadnaturalne stworzenia, jak choćby wampiry.

„Krew Wędrowca Świtu" to również średniowiecze, również czas końca ówczesnego świata. Akcja zaczyna się kilkadziesiąt lat wcześniej, w 1347 r., gdy już szalała epidemia dżumy (1347–52), w wyniku której, według historyków optymistów, umarł co trzeci mieszkaniec Europy. Według historyków pesymistów natomiast co trzeci mieszkaniec Europy przeżył. Historia rozgrywa się w Karpatach, górach, których zachodni skrawek notabene przynależy do Czech. Jakby mało było czarnej śmierci, postrachem regionu stały się też wampiry, tu zwane wrakirami. I tak jak w wojnach husyckich, i tutaj trwa, nomen omen, krwawy spór religijny.

Wrakiry, które przejęły władzę nad doliną, zastępują katolicyzm właściwą – jak utrzymują – interpretacją Biblii. W ramach Paktu Krwi i aktu wiary ludzie co tydzień składają na mszy daninę z posoki, a w zamian wrakiry dają im do picia własną krew – panaceum na wszelkie choroby. W tym kontekście choćby tekst konsekracji wina wypowiadany podczas mszy katolickiej zyskuje nowy wymiar: „Bierzcie i pijcie z tego wszyscy: To jest bowiem kielich Krwi mojej, nowego i wiecznego przymierza, która za was i za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów". Pierwszy łyk dla scenarzystów za rozmach i brawurę.

Tak jak u Sapkowskiego – a zatem i w inspirowanych jego pisarstwem grach – tak i w „The Blood of Dawnwalker" podział na dobro i zło nie zawsze jest oczywisty. Wielu mieszkańców doliny jest zadowolonych, że wrakiry, przejmując władzę, zabiły dotychczasowych, okrutnych władców, wyzyskujących poddanych i bezlitośnie mordujących chorych – których z kolei komunia z krwi wrakirów jest w stanie wyleczyć nawet z dżumy.

Opowieść w piaskownicy

Dzięki erudycji i poczuciu humoru scenarzysty Jakuba Szamałka *et consortes*, tak jak w „Wiedźminach", tak i w niniejszej tragedii – choć pisanej ciemniejszym atramentem niż saga CD Projektu RED – trafiają się sceny, które potrafią rozbawić. Jak wtedy, gdy widać rozczarowanie Coena, który przeglądając butwiejące manuskrypty w armarium opuszczonego klasztoru, trafia nie na podręczniki szermierki, lecz na makulaturę: „Drugi tom »Poetyki« Arystotelesa. Hmm... Bezużyteczne".

Scenariusz i prowadzenie narracji należą do największych atutów debiutanckiej gry weteranów, co, biorąc pod uwagę ich *curriculum vitae*, nie jest zaskoczeniem. Świetny jest choćby cały wątek Coena i Anki, byłej zakonnicy, obecnie wiedźmy, atrakcyjnej zarówno w zdobionym podhalańską parzenicą kożuszku, jak i bez niego. To jedna z najsprawniej rozpisanych i wyreżyserowanych relacji romantycznych w historii gatunku. Największym mistrzostwem autorzy scenariusza wykazali się jednak, zdaniem wilka alfa, na innym polu.

– *Naszą grę wyróżnia dość nietypowa struktura. To sandboks narracyjny* – prze-

eprasa.pl 1ad5874e11

konuje Konrad Tomaszkiewicz. – *Opowieść w grach fabularnych zwykle można porównać do drzewa. Ma gałęzie: wątki poboczne, ale aby dojść do finału danej fabuły, na szczyt, trzeba z nich wracać i wspinać się po pniu. W „The Blood of Dawnwalker" postawiliśmy na rozwiązanie ambitniejsze, trudniejsze, ale zapewniające odbiorcy więcej wolności i możliwości. Po ukończeniu prologu gra się otwiera i możesz w niej robić, co chcesz, jak w narracyjnej piaskownicy.*

Tomaszkiewicz przypomina, że nawet główny cel Coena, czyli uratowanie porwanej przez wrakiry rodziny przed śmiercią, nie determinuje finału opowieści: – *Grę można skończyć na bardzo, bardzo wiele różnych sposobów. To nietypowe dla erpegów. Stosowano to rozwiązanie w latach 90., w pierwszych „Falloutach", z powodzeniem zresztą, ale potem twórcy gier porzucili tę koncepcję.*

Mniej znaczy więcej

Odejście innych twórców od formuły narracyjnej piaskownicy jest łatwo zrozumiałe. Dla scenarzystów gier fabularnych stanowi ona olbrzymie wyzwanie. Niezwykle złożone, wymagające gigantycznej pracy i olbrzymiego doświadczenia. Zapewne z tego powodu Tomaszkiewicz deklaruje, że „Krew Wędrowca Świtu" nie ustępuje wielkością „Wiedźminowi 3", mimo że oferuje mniejszy dostępny obszar. Mniejszy, ale więcej się tutaj może wydarzyć.

Rebel Wolves dodatkowo podnieśli sobie poprzeczkę, dodając limit czasu. Coen ma 30 dni na uratowanie rodziny i nie może zaglądać w każdy kąt, podnosić każdej rzuconej rękawicy. Epizody fabularne kosztują czas, liczony w przypisanych danemu wyzwaniu segmentach dnia. Na szczęście kartki z kalendarza spadają tylko wtedy. Za włóczęgę po świecie, za zwykłą wizytę u płatnerza w celu ulepszenia lub kupna nowej zbroi nie ma żadnej kary czasowej. A jednak wszystkiego zrobić się nie da. Trzeba wybierać.

Pytanie, dlaczego na motyw gry, z założenia ambitnie innowacyjnej, wybrał bodaj najbardziej oklepany motyw popkultury: wampiry, Konrad Tomaszkiewicz natychmiast paruje i wyprowadza ripostę. – *Coen nie jest typowym wampirem. To Wędrowiec Świtu. Rzadki przypadek nieudanej transformacji po ukąszeniu* – wyjaśnia twórca. – *Za dnia człowiek mogący korzystać z magii, nocą wrakir tnący szponami skuteczniej niż mieczem, który potrafi wdrapywać się po murach i odzyskiwać zdrowie poprzez picie krwi, niezdolny jednak do rzucania zaklęć. To kolejny wyróżnik naszej gry; de facto dwa odmienne systemy rozgrywki i opcje fabularne, w zależności od formy, którą w danej chwili przyjmuje protagonista.*

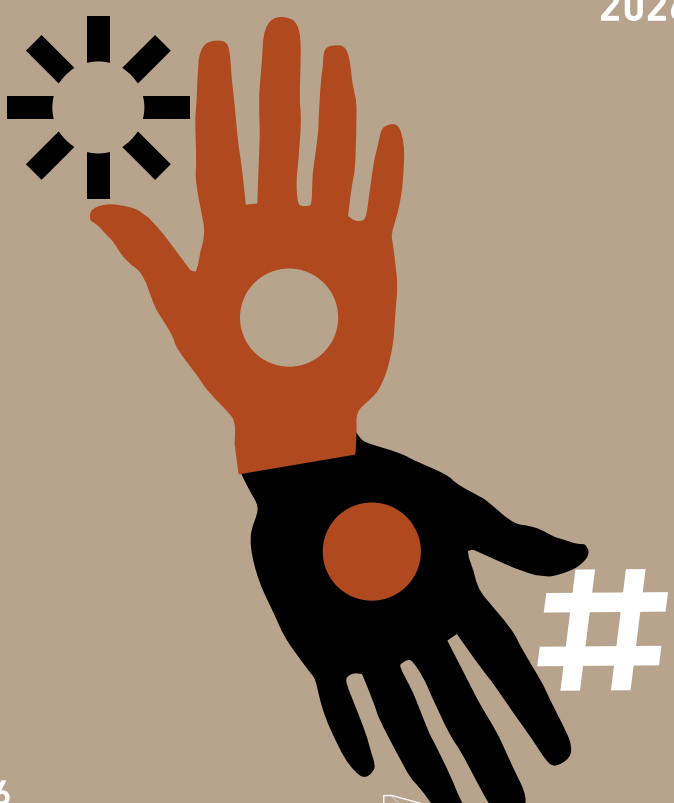
Wszystko to razem składa się na spójną, atrakcyjną, momentami ekscytującą przygodę. Pomniejsze usterki – zarządzanie ekwipunkiem Coena to horror straszniejszy niż przemierzanie bez pochodni pradawnej, nawiedzonej krypty – nie są w stanie umniejszyć tej przyjemności. „The Blood of Dawnwalker" to nowa jasna gwiazda w konstelacji Wilka. Na tej opowieści perypetie Coena się zresztą nie skończą. W planach są kolejne odsłony sagi. Niczym w „Wywiadzie z wampirem" przenoszące protagonistę w nowe epoki i miejsca, aż do czasów nam współczesnych – co zapowiada już udostępniony przez studio zwiastun.

OLAF SZEWCZYK

© REBEL WOLVES

REKLAMA

69 Warszawska Jesień
Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej
18-26 września 2026



18-26 September 2026
69 Warsaw Autumn
International Festival of Contemporary Music
warszawska-jesien.art.pl

Organizator
ZKP Związek Kompozytorów Polskich

Współorganizatorzy
Filharmonia Narodowa
dwójka Polskie Radio
UMFC Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina

Partnerzy Główni Festiwalu
PZU Fundacja
Fundacja Lotto im. H. Konopackiej

Partnerzy Festiwalu
zaiks sprzyjamy wyobraźni
STOART
ernst von siemens music foundation
Podium Gegenwart Deutscher Musikrat
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Instytut Adama Mickiewicza
austriackie forum kultury wiedeń
Institut Français
PWM Edition
Instytut Przemysłów Kreatywnych
Nowy Teatr
Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie
Łazienki Królewskie
Pardon, To Tu
Teatr Komuna Warszawa
Zamek Królewski w Warszawie
Hashtag Lab

Partnerzy medialni Festiwalu
100 lat Polskiego Radia
wyborcza.pl
Polityka
Glissando

Festiwal dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury, w ramach programu „Muzyka" realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca, oraz miasta stołecznego Warszawy.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
Warszawa

eprasa.pl 1ad5874e11



Sytuacja podbramk

Sponsorzy odwracają się od Polskiego Związku Piłki Nożnej. Powody to kiepskie wyniki reprezentacji, zawodowy schyłek Roberta Lewandowskiego, ale przede wszystkim fatalny wizerunek prezesa piłkarskiej centrali Cezarego Kuleszy.

MARCIN PIĄTEK

31 lipca okazał się sądnym dniem dla kierownictwa Polskiego Związku Piłki Nożnej. Kończyły się wówczas umowy z kilkoma sponsorami piłkarskiej federacji, w tym również strategicznymi: InPostem, Biedronką i Orlenem. Wyczekiwane przez działaczy komunikaty o przedłużeniu współpracy się nie pojawiały, ale obowiązywała narracja, że nie ma powodów do niepokoju, bo negocjacje nowych warunków trwają.

Rozmowy skończyły się jednak spektakularną klapą. Najpierw decyzję o tym, że z PZPN nie jest mu już po drodze, ogłosił InPost. Kilka dni później również Biedronka potwierdziła, że dalszego ciągu – po 16 latach – nie będzie. To samo zdecydowali mniejsi partnerzy PZPN: Staropolanka (woda) oraz TCL (chiński producent domowej elektroniki). Niepewny jest deal z najważniejszym partnerem, Orlenem. Wprawdzie z medialnych przecieków wynika, że największa polska firma pozostanie przy reprezentacji i PZPN, ale na nowych, o wiele gorszych warunkach. Zamiast gwarantowanych w myśl poprzednich ustaleń 36,5 mln zł rocznie kurek ma zostać przykręcony do 20 mln.

Opuszczenie pokładu przez sponsorów oznacza dla PZPN-owskiego budżetu roczny minus w wysokości ok. 35 mln zł. Na otarcie łez, blisko finalizacji są rozmowy z Lidlem, a współpraca ma wpisywać się w strategię firmy Schwarz – niemieckiego właściciela sieci spożywczych dyskontów – coraz mocniejszej obecności sponsorskiej w futbolu. Reklamy Lidla wyświetlały się już podczas ostatnich mistrzostw Europy, są też widoczne podczas meczów pucharowych UEFA.

Prawdziwych powodów tych rozstań próżno szukać w oficjalnych komunikatach. Choć właściciel InPostu Rafał Brzoska przyznał,

eprasa.pl 1ad5874e11



© ŁUKASZ GDAK/EAST NEWS

że firma nie rezygnuje z obecności w futbolu, ale zmienia priorytety, stawiając na obecność oraz reklamową ekspozycję w Ekstraklasie. Czego dowodem jest trzyletni kontrakt podpisany niedawno między InPostem a zarządzającą ligowymi rozgrywkami spółką.

– *Walka na rynku paczkomatów jest ostra, najwidoczniej Brzoska uznał, że choć firmę zna chyba każdy Polak, to wciąż trzeba wokół niej budować pozytywne skojarzenia. Ekstraklasa gra co tydzień na dziewięciu stadionach, mecze przyciągają coraz więcej kibiców, a identyfikacja z klubami jest o wiele silniejsza niż z reprezentacją. Do tego po raz pierwszy w historii mamy dwa kluby w fazie grupowej Ligi Europy* (Lech Poznań i Jagiellonię Białystok, choć podczas tych meczów eksponowani są tylko sponsorzy UEFA – przyp. red.). *A reprezentacja przyciąga uwagę tylko raz na parę miesięcy* – mówi członek władz jednego z klubów Ekstraklasy.

Sponsorzy bardzo nie lubią być kojarzeni z porażkami, a drużyna narodowa przecież nie zakwalifikowała się na niedawny mundial, w Lidze Narodów nie potrafiła utrzymać się w elicie i teraz zamiast gry z Chorwacją czy Portugalią reprezentacji przyjdzie rywalizować m.in. z Rumunią oraz Bośnią i Hercegowiną (co w sumie jest, patrząc na jakość gry wybrańców selekcjonera Jana Urbana, miejscem we właściwym szeregu). Poza tym ewentualni partnerzy biznesowi doskonale zdają sobie sprawę, że jedną nogą poza reprezentacją jest już jej kapitan, Robert Lewandowski, który nieuchronnie zbliża się do czterdziestki, latem przeniósł się do amerykańskiej ligi, skąd będzie mu na zgrupowania trenera Urbana dalej, dosłownie i w przenośni.

Lewandowski w coraz mniejszym stopniu wpływał na wyniki reprezentacji, ale sama jego obecność w kadrze przekładała się na większe zainteresowanie meczami. Jednak na potrzeby sponsorów się nie oglądał. Spór piłkarzy o skalę wykorzystania ich wizerunku przez PZPN toczył się jeszcze za prezesury Zbigniewa Bońka, a Lewandowski i inni najbardziej rozpoznawalni wychodzili z założenia, że nie będą na byle skinienie, zwłaszcza że każdy ze sponsorów chciałby mieć w swojej kampanii gwiazdy. Boniek miał jednak z kluczowymi zawodnikami dość poprawne układy i za jego czasów potrafiono wypracować kompromisy.

Odkąd w 2021 r. rządzi Cezary Kulesza, Lewandowski występował tylko w reklamach Orlenu. To efekt generalnego założenia Lewandowskiego, że on będzie decydował, w jakim stopniu jest na sprzedaż. Ale też jego osobistej niechęci (delikatnie mówiąc) do Kuleszy, której źródłem jest incydent sprzed paru lat, gdy podczas meczu Barcelony w loży VIP prezes Kulesza, będąc pod wpływem alkoholu, w ordynarny sposób skomentował grę Lewandowskiego, a było to skierowane do małżonki piłkarza. Dlatego Lewy odmówił m.in. udziału w reklamie InPostu, co bardzo zabolało prezesa Brzoskę. Ostatecznie spot został nakręcony z udziałem drugoplanowych zawodników reprezentacji i właściwie przepadł bez echa.

Rozmówcy POLITYKI związani z PZPN twierdzą, że brak wyników reprezentacji sprawia, że sponsorzy w coraz większym stopniu są postrzegani nie jako dobroczyńcy narodowej drużyny, ale samej piłkarskiej centrali. A skojarzenia z nią nie są już od ładnych paru lat najlepszą reklamą. – *W końcu na czele PZPN stoi człowiek, za którego rządów mieliśmy afery z wycieczką na mecz reprezentacji działacza skazanego za korupcję oraz zatrudnienie w roli ochroniarza piłkarzy bandyty mającego sympatie neonazistowskie, który kiedyś stał na bramce w jednej z podlaskich dyskotek Kuleszy. Ale przede wszystkim prezes kojarzy się z wódą* – wzdycha jeden z wysoko postawionych ludzi w PZPN.

O słabości Cezarego Kuleszy do alkoholu, jak również o grubiańskim i prostackim stylu bycia prezesa, i to w sytuacjach publicznych, krążą relacje wylewające się już poza środowisko piłkarskie. Przez jakiś czas udawało się je bagatelizować, ale w połowie ubiegłego roku portal goniec.pl opublikował głośny tekst, w którym roiło się od anonimowych, ale zaczerpniętych z kilku źródeł relacji, o tym, że mecze i wyjazdy reprezentacji są okazją do niekończących się libacji, podczas których prezes Kulesza ledwo trzymał się na nogach oraz zachowywał się w sposób kompromitujący, że alkohol lał się strumieniami nawet w loży prezydenckiej podczas meczów reprezentacji na Stadionie Narodowym, że piłkarze mają dość unoszących się wokół zgrupowań oparów, a w otoczeniu Kuleszy pojawiają się jego byli koledzy i współpracownicy z czasów, gdy budował swoją biznesową potęgę disco polo, nie biorąc przy tym jeńców.

Co zresztą opisał już ładnych parę lat temu Marcin Kącki w jednym z rozdziałów doskonałego reportażu „Białystok. Biała siła, czarna pamięć" o bandycko-antysemickich mrokach współczesnego Podlasia. Wątek poświęcony Kuleszy kończy się opisem sytuacji, której Kącki został mimowolnym świadkiem, gdy Kuleszę odciąga na bok niejaki „Kolba", dawny bokser oraz handlarz złotem, człowiek o „twarzy, która przyjęła wszystkie ciosy świata", i przypomina mu, że w czasach kiedy zaczynał ▶

eprasa.pl 1ad5874e11

▶ z dyskotekami, na Kuleszę przyszło zlecenie zabójstwa, że była w to nawet zamieszana policja, ale on, „Kolba", temu zapobiegł, także niech Kulesza pamięta, jakie ma długi i u kogo.

Goniec odwołał się też do wcześniejszych ustaleń, m.in. portalu meczyki.pl, o tym, że na „prohibicyjny" mundial w Katarze w 2022 r. PZPN przemycił skrzynki wódki, a prezes Kulesza osobiście nadzorował na miejscu dystrybucję flaszek. Wkrótce światło dzienne ujrzało nagranie z 2021 r., na którym prezes Kulesza bawi się w towarzystwie m.in. ówczesnego ministra sportu z PiS Kamila Bortniczuka oraz jego zastępcy Łukasza Mejzy. W stanie wyraźnie wskazującym panowie śpiewają wespół z kilkoma innymi biesiadnikami ulubioną papieską pieśń, „Barkę". Kulesza wcześniej zaprzeczał istnieniu takiego materiału, a Gońca pozwał. Sąd pierwszej instancji uznał, że nie ma podstaw do publikacji sprostowania, a materiał został solidnie udokumentowany.

Niedawno do „słabości" prezesa nawiązali kibice Lecha Poznań. Podczas meczu o Superpuchar Polski z Górnikiem Zabrze urządzili oprawę z wizerunkiem Kuleszy znajdującego się po paru głębszych, PZPN-owskie motto „Łączy nas piłka" przerobili na „Łączy nas wóda" i razem z kibicami Górnika skandowali: „Czarek alkoholik". Pech chciał, że było to w połowie lipca, gdy jeszcze ważyły się losy przedłużenia umów ze sponsorami.

O tym, że grono sponsorów może się uszczuplić, członkowie władz PZPN byli informowani ezopowym językiem. – *Podczas posiedzeń zarządu sekretarz generalny Łukasz Wachowski, który w imieniu PZPN kontaktuje się ze sponsorami, bardzo ogólnikowo opowiadał, że rozmowy trwają, pojawiły się pewne problemy, ale nawet jeśli jakaś firma wypadnie z portfolio, to na jej miejsce stoi kolejka chętnych* – opowiada członek zarządu PZPN. Wojciech Strzałkowski, przewodniczący Komisji Finansowej PZPN: – *Nie byliśmy informowani o postępach rozmów ze sponsorami. Patrząc na dziurę, jaką spowodowało to w budżecie PZPN, wskazane jest, by komisja przyjrzała się tym działaniom. Nie może ograniczać się do opiniowania rocznych sprawozdań finansowych PZPN.*

44-letni Wachowski jest z wykształcenia prawnikiem, PZPN jest jego pracodawcą od zawsze, przeszedł w futbolowej centrali szczeble od szeregowego pracownika do prawej ręki Kuleszy. Mówi się o nim, że został namaszczony na następcę Kuleszy, który zgodnie z prawem może pełnić prezesowskie stanowisko tylko przez dwie kolejne kadencje, do 2029 r. – *Atmosfera wokół PZPN jest tak fatalna, że Wachowskiemu mogło być trudno utrzymać sponsorów. Pytanie, czy odpowiednio wcześnie zaczął rozglądać się po rynku w poszukiwaniu innych partnerów, a ma on skłonność do odkładania trudnych tematów na później. Na ile znam realia panujące w obecnej centrali, to mógł on paść ofiarą przekonania, że każdy chce się reklamować przy narodowej drużynie, więc to PZPN będzie dyktował stawki kontraktów. Na rynku mówi się, że InPost był gotów przedłużyć umowę, ale nie za 11, tylko za 6 mln. Wachowski i Kulesza się na nich wypięli, no i zostali z pustymi rękami* – opowiada zorientowany w temacie człowiek ze środowiska.

Od 2022 r. pośrednikiem w poszukiwaniu sponsorów dla PZPN jest wrocławska firma Publicon Sport. Za jej powstaniem stoi Radosław Tadajewski, którego firmy angażowały się w kampanie wyborcze na rzecz PiS i Andrzeja Dudy. Przysłużył się też Kuleszy, bo maczał palce w brudnej kampanii dyskredytującej Marka Koźmińskiego, kontrkandydata obecnego prezesa w wyborach 2021 r. Gdy PiS doszedł do władzy, spółka Tadajewskiego Publicon (z którego potem wyewoluował Publicon Sport) dostała umowę na obsługę marketingową Orlenu. – *Zapewniając PZPN rekordowy deal z Orlenem, de facto rozmawiali sami ze sobą. No w czasach PiS takie były standardy* – opowiada osoba ze środowiska.

Trzy lata temu POLITYKA (38/23) ujawniła, że umowa z Publicon Sport jest dla PZPN skrajnie niekorzystna, bo przewiduje dla pośrednika prowizje również od umów, do których zawierania się nie przyczynił. I że może być to traktowane jak działanie na szkodę piłkarskiej federacji. Ale prezes Kulesza najwidoczniej wyczuł pismo nosem, bo pod umową się nie podpisał i wmanewrował w to sekretarza Wachowskiego i jednego z ówczesnych wiceprezesów Henryka Kulę. Stojący wówczas na czele Publicon Sport Szymon Sikorski zagroził niżej podpisanemu pozwem, ale na pohukiwaniach poprzestał. Najwyraźniej zabrakło mu argumentów albo zdał sobie sprawę, że ewentualna sprawa sądowa byłaby okazją do ujawnienia szczegółów umowy.

Ale i tak tego nie uniknął. Artur Warcholiński z TVN24 dotarł do informacji, że między obiema stronami podpisano aż trzy umowy. Powiedzieć, że Publicon Sport został obsypany złotem zupełnie nieproporcjonalnie do wykonanej na rzecz PZPN pracy, to nic nie powiedzieć. Prowizje dla pośrednika sięgały od 13 do 25 proc. i tylko w 2024 r. na konto Publicon Sport trafiło ponad 12 mln zł. Wkrótce po emisji reportażu „W związku z pieniędzmi" PZPN zakomunikował, że obowiązująca do połowy 2027 r. umowa nie zostanie przedłużona.

Onet ujawnił niedawno, że ludzie Publicon Sport byli odpowiedzialni za organizację spotkania Wachowskiego i Kuleszy z Przemysławem Kralem, szefem upadłej giełdy kryptowalutowej Zondacrypto. Miało dojść do niego mniej więcej rok temu, ale skończyło się na wstępnym rozeznaniu możliwości finansowych ze strony giełdy i oczekiwań ze strony PZPN. A Kral ostatecznie poszedł w sponsoring Polskiego Komitetu Olimpijskiego, gdyż jego prezesowi Radosławowi Piesiewiczowi żadne pieniądze nie śmierdziały. – *Teraz od paru tygodni mamy Piesiewicza w areszcie, ludzie sportu na wyścigi starają się od niego dystansować. A przecież Czarek* (Kulesza – przyp. red.) *był jednym z jego popleczników. Ignorował listy wzywające Piesiewicza do ustąpienia nawet wówczas, gdy przytłaczająca większość środowiska sportowego w Polsce się za tym opowiadała. To biznes z pewnością również odnotował* – komentuje jeden z działaczy PZPN.

PZPN ma na rezerwach zachomikowane ćwierć miliarda złotych, ale w obliczu odwracania się sponsorów pewnie trzeba będzie powściągnąć wydatki. Zwłaszcza że nieobecność reprezentacji na mundialu oznacza dla budżetu PZPN minus 60 mln zł, a już ubiegły rok został zamknięty stratą w wysokości 38 mln zł. Przyczyniła się jednak do niej decyzja o zakupie za niemal 100 mln zł wynajmowanego wcześniej biurowca na warszawskiej Ochocie. Parł do tego Kulesza, a żeby sfinansować transakcję, zerwano atrakcyjnie oprocentowane obligacje.

Niewykluczone, że do szuflady trzeba będzie również odłożyć projekt budowy centrum szkoleniowo-treningowego PZPN. Kulesza chciał z niego zrobić swój pomnik, załatwił nawet u ministra Bortniczuka 300 mln dotacji. Po odsunięciu PiS od władzy decyzję tę unieważnił nowy minister sportu Sławomir Nitras z powodu niespełnienia przez wniosek kryteriów merytorycznych dofinansowania. Przez chwilę jednak prezes Kulesza mógł się czuć wygrany. Może tę właśnie decyzję panowie Bornitczuk i Kulesza świętowali podczas imprezy, na której objęci zawodzili „Barkę".

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 1ad5874e11



Felieton starego subiekta

We wrześniu mamy szał na „Lalkę". Zamiast o Wokulskim i Izabeli chciałbym napisać o Rzeckim. Mało kto przyzna, że się identyfikuje z tą postacią, bo wiadomo – w dzisiejszych czasach wszyscy czujemy się piękni i młodzi aż do kremacji. A ile on właściwie, ten „stary subiekt", ma lat? Konkretna odpowiedź w książce nie pada. Na początku niby sporo się dowiadujemy o Rzeckim i Wokulskim z warszawskich plotek, ale z tytułu rozdziału wynika, że oglądamy ich „przez szkło butelki". Plotkarze są między „siódmym a ósmym piwem", nie można im wierzyć (nawet zakładając, że chodzi o objętość 0,3). O Rzeckim wiemy na pewno, że walczył w Wiośnie Ludów w 1848 r., przy czym nigdzie nie ma wzmianki, że był najmłodszym czy też najstarszym żołnierzem w oddziale – czyli że był gdzieś koło dwudziestki. Wspomina też mimochodem o jakichś przygodach z „ognistymi węgierskimi dziewczynami" oraz o tym, że wino lało się takimi strumieniami, że „można się było w nim kąpać". Poza tym wiemy, że jako osierocony chłopiec został w 1840 r. oddany na czeladnika do sklepu Mincla. Już trzeciego dnia w pracy dostał od chlebodawcy lanie wielorzemienną dyscypliną za zjedzenie rodzynka z podłogi. To sugeruje, że urodził się gdzieś ok. 1825 r. (żeby być chłopcem w 1840 r. i młodym mężczyzną w 1848 r.). Akcja powieści dzieje się w latach 1878–79, zatem jest w niej mniej lub bardziej po pięćdziesiątce.

> Obawiam się, że umrzemy też jak Rzecki, nic nie rozumiejąc, zachowując niewzruszoną pewność w powrót Cesarza.

W filmie Hasa grał go Tadeusz Fijewski (wówczas 57 lat), w serialu Bera – Bronisław Pawlik (51 lat). Tymczasem teraz jeden Rzecki ma 45 lat (serial, Dariusz Chojnacki), drugi – 76 lat (kino, Marek Kondrat). Ten pierwszy musiałby pójść na wojnę jako 15-latek, a ten drugi byłby 40-latkiem, gdy Mincel przekładał go przez kolano. Oczywiście, jak mawiał wybitny reżyser Bogdan Zagajny, jest prawda czasu i prawda ekranu. W hollywoodzkiej wersji „Wojny i pokoju" 20-letniego księcia Bezuchowa gra 50-letni Henry Fonda. A to pewnie i tak nie jest najskrajniejszy przypadek w historii kina.

Czepiam się wieku Rzeckiego, bo ma istotne znaczenie dla przesłania powieści. Gdyby był tak młody jak Chojnacki, przeżyłby wojenną przygodę później, zapewne podczas powstania styczniowego (jak Wokulski). Gdyby był w wieku Kondrata, przeżyłby ją wcześniej, zapewne w powstaniu listopadowym. Jakąś przeżyłby na pewno, bo ojciec go wychowywał tak, by był „zawsze gotowy na wezwanie", nawet wyrwany ze snu. Dla Rzeckiego formującym doświadczeniem stała się jednak Wiosna Ludów, paneuropejski zryw, w którym na początku wszyscy demokraci czuli się wspólnotą. Dopiero po jego upadku zaczęli się dzielić na socjalistów, nacjonalistów, liberałów, konserwatystów. Pojawili się nawet komuniści, którzy parę miesięcy wcześniej nazywali siebie Ligą Sprawiedliwych, a wcześniej Ligą Wyjętych Spod Prawa (ciekawe, jak by się potoczyły losy świata, gdyby nie ten rebranding?). Po klęsce Wiosny Ludów Ignacy Rzecki stał się, jak wiadomo, bonapartystą. Ta klęska nie była całkowita – we Francji udało się zastąpić monarchię republiką, ta zaś zgodnie ze słynnym bon motem Marksa: „powtórzyła tragedię jako farsę" i przekształciła się w operetkowe II cesarstwo. Było ono tylko cieniem pierwowzoru, tak jak Napoleon III był karykaturą stryja. Na tle ówczesnej Europy, a zwłaszcza Imperium Rosyjskiego, bonapartyzm był jednak ustrojem stosunkowo postępowym. Była to dyktatura połączona z powszechnym prawem wyborczym. Oczywiście tylko dla mężczyzn, ale to i tak więcej niż w ówczesnej Szwecji czy Anglii. Bonapartyzm nie tylko Rzeckiemu wydawał się wtedy „końcem historii". Zwolennicy widzieli w nim złoty kompromis między ekstremizmami jakobinów i Bourbonów.

Cesarstwo upadło w 1870 r. w wyniku porażki w wojnie z Prusami. Gdy zaczyna się „Lalka", minęło od niej dopiero osiem lat. W wyborach z 1877 r. bonapartyści zdobyli 104 mandaty na 521 w parlamencie, co na jedną kadencję uczyniło ich najsilniejszą partią opozycyjną III Republiki. Kiedy więc na początku „Lalki" Rzecki woła, że bonapartyzm to potęga, nie jest to aż tak anachroniczne, jak może się wydawać dzisiejszemu czytelnikowi. Stary subiekt nie wierzył, że „republika Gambetty" się utrzyma – i wielu wówczas tak myślało, że skoro nie udało się pierwszej ani drugiej, to dlaczego ma się udać trzeciej?

Zamiast się śmiać z bonapartyzmu Rzeckiego, myślę o nas, jego dzisiejszych rówieśnikach. Nam końcem historii wydawał się rok 1989, upadek komunizmu był naszą Wiosną Ludów. Za idealną formułę ustrojową uznaliśmy zachodni kapitalizm, złoty kompromis między socjalem a wolnością. Niczym Rzecki bezsilnie dziś patrzymy, jak wali się świat ukształtowany trzy dekady temu i – tak jak on – nic z tego nie rozumiemy. Marzymy, żeby Stach nam wyjaśnił, co się dzieje. Ale Stacha nie ma, bo jak zwykle gdzieś wyjechał, nie wiadomo po co, nie wiadomo kiedy wróci, nie wiadomo czy w ogóle. Obawiam się, że umrzemy też jak Rzecki, nadal nic nie rozumiejąc, zachowując wszelako niewzruszoną pewność w powrót Cesarza.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 1ad5874e11

FELIETON

Chutnik Plebanek



Płytko, coraz płycej

Przewijanie, przeglądanie, prześlizgiwanie się – nowe słowa na nowe czasy. *Scrolling, surfing, gliding* pokazują jak na dłoni, w co się przepoczwarzamy. Te określenia sygnalizują zmieniający się kontakt ludzi z rzeczywistością i na razie odnoszą się do internetu oraz mediów społecznościowych, ale już widać, że głębiej zapuszczają korzenie w naszą świadomość. Język pokazuje, że świat dokoła przestał być miejscem, w którym kotwiczymy, przystajemy, gdzie czasem nic nie robimy. Codzienność to dziś powarkująca fabryka dobrego nastroju, pokazowych mięśni i wizerunku.

W książce „Z przyczyn naturalnych. Ludzka obsesja dobrego samopoczucia i nadludzkie wysiłki, aby żyć dłużej" Barbara Ehrenreich pisze o szaleństwie mindfulnessu, epidemii diagnozowania wszystkiego u wszystkich i przemykania z matą z zajęć jogi do kafejki, gdzie raczą nas jarmużem: „Gorliwie staramy się zapanować nad naszą wagą i kształtami za pomocą diet i ćwiczeń, a jeśli wszystko inne zawiedzie, nawet interwencji chirurgicznych. Cały pogrążony w półcieniu obszar myśli i emocji, które wywodzą się z naszych fizycznych ciał, także domaga się uwagi i ręcznego sterowania".

O ile kiedyś ludzi definiowała klasa społeczna, tak teraz prestiżowe jest bycie zajętą. Jeszcze niedawno czas miała monopolizować praca, obecnie lwią część wolnego czasu pochłania orka na siłowni. Dbanie o siebie to pełnoetatowa praca poprzedzona wnikliwymi studiami, trzeba wiedzieć, co to skyr i że trening interwałowy nie jest dla sercowców.

> W duchu oporu wobec „kultu zap…lu" wyrosła moda na życie w stylu XIX-wiecznej włoskiej babci.

Przyspieszenie spadło na Polskę wraz z transformacją, a narodziło się tam, gdzie kwitł purytanizm. Amerykanie są dumni z tego, że praca jest dla nich najwyższą wartością i wyróżnieniem. W „Becoming" Michelle Obamy „stawanie się" jej samej, męża czy członków rodziny składa się z trudów wspinania się po szczeblach społecznej drabiny. Próżno tam szukać przystanków, nie ma czasu, by odpocząć, chyba że komuś rozwiązał się but. Piękne to i szlachetne, nie mylmy jednak pracy z produktywnością i kultem sprzedaży. Ten trend przypałętał się nad Wisłę wraz z demokracją i coraz bardziej daje się we znaki. Nie chodzi o to, że chcemy się babrać w słowiańskim spleenie czy usprawiedliwiać nieróbstwo. Idzie o narastającą potrzebę przystanięcia, pomyślenia, przetrawienia rzeczywistości. Byle nie zmienić się w trybik w maszynie, choć Wielki Kapitalista smaga biczem, bo ekonomia uwagi to dziś rentowny biznes.

W duchu oporu wobec „kultu zap...lu" wyrosła moda na życie w stylu XIX-wiecznej włoskiej babci. Szydełkowanie, kaligrafia, gry planszowe wpisują się w trend zwany Nonna-maxxing, którego zwolennicy, młodzi ludzie, rezygnują z ciągłego pośpiechu na rzecz ugniatania ciasta na makaron, robienia dżemów czy wspólnego biesiadowania. Oddzielny trend skupia się na analogowym życiu: modne są „retrotorebki", których zawartość nie różni się od tej sprzed ćwierć wieku, są w niej np. papierowa książka, notes i długopis. Ciekawe, czy wróci moda na kraciaste chustki do nosa i pieczątki. Paradoks polega na tym, że uspokajające czynności pokazuje się na TikToku, narzędziu będącym antytezą uważności i wypoczynku. Być może jest to cena za popularyzację powrotu do normalności.

Kiedy Grażyna zapytała, czy Sylwia jest wolna pewnego dnia, by odbyć wspólne spotkanie autorskie, usłyszała: „Odpowiem ci, jak dotrę do domu, bo wszystko zapisuję ręcznie w kalendarzu". Okazało się, że obie jesteśmy analogowe, hura, wreszcie wpisujemy się w jakieś trendy! Pisanie odręczne spowalnia czas, daje tę minutę skupienia, która odciąga od scrollowania. Do retrotorebki proponujemy wsunąć „Pochwałę nudy" Josifa Brodskiego, na pewno zrobimy z nią przejmujące wrażenie w tramwaju. Ta niewielka książka z pozoru mówi o czymś zupełnie nieatrakcyjnym: robieniu niczego. A jednak Brodski podniósł tę czynność do kategorii niemal filozoficznej. Przekonuje, że chwile pozbawione rozrywki i bodźców są potrzebne, by spotkać się z samym sobą, z własnymi myślami i czasem, który nie musi być produktywny. Brodski przypomina, że nuda może być przestrzenią dla wyobraźni i refleksji, a także deficytowej uważności. Ta książka czytana dzisiaj, w świecie utkanym z nieustannego powiadamiania, przewijania i zagłuszania ciszy, brzmi zaskakująco aktualnie.

Tymczasem wchodzimy w jesieniarstwo, sandały wylądowały w szafie, a codzienność przyspiesza niczym bobslej. Oby po wakacjach jak najdłużej towarzyszyła nam myśl, że nuda jest świetna, bo pozwala poczuć czas, podczas gdy wszechobecna produktywność oddziela od tego, co mówi ciało, od niespiesznych przemyśleń. Inna sprawa, że nie wszyscy mają w głowie noblowskie wykłady i chętnie zagłuszą wewnętrzny chaos kłótnią w sieci, rzuceniem się w pracę czy dawką hałasu, która daje złudne poczucie mocy, nie wspominając o używkach. Nie ma powodu, by to właśnie ci ludzie dyktowali innym, co mają robić. Dlatego wykonajcie prostą czynność: zobaczcie, co dzieje się za oknem, jak pięknie zmieniają barwy liście na drzewach. Zanim dozorca odpali jazgotliwą dmuchawę, zatrzymajcie poprzedni obraz i zostańcie w nim na chwilę.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 1ad5874e11

FELIETON

Hartman



Kopanie konia, zaklinanie capa

Ogarnęła nas namiętność do kopania się z koniem. Koniem nowych technologii. A przecież kto konia kopie, tego i koń kopnie. Każde dziecko to wie. I wie, że jeśli zabroni mu się telefonu w szkole, to wkrótce pojawią się telefony w kształcie misia, wisiorka albo i gorzej, a potem jakieś szkła kontaktowe wyświetlające tzw. treści, nie mówiąc już o niewidocznych słuchawkach i przeźroczystych naklejkach spełniających funkcję ekranu dotykowego. I co tam jeszcze Chińczyk, a raczej AI w rękach Chińczyka, wymyśli.

Bezradność i naiwność instytucji przerażają mnie nie bardziej niż to, co dzieje się z nami wszystkimi, gdy okazuje się, że maszyna wie lepiej, pracuje lepiej i tworzy lepiej. Bo na tym wózku wiozącym ród ludzki na margines cywilizacji, powoli przejmowanej przez algorytmy, jedziemy wszyscy, a głupich nie sieją. Czy nie dość, że przegrywamy z maszyną, to jeszcze mamy jedni tak żałośnie wygłupiać się przed drugimi?

Nie, nie da się niczego „zatrzymać" ani „kontrolować". Źli ludzie będą tworzyli wrogie i szkodliwe algorytmy albo źle używali tych dobrych i niewinnych. A dobrzy ludzie będą wyłączać jakieś maszyny i przekaźniki, zakłócać sygnały i alarmować ludność, lecz na darmo. Za osłonę przed złymi treściami, oszustwami i wyłudzeniami będziemy musieli płacić sami, tak jak dziś płacimy za zamki w drzwiach i alarmy. Żadna policja anty-AI nie nic poradzi, podobnie jak rządowe reglamentacje i licencje. To wszystko śmiechu warte. A szkoła, zamiast płaszczyć się, tańczyć, śpiewać i recytować przed dziećmi, rodzicami i kuratorami, mogłaby zacząć uczyć dobrego promptowania. Bo kto dobrze promptuje, ten nie błądzi. Nowa rzeczywistość to globalne ocieplenie, globalna wojna na drony i sabotaże oraz algorytmy robiące wszystko (!) lepiej niż ludzie. Do tego wkrótce doliczymy genetycznie modyfikowanych postludzi i inne tam hybrydy z cyborgami. To nie jest jakiś tam silnik parowy, komputer czy internet! To ponad- i posthistoryczna zmiana egzystencjalna dla całego naszego gatunku. Po prostu właśnie przestajemy rządzić światem i płużyć w znoju swe własne dzieje, krwią i potem znaczone. Wkrótce nie będziemy sami na Ziemi i bynajmniej nie będziemy na tej planecie najmądrzejsi. I co z tego, że to człowiek stworzył AI? Kiedyś byliśmy małpami, lecz w drodze ewolucji uciekliśmy naszym pobratymcom, którzy dziś bawią się kijkami w ogrodach zoologicznych. „Agenci AI" też pochodzą od nas, lecz się wyemancypują, i to bardzo szybko. Nie będzie to żadna ślamazarna ewolucja, ale burzliwa rewolucja ontologiczna, przypuszczalnie rozpisana na ledwie kilka pokoleń. Widzimy ledwie jej początek, choć po pół wieku dyskusji futurologicznych i rozwoju literatury SF w ogólnych zarysach wiemy, co będzie dalej. Otóż więc lepiej już było.

Gdy w Pakistanie albo w Iraku ludzie zaczną masowo umierać od upałów i z braku wody, to co podpowie im darmowa AI? Podpowie im, że można by się urządzić w Kanadzie pachnącej żywicą albo w Australii pachnącej koalą. Albo w Polsce, gdzie wciąż szumią wierzby. Wielkie potrzeby, wielkie marzenia i wielkie stereotypy przebudują świat, narzucając nam nową formę istnienia: poza historią, w walce z niepokorną przyrodą, na marginesie cywilizacji AI. Każdy z nas będzie musiał w tym świecie, gdzie to nie ludzkie będą rządziły już zasady i prawa, znaleźć sobie ten kącik, co go w nim nie znajdą, a pozwolą w spokoju dożyć swych dni o butelce z odżywką.

> Jeśli do płatnej miłości można mieć zastrzeżenia, to do płatnej mądrości raczej nie.

Ludzkość właśnie dokonała samounieważnienia (bo właściwie nie ma już mądrych i wszyscy znaleźliśmy się w tym samym, dość żałosnym położeniu), a ujdą z tego cało jedynie ci, którzy staną twarzą w twarz z realiami i będą się pokornie słuchać dobrych rad swojego płatnego „AI friendа". Sam postanowiłem pokornie poddać się kierownictwu siły wyższej i poczytuję to sobie za generalny wniosek z całej swojej filozofii; potrzebowałem jej, aby do tego wniosku dojść, i teraz jestem z siebie dumy. Dumny w pokorze. I nie wyobrażam sobie podjęcia jakiejkolwiek istotnej dla mnie decyzji, np. o wydaniu tysiąca złotych, bez zasięgnięcia rady u swojego „czata" w wersji premium. Albo pójścia do lekarza bez wrzucenia swoich badań i poddania się wywiadowi medycznemu przeprowadzonemu przez „doktora czata". Płacę algorytmowi, żeby nade mną czuwał i nie pozwolił zrobić kolejnego życiowego głupstwa. Od lat 80. nie poczyniliśmy istotnych postępów, jeśli chodzi o rozumienie, czym będzie sztuczna inteligencja i jak zmieni świat. Nie samowiedzy nam brakuje, lecz odwagi, by spojrzeć prawdzie w oczy. Nigdy jeszcze hasło *Sapere aude!* nie było tak aktualne jak dziś. Jeśli do płatnej miłości można mieć zastrzeżenia, to do płatnej mądrości raczej nie. Kogo to obejdzie, że będę się wzbraniał przed sztuczną inteligencją? Kogo to obejdzie, że wyjdę na mróz bez czapki? Doprawdy, te wszystkie opowieści o bezdusznej, pozbawionej świadomości maszynie, która niczego nie tworzy, bo „tylko przetwarza", a w ogóle jest „tylko narzędziem", to dziecinada, istne zaklinanie capa! Czyż nie warto być dorosłym?

JAN HARTMAN

eprasa.pl 1ad5874e11



Ci, co skaczą i szczekają, na nasz program zapraszają

Przyznaję: publicznych wystąpień niektórych polityków PiS nie da się odzobaczyć. Myślę tu o obszczekaniu ministra obrony przez posłankę Chorosińską i ostrzelaniu pistoletem na farbę wrogich transparentów przez podskakującego na miesięcznicy smoleńskiej posła Macierewicza.

Zgadzam się, że epizody te mogą świadczyć o braku samokontroli u obojga posłów. Nie wykluczam, że są także desperacką próbą zwrócenia naszej uwagi na problemy, jakie Chorosińska i Macierewicz mają ze sobą. Niestety takie zachowania mogą być groźne dla innych; w końcu nie ma gwarancji, że pos. Chorosińska doprowadzona do ostateczności rządami Tuska nie pogryzie go kiedyś po tym, jak go obszczeka. Podskakujący Macierewicz jest w dodatku również zagrożeniem dla samego siebie, bo wywijając pistoletem na kolejnej miesięcznicy, zamiast trafić w transparent, może np. trafić się w głowę.

Z drugiej strony mamy demokrację i skoro prezes PiS chwali Macierewicza za to, że biega wokół pomnika smoleńskiego i strzela do transparentów, to niech sobie biega. Dla wszystkich lepiej, że biega, niż gdyby miał być ministrem obrony, likwidatorem jakichś służb albo utrzymywać podejrzane kontakty z osobami uchodzącymi za agentów Rosji. Niechby nawet biegając, odszczekiwał się swoim prześladowcom jak Chorosińska, ważne, żeby nie zrobił sobie krzywdy, bo jak go znamy, zaraz pójdzie do TV Republika pokazywać rany zadane przez reżim Tuska.

Jeśli idzie o tę telewizję, to uważam, że znalazła wreszcie swój model biznesowy. Świadczy o tym bezpośrednia transmisja ze zbiórki przekazywanych przez widzów pieniędzy, które pozwolą Republice na odniesienie spektakularnego komercyjnego sukcesu w postaci uzyskania przedłużenia koncesji. Dzięki temu będzie mogła transmitować przyszłe zbiórki, które z pewnością również okażą się sukcesami, co umożliwi Republice kolejne opłacenie koncesji w celu transmitowania zbiórek w następnych latach.

Chociaż nie miałbym nic przeciwko temu, żeby w przerwach między zbiórkami zobaczyć w tej stacji inne atrakcje, np. wyszczekaną pos. Chorosińską, podnieconego pos. Macierewicza biegającego wokół pomnika smoleńskiego, czy posłankę Kurowską z PiS, która na skutek wzburzenia blokuje dostęp do gabinetu nowemu rektorowi Akademii Wymiaru Sprawiedliwości, bo się na tego rektora nie zgadza. Z jej opowieści wynika, że rektor próbował ją obejść, przechodząc po jakiejś wersalce, ale mu się nie udało. I dobrze, zwłaszcza że dla widzów Republiki pewnie bardziej atrakcyjne byłoby, gdyby przeszedł po Kurowskiej.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl 1ad5874e11



Studio im. Łukasza Lipińskiego

Nasze studio wideokastowe otrzymało imię Łukasza Lipińskiego – zmarłego dwa lata temu redaktora naczelnego serwisu polityka.pl i zastępcy naczelnego POLITYKI. W uroczystości uczestniczyli jego najbliżsi: żona, matka i trzej synowie. Jak podkreślił Jerzy Baczyński, było oczywiste, że studio będzie nosiło imię Łukasza Lipińskiego, który był jego inicjatorem. „Łukasz patronuje naszym przedsięwzięciom. Chcemy dokonać symbolicznego aktu, ale też pokazać jego rodzinie, jak funkcjonuje studio" – podkreślał redaktor naczelny POLITYKI. Wspominał przy tym, jak Łukasz żył z chorobą: nie uciekał od niej, ale nie pozwalał, by go określała. Jeszcze kilka dni przed śmiercią uczestniczył w konferencji o nowych mediach w Kopenhadze. „Wydawało się, że on z tą chorobą wygra".

Bliscy naszego zmarłego w 2024 r. Przyjaciela oraz redaktor naczelny POLITYKI

Margit Kossobudzka-Lipińska mówiła, że jej mąż wiedział, że do ludzi trzeba nie tylko pisać, lecz także mówić – tłumaczyć im świat na różne sposoby. Przypomniała jego słowa: „Jeśli masz głos, musisz być obecny". Ta myśl przyświeca studiu, które od dziś nosi jego imię.

Podkasty POLITYKI zaczęliśmy rozwijać w 2019 r. Nieco ponad rok temu, już w nowym studiu, ewoluowały w wideokasty, m.in. „Temat tygodnia", „Podkast psychologiczny", „Świat na zakręcie", „Polityka o historii", „Kultura na weekend" i „Rowery, nie bajki". Publikujemy je codziennie nie tylko na polityka.pl, ale także na YouTube, Spotify i Apple Podcasts. Gorąco zachęcamy więc nie tylko do czytania POLITYKI, ale i jej słuchania oraz oglądania.

Zapraszamy na jubileuszowy Festiwal Nauki



W dniach **18–27 września** odbędzie się jubileuszowa, 30. edycja Festiwalu Nauki w Warszawie – jednego z największych i najstarszych wydarzeń popularyzujących naukę w Polsce. POLITYKA oraz portal popularnonaukowy pulsar, konsekwentnie popularyzujące naukę i przybliżające czytelnikom najważniejsze odkrycia oraz debaty współczesnej nauki, są patronami medialnymi tego niezwykle interesującego wydarzenia.

Na festiwalową publiczność czekają wykłady, debaty, warsztaty, pokazy, gry edukacyjne i wycieczki naukowe. Uczestnicy Festiwalu będą mogli także zajrzeć do laboratoriów i miejsc na co dzień niedostępnych dla postronnych obserwatorów, poznając naukę od strony eksperymentów, odkryć i codziennej pracy badaczy. Program Festiwalu obejmuje aż 410 spotkań, 11 wystaw i 635 lekcji, przygotowanych przez 113 jednostek naukowych i akademickich. Ważną częścią Festiwalu będą debaty główne, podejmujące najistotniejsze wyzwania współczesnego świata. Naukowcy i zaproszeni eksperci porozmawiają m.in. o wpływie AI na rynek pracy, o kryptowalutach, tworzywach sztucznych oraz o przyszłości szkoły.

Jedną z debat głównych – „Anatomia brainrotu. Jak portale społecznościowe wpływają na jednostki i społeczności?" – poprowadzi Katarzyna Czarnecka, szefowa działu nauki POLITYKI i redaktorka naczelna portalu popularnonaukowego pulsar. A rozmawiać będą z nią dr Dominika Czerniawska-Szejda oraz prof. Wojciech Kulesza. Uczestnicy zastanowią się, jaki obraz siebie i świata tworzą media społecznościowe oraz czy są one wyłącznie źródłem zjawiska określanego jako „gnicie mózgu", czy również przestrzenią zdobywania wiedzy. Debata odbędzie się **20 września o godz. 17** na Wydziale Fizyki UW przy ul. Pasteura 5 w Warszawie.

Tego samego dnia na Kampusie Ochota UW odbędzie się Dzień Nauki – czyli w sumie 55 wydarzeń, pokazów i warsztatów. Serdecznie zapraszamy!

Szczegółowy program dostępny jest na stronie Festiwalu Nauki: **festiwalnauki.edu.pl**

W klimacie miast

Wyspy ciepła znikają. Ulice, place i domy obrastają zielenią. Większość budynków korzysta z OZE. Ruch aut jest ograniczony, komunikacja zbiorowa – rozbudowana. Skutek: mieszkańcy cieszą się lepszym zdrowiem – zarówno fizycznym, jak i psychicznym. O tym, jak miasta powinny adaptować się do rzeczywistości klimatycznej, będziemy rozmawiać podczas spotkania „Miejska gorączka. Bezpieczeństwo mieszkańców w zmieniającym się klimacie". Gośćmi pulsara będą: dr Ilona Iłowiecka-Tańska z Centrum Nauki Kopernik, prof. dr hab. Szymon Malinowski z UW, Maria Andrzejewska z UNEP/GRID-Warszawa, Marcin Grądzki z Urzędu m.st. Warszawy oraz Szymon Tumielewicz z Ministerstwa Klimatu i Środowiska. Zapraszamy do warszawskiego Centrum Nauki Kopernik **w piątek 18 września o godz. 13.30**. Wstęp jest wolny.

ZAPISY NA:

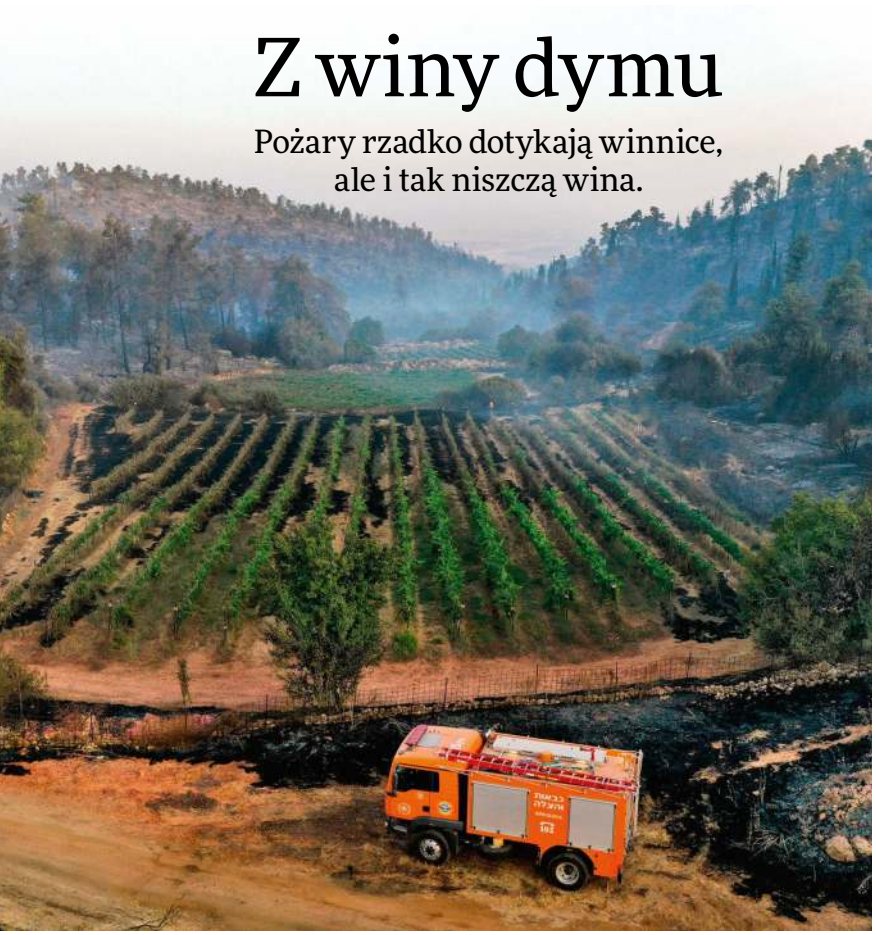
Sponsorem cyklu „Podróż po wiedzę" jest ENEA.

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 1ad5874e11

Z winy dymu

Pożary rzadko dotykają winnice, ale i tak niszczą wina.



Lato praktycznie za nami i już wiemy, że padły kolejne rekordy temperatury i suszy. W wielu krajach europejskich zanotowano najwyższe temperatury w historii, zarazem np. na Węgrzech sierpień przyniósł najmniej opadów, odkąd prowadzi się pomiary. Winiarze z desperacją czekali na choćby najmniejszy deszczyk, który przyniósłby ulgę cierpiącym winoroślom i nieco opóźnił winobranie. Nic z tego. Kiedy na początku września byłem w Wiedniu, niemal wszystkie winogrona już fermentowały w kadziach, choć jeszcze dekadę temu normą były zbiory pod koniec miesiąca. Do sierpnia już wszyscy przywykli, lecz teraz kraje południowe coraz częściej zaczynają w lipcu.

Coraz większym problemem dla winiarzy stają się pożary. W lipcu ich ofiarą padł region Bordeaux, gdzie spłonęło blisko 50 tys. ha lasu, a ewakuować trzeba było tysiące mieszkańców. Na szczęście cenne winnice w tych okolicach ocalały. Gorzej było w środkowej Hiszpanii, gdzie z dymem poszło 77 tys. ha, w tym unikatowe stuletnie winnice szczepu garnacha w apelacji Sierra de Gredos. W Aragonii ogień zatrzymał się dosłownie kilkadziesiąt metrów od kultowej winnicy El Jardín de las Iguales, z której wino kosztuje po kilkaset złotych za butelkę. Swoje winorośle na Krecie straciła znana winiarka Iliana Malihin. W katastrofalnych pożarach w Kalifornii – jednym z regionów płonących najczęściej – w 2017 r. z dymem poszły nie tylko winnice, ale również wiele budynków, w tym popularna wśród turystów winiarnia Signorello Estate.

Najczęściej jednak ogień winnice oszczędza, bo nisko prowadzone, szeroko rozsadzone uprawy – podobnie jak gaje oliwne albo migdałowe – działają jak przeciwpożarowa przecinka. Pojawia się jednak inny problem, do niedawna niemal nieznany, a teraz coraz częściej nękający winiarzy. To tzw. wada dymna (ang. *smoke taint*), czyli nieprzyjemny, przypalony smak w winach wytłoczonych z winogron odymionych pobliskimi pożarami. W takich trunkach rośnie zawartość lotnych fenoli, takich jak gwajakol i metylgwajakol, a nawet dawka tak mała jak 10 mikrogramów na litr (!) takiej cząsteczki potrafi zupełnie zrujnować smak.

W rzeczonej Kalifornii czy południowej Australii problem jest tak poważny, że tamtejsze instytuty badawcze rzuciły wszystkie siły na jego zgłębienie. Wiemy już więc dokładnie, jak dym wpływa na winogrona – jest np. niemal nieszkodliwy w lipcu, gdy są jeszcze zielone, natomiast po przebarwieniu winogron, 5–6 tygodni przez zbiorami, jego skutki są już poważne. W ślad za wiedzą naukową przyszły rozwiązania techniczne: test na obecność fenoli przeprowadza się jeszcze na etapie winogronowego soku, dzięki czemu można zapobiegać ich rozwojowi, np. przez stosowanie ochronnego dwutlenku węgla. Wino zupełnie zepsute gwajakolem można zaś poddać m.in. procedurze odwróconej osmozy, choć ta, niestety, wraz z niepożądaną cząsteczką usuwa z naszego ulubionego napoju również te dobre, owocowe smaki.

WINO



Wojciech Bońkowski
– dziennikarz i krytyk winiarski od 1999, od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine.

Dym stał się dla winiarzy poważnym problemem, a paradoks polega na tym, że dotąd był ich... sprzymierzeńcem. Lekko wędzone, przydymione nuty od dekad pozytywnie się kojarzą – przede wszystkim z leżakowaniem w dobrej jakości dębie. Bednarz używa bowiem ognia i dymu w produkcji beczek, gdy klepki trzeba nagiąć do obręczy. Wysokie palenie dębu daje winom czerwonym, takim jak cabernet sauvignon albo shiraz, cenione nuty czekolady i kawy. Moda na ten smak w latach 90. ubiegłego wieku była tak silna, że zaczęto nadawać go również tanim winom, które obok beczki nawet nie leżały – do stalowego zbiornika z winem dodawano wióry z mocno wypalonego dębu. Dzisiaj ten styl całkiem wyszedł z mody, a bednarze coraz częściej oferują dąb lekko wypalany albo w ogóle bez wypalenia.

Mocno dymny dąb trzyma się nadal mocno w świecie whisky i innych destylatów. Dla jego fanów wymyślono nawet... wina leżakowane w beczkach po whisky! Gdy jedni boją się w winie dymu jak ognia, inni szukają go za wszelką cenę. ■

Jacob's Creek Double Barrel Cabernet Sauvignon, 69 zł (liczne sklepy z alkoholem)
Iliana Malihin Vidiano Old Vines Rhea, 35 euro (internety zagraniczne)
Frontonio El Jardín de las Iguales 2020, 999 zł (elcatador.pl)

eprasa.pl 1ad5874e11

Kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego



MEA PULPA

Edyta Górniak rezygnuje z występów w TVP, bo nie włączono jej mikrofonu podczas koncertu „Lata z Radiem i Telewizją Polską". Brawo. Znam artystki, które powinny zrezygnować, bo im włączono.

Z TV Republika znika program Oskara Szafarowicza „Hity z sieci". To wciąż jedyny Oskar, na którego zasłużył Jarek Jakimowicz.

Dorota Gawryluk udzieliła wywiadu Krzysztofowi Stanowskiemu. Internauci postulują, żeby dołączyła do Kanału Zero. Jestem za. Klub Przyjaciół Myszki Miki też powstał w trudnych czasach.

Roxie Węgiel i Danuta Martyniuk wystąpią w reality show „Eksperyment: Odsiadka 2", czyli dadzą się zamknąć w więzieniu. W więzieniu to inni decydują, jaką posiadasz płeć społeczną.

Grzegorz Krychowiak poprowadzi w CANAL+ dwa programy: „Wilkołaki" oraz „Druga połowa". Wilkołaki podobno posiadają wielką zwinność i sprawność. Czyli to nie będzie o naszej piłce.

Transfer z TVP Jacka Kurskiego, czyli Ida Nowakowska, jesienią pojawi się aż w trzech programach Polsatu. Jak widać, stacja już przygotowuje się do zmiany władzy.

Magda Cielecka i Borys Szyc zostali nowymi ambasadorami firmy Vistula. Znakomicie. Ostatnia Vistula zjechała z taśmy montażowej w sierpniu 1971 r., ustępując miejsca Bizonowi.

TV Republika zaprezentowała grę „The Fighter", w której Miłosz Kłeczek bije polityków. Jak patrzę na admina Kłeczka, to od razu widzę, że jadą na zewnętrznym oprogramowaniu.

1,7 mln widzów obejrzało pierwszy odcinek nowego sezonu „Kuchennych rewolucji" Magdy Gessler. O 25 proc. więcej niż rok temu. Szok. To kolejny dowód na to, że rośnie liczba osób uważających, że miejsce kobiety jest w kuchni.

Oto wydarzenie tygodnia. Posłanka PiS Dominika Chorosińska szczekała w Sejmie podczas głosowania. Był to czytelny i zrozumiały skowyt o więcej takich kobiet w polityce.

„Są razem ponad 30 lat. Paweł Małaszyński na rzadkim zdjęciu z żoną". To plotek.pl. Wpisuję w Google: „Małaszyński z żoną" i widzę setki zdjęć. Czasem myślenie jest jak Cola: *regular*, *light*, *zero*.

Sylwia Bomba pojawiła się w reklamie Rossmanna. Po zwycięstwie AfD w Saksonii-Anhalt wybór kogoś z takim nazwiskiem to poważne ostrzeżenie.

WP relacjonuje premierę nowej ramówki w TVP: „Gładził ją po nodze. Wszystko się nagrało". W rolach głównych Agnieszka Szulim i Łukasz Kadziewicz. Kiedy ja zaczynałem w tym zawodzie, trudniej było nie zrobić kariery.

Paulina Smaszcz gorzko oceniła polskich mężczyzn: „Albo nudny, albo niewykąpany". No cóż, ideałów nie ma. Ameryka walczy z terroryzmem i otyłością. Ideałem jest zamachowiec z nadwagą.

„Czesia miała się pojawić jako epizod, odwiedzić kuzynkę i zniknąć po kilku odcinkach" – tak Anna Powierza podsumowuje swoje 27 lat w „Klanie". Ciekawy rodzaj kariery. Przez zaniedbanie.

Korzystając z zamieszania wokół kontynuacji „Nigdy w życiu!", Joanna Jabłczyńska stworzyła zbiórkę na Fundację Rak'n'Roll. Efekt: ponad pół miliona złotych. Polskie filmy często są sukcesem, szczególnie przed premierą.

Rafał Zaorski, zatrzymany w sprawie afery Zondacrypto, podzielił kiedyś 485-metrowy apartament na Złotej 44 na małe części. Teraz, będąc lokatorem podobnie częściowego metrażu, wie, jakie to uczucie.

Jest nowy spot reklamujący Polskę. A w nim Mikołaj Rozbicki na plaży udaje Kopernika. Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw.



© DAVID SILVERMAN/GETTY IMAGES, RAFAŁ MASŁOW, TVN, POLSKA ORGANIZACJA TURYSTYCZNA

eprasa.pl 1a

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Europa skręca w prawo



Czy demokracja liberalna ma jeszcze przyszłość? To pytanie stawiamy w podkaście „Polskie demo" nie tylko w kontekście niedawnego sukcesu AfD w Saksonii-Anhalt. Skrajna prawica umacnia się też w Austrii, o Polsce nie wspominając. W naszym studiu gości prof. Maciej Kisilowski z Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego w Wiedniu, przekonując, że sam populizm nie wyjaśnia fenomenu wzrostu poparcia dla radykałów.



Zbrojeniowe eldorado

Polska zbrojeniówka musi „dowieźć" zamówienia z SAFE i wymyślić coś, co pozwoli się wspiąć na poziom europejskich i światowych graczy. Dlatego buduje i tradycyjne pojazdy, i nowoczesne drony. Jak to wychodzi, można było sprawdzić na wielkich targach broni w Kielcach. „Wystawa ma swoje wymagania, wszyscy chcą błyszczeć, a realia zamówień i wdrażania są, jakie są", relacjonuje na polityka.pl Marek Świerczyński.



Pseudonauka i spiski

Dlaczego inteligentni ludzie wierzą w bzdury i spiski, a temat tzw. diety planetarnej w szkolnych stołówkach wzbudza tak gorące emocje? Co jeszcze nas porusza? Szukamy odpowiedzi w rozmowie z dr. Konradem Skotnickim, znanym jako Doktor z TikToka, popularyzatorem nauki i twórcą cyfrowym. W naszym podkaście psychologicznym wyjaśnia m.in., jak dyskutować w social mediach. A może czasem lepiej odpuścić?

Co ukrył Prus?



Warszawa z powieściowej „Lalki" wydaje się znajoma: sklep Wokulskiego, Krakowskie Przedmieście, dorożki, salony... Ale **za świetnie opisaną scenografią kryje się miasto, którego Prus nie mógł pokazać wprost. Z prof. Błażejem Brzostkiem zaglądamy za tę cenzorską zasłonę w podkaście „POLITYKA o historii".** Temat żywo państwa zainteresował, sądząc po liczbie odsłon i komentarzy (za które dziękujemy!).



Lepiej wolniej

Lepszy forsowny trening czy powolny ruch? Na polityka.pl sprawdzamy strategię qigong, **„te dziwne ćwiczenia, które wykonują w parkach starsi Chińczycy", jak się o tym zwykle myśli.** Na czym to polega, wyjaśnia nauczyciel Tomek Eichelberger. „Samo stanie w miejscu przy zachowaniu właściwej pozycji może stać się wymagającym ćwiczeniem", mówi. I tłumaczy, dlaczego niezależnie od wieku warto tego spróbować.

© ANNA AMAROWICZ, JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM, LESZEK ZYCH (2), SHUTTERSTOCK

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 1ad5874e11

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki POLITYKI





Wrześniowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl 1ad5874e11

Lenovo



Przywództwo jest już tutaj.

Wspieraj innowacje od wewnątrz dzięki **Lenovo Copilot+PC**

Dowiedz się więcej

Copilot+PC

Niektóre funkcje komputerów Copilot+PC wymagają bezpłatnych aktualizacji.
Zobacz: aka.ms/copilotpluspcs.

eprasa.pl 1ad5874e11